

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 9 i 10

BOLESŁAW MICIŃSKI
WACŁAW ROGOWICZ
FELIKS BOCHEŃSKI
IRENA KRZYWICKA
MIROŚLAW ŻUŁAWSKI
BRONISŁAW KAMIŃSKI
HALINA MARIA DĄBROWOLSKA
STANISŁAW ŁEMPICKI
JAN PAPUGA
JÓZEF OBRĘBSKI

LONDYN

WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK

1946

451-

MORNING AFTER MORNING

BILLIONS of BRISTLES

silently
steal away



Thanks to this
SOFTENING SMOOTHING
SOOTHING LATHER

1/10¹/₂ & 3/- Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

NALEŻY OBECNIE ZAO-
PIEKOWAĆ SIĘ FUTRAMI

VAN EK jest największym mistrzem w przerabianiu, czyszczeniu i przechowywaniu futer wszelkiego rodzaju. Robota pierwszej klasy. Wynagrodzenie umiarkowane.

Zgłaszaj się pod

4, WILLIAM STREET,
Knightsbridge, London, S. W. 1

również w BOURNEMOUTH.

U W A G A !

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

Obecnie:

1 Notting Hill Gate, London, W. 11

Tel.: BAYwater 3773
(dawniej Knightsbridge)

Nowe futra z własnych lub powierzonych materiałów. Przeróbki i czyszczenie. Posezonowa zniżka cen futer gotowych na składzie.

ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT, LONDON, W. 9 Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała kuchnia polsko-rosyjska. **MÓWI SIĘ PO POLSKU !**

Dojazd : Stacja kolei podziemnej Warwick Ave. na brązowej linii

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108

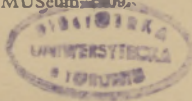
4/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W. 1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London establishment. — Tel.: MUSEum 1409.

4/-

K. 196/30



NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 9 i 10

LONDYN

WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK

1946

BOLESŁAW MICIŃSKI

U W A G I *

Przyszłość jest dziś bliższa niż przeszłość. Żegnamy się dziś z przeszłością. Dostrzeżemy ją po latach wyraźniej, ocenimy sprawiedliwiej, ale że optymistyczna skłonność pamięci zwykła idealizować czas miniony, historycy ocenią lata międzywojenne z pobłażliwością na którą nas nie stać.

„Tout comprendre c'est tout pardonner”. Ile niebezpieczeństw w tej maksymie nie tyle z chrześcijaństwem związanej ile z intelektualizmem etycznym starożytnych!

Jeśli wybaczać — to w imię miłości, nie w imię zrozumienia motywów. Każdy czyn ma swoje motywy implicite zawarte w strukturze dokonanego czynu. Nie wynika z tego, aby każdy czyn był dobry, czy zasługiwał na pobłażanie. Gdybyśmy wszystko nawet mogli zrozumieć — to nie wszystko zechcemy wybaczyć. Szczególnie dziś „na gorąco” w stanie „afektu”. Jest zapewne w tym stanie skłonność do szybkich, zbyt szybkich, sądów, ale jest i w afekcie ta sama jasność widzenia, z którą oceniamy bliskie niebezpieczeństwo. Po chwili dopiero z gasnącym afektem, z minionym niebezpieczeństwem, pojawia się rezonerstwo i rozumienie, które wprowadza do sądów i działań szereg trafnych korektyw, dobroczynnych dla myśli, jak zielone szkła dla znużonego wzroku. Ale gasnie z tą chwilą precyzja i szybka selekcja w ocenie faktów, którym czas użycza łagodnej barwy śniedzi.

Gardząc czasem, obrazilibyśmy najtrudniejszą może z cnót: cierpliwość. Pozbawieni historycznego myślenia, zwiększylibyśmy jedność naszej osobowości, gasząc pamięć stalibyśmy się podobni do tych, którzy w imię niepewnej przyszłości wyżywają się w niszczeniu tradycji. Zapewne. Niemniej — jak się zdaje — nie wolno nam nie doceniać wartości spostrzeżeń „na gorąco”.

Żegnamy się dziś z przeszłością. Jeśli gniew mąci jasność spojrzenia i sprawiedliwość ocen, to w tym samym stopniu — gniew pozwala dostrzec to — co przeoczy pobłażliwe jutro. Gniew zniekształca układ zdarzeń i zestawia je w fałszywych porporcjach. Obraz świata, któremu afekt użyczyć może ostrości, przypomina wypukłe zwierciadło: wyolbrzymia kształty skupione w ośrodku afektu i zwięża je w kierunku obwodu świadomości.

* „Uwagi” pisane były w 1942 roku we Francji.

Poczucie humoru jest najlepszym korektorem gniewu: chroni od hysterii i sprowadza rzeczy tego świata do właściwych rozmiarów. Prawdziwy humor jest ostrożny i nie lubi przesady, choć tak chętnie operuje rytmem opery „buffo”, karykaturą i szarżą. Mówi o tym mądrość starożytnych Arystofanesa, Apulejusza i Lukiana — mówi o tym kultura humanistów — Erazma i Rabelego — mówi o tym intelektualizm Oświecenia — Voltaira, Krasickiego czy Swifta. Humor nawet w brutalności Arystofanesa i mizantropii Swifta nie jest czymś obcym humanizmowi. I dlatego — mówiąc o czasach, w których się żyło, warto mieć pod ręką „Pana Tadeusza” i „Klub Pickwicka” jako że nie ma trafnego sądu bez korekty humoru, a prawdziwego humoru bez dobroci.

Właściwy Józefowi Piłsudskiemu zmysł humoru — nieraz drapieźny i zgryźliwy — był może jednym z elementów jego politycznej mądrości. Gdyby Prusacy nie mieli dowcipu równie ciężkiego jak ich grzechy, inne, pogodniejsze byłyby dzieje Europy. Jakże nam brakło prawdziwego poczucia humoru, który by wybuchem śmiechu w rytmach Rosiniego przerwał drzemkę zwycięzców i okrutne sny pokonanych. Z jednej strony ponura, zwierzęca powaga totalistycznych najeźdźców — z drugiej ptasio-głupie dowcipnisiowstwo parlamentar-nych gadułów z rozmownego Figara.

A zresztą jak zrozumieć bez poczucia humoru czas, który był może równie groteskowy jak tragiczny? Tak jak śmiesz nas zamaszysty idiotyzm czasów saskich, tak być może śmieszyć będzie przyszłe pokolenie obraz społeczeństw zachodnio-europejskich w okresie międzywojennym. Może rozgrzeszy go nawet uśmiech francuskiego czy angielskiego Chodźki? Nie będzie w tym uśmiechu nic z brutalnego poczucia wyższości. Nie ma okrucieństwa w uśmiechu, który wzbudza Molière, choć tak tragiczni są jego bohaterowie.

Jest coś prawdziwie zabawnego w zrekonstruowanym szkielecie mastodonta — „nieudanego” dzieła przyrody. Zjawisko kontrastu (*pariuntur montes, nascitur ridiculus mus*) nie jest zapewne podstawą poczucia humoru, ale jest bez wątpienia jednym z jego konstytutywnych elementów. Jeśli nieudolne powiązanie ogromu i niedoświetła, które pozwala skojarzyć naszą epokę z obrazem przedpotopowego trawożercy, ubawi przyszłych historyków — nie bierzmy im tego za złe: Zrekonstruowany przez uczonych, wybielony przez czas kościec epoki wyszczerzy do nich ponumerowane zęby w bezmyślnym, nieco zażenowanym uśmiechu.

Mylą się ci, którzy mówią o degeneracji społeczeństw zachodnich. Żyliśmy po prostu w nieudanym okresie historycznym, tak jak nieudany przyrodniczo tworem był mastodont, nieprzystosowany do życia i zatopiony w bezdennych rozlewiskach czasu.

PROBLEM INFANTYLIZMU

Psychoanaliza nie pojawiła się „przypadkiem” w myśli i jej dziejach. Elementy psychoanalitycznego ujęcia życia i terapii znane były od wieków filozofom i moralistom — jeśli zaktualizowały się w teorii Freuda, rozwinęły i rozpowszechniły — to dlatego przede wszystkim — że na progu XX wieku psychoanaliza była „potrzebniejsza” niż w wieku XVI czy XVII. Przemiany dziejowe stworzyły odpowiedni grunt dla rozwoju doktryny: rozwój neurozy wymagał odpowiedniej terapii.

Wynalazki i teorie nie formują historycznych przekształceń. Rzecz ma się zgoła inaczej. Skonstruowanie fortepianu wynikło na przykład ze zbliżającego się romantyzmu, który szukał odpowiednich dla siebie środków ekspresji muzycznej i nie mógł się już zadowolić suchym „more geometrico” brzmącym klaweksy-nem. Rozwój i adaptacja „nowych” teorii mówi nie tylko o rozwoju inwencji, ale i o strukturze epoki, która z ogromnej, historycznej rekwizytorni, mniej lub więcej sprecyzowanych pomysłów, wydobywa i pogłębia „potrzebne sobie” teorie życia czy artystycznego kształtowania.

Koncepcja Freuda jest, zapewne rewolucją w dziejach psychologii, ale jest i świadectwem choroby trawiącej czas i mówi o infantylnym egocentryzmie epoki, mówi o przewadze ślepych pragnień nad rzeczywistością, o bezmyślnym okrucieństwie papuziej imitacji i małej ciekawości!

Ministra, którego podziwiamy dziś we fraku — przyszłość — jeśli historycy obdarzeni będą poczuciem humoru — zobaczy przez okulary psychoanalityka. Zobaczy go w krótkich majtkach, w bluzie z marynarskim kołnierzem, z obtłuczonymi kolanami i broczą w kieszeni. Bo jakże inaczej nie odwołując się do klinicznego zaniku poczucia rzeczywistości — zrozumieć senną bezmyślność tych, którzy z ciekawością, z okien gabinetów patrzyli na rosnącą wojnę i jakże inaczej zrozumieć okrucieństwo tych, którzy wojnę narzucili światu.

OSŁABIENIE POCZUCIA RZECZYWISTOŚCI

Słabe poczucie rzeczywistości — cecha infantylnego — wydaje się być głównym zniekształceniem uczuciowym, które w przyszłości stanie się podmiotem współczucia i śmiechu.

Słowo „rzeczywistość” miało ostatnio szczególne wzięcie i było ostateczną instancją w wszelkich sporach. Zwykło się, na przykład mówić o jednym z mężów stanu, jako o wielkim realisście, zakładając tym samym, że rzeczywistość jest niczym innym jak umiejętnością oszustwa. Popularna w stolicach Europy piosenka za trzy grosze: „beafsteak d’abord et la morale après” sprowadzała rzeczywistość do kawałka wołowiny. Wyniki takiego pojmowania rzeczywistości nie dały na siebie czekać długo: zabrakło beafsteaków i moralności, której się w imię moralności wyrzeczono.

Różne znaczenie, jakie w rozwoju historycznym przypisujemy terminowi „rzeczywistość” — mówi nie tyle o jego nieuchwytności ile o strukturze moralnej epoki.

W wieku XVII, Kartezjusz chcąc udowodnić istnienie stołu, na którym pisał i krzesła na którym siedział, odwołał się do Boga jako do jedynej rzeczywistości oczywistej, poprzez którą dopiero — w słynnym wywodzie mógł uzasadnić istnienie stołu i krzesła. W pojęciu Boga widział bowiem wystarczającą rację egzystencji — rację, której nie umiał dostrzec w stole i sznyclu. Dla Kartezjusza Bóg był rzeczywistością konieczną — sznycel niekonieczną.

Operowaliśmy odwróconym poczuciem rzeczywistości, nic więc dziwnego, że przypisując realność politycznym combine’om i wołowinie — utraciliśmy właściwe poczucie rzeczywistości, i bezmyślni widzowie, staliśmy się ofiarą poważnych, uczuciowych zniekształceń.

Okrucieństwo i ciekawość — to dwa, spośród wielu, elementy infantylnego, które znalazły swój szczególny wyraz w czasach pogardy.

Ciekawość widza jest najohydniejszą formą kapitalizmu: pozwala partycypować w tragicznych dziejach świata, bez poważnego wkładu uczuciowego i bez poczucia odpowiedzialności. Jest to rentierstwo które streszcza się w odcinaniu kuponów od rzeczywistości.

Ciekawość u ichtologów czy entomologów, których pasjonuje każda wesz nieparzystokopytna jest całkowicie uzasadniona i znawca pcheł i karaluchów nie ustala hierarchii wartości — przyrodnik klasyfikuje. Ta sama ciekawość odniesiona do bliźnich, niezrównoważona przez miłość i współdziałanie, wydaje się być głęboko niemoralną. Jeśli wolno mówić o kompleksach historycznych, tak jak się mówi o kompleksach indywidualnych, to obciążeni byliśmy — jak się zdaje — kompleksem „spektatora”. Ciekawość widza paczy hierarchię wartości, skoro wartością jedyną jest „das Interessante” — równą ma wartość „interesujący” zbrodniarz i ciekawy myśliciel. Ta forma ciekawości zaważyła szczególnie na t.zw. społeczeństwach demokratycznych, które usprawiedliwiały jak najniesłuszniej zasady równości społecznej: aktorkę filmową, kardynała, braci syjamskich i Einsteina posadzono na jednej ławeczce jako nieprzeciętne, interesujące fenomena, jak owady, które przez szczególny układ cech nie mieszczą się w ramach gatunku.

Jeden z twórców dziennikarstwa — Le Clerc podobny do kronikarza pingwini — poległ przytłoczony tomami swej biblioteki. Biblioteka była zapewne źle dobrana i układ książek oparty był na fałszywej zasadzie: gmach z książek, jak gmach z cegieł różnego formatu i źle spojonych, runął grzebiąc pod ciężarem „in octo” i „in quarto” wielkiego publicystę. Dziennikarze lat przedwojennych, kolekcjonerzy ciekawostek różnego kalibru, nie umieli niestety wyciągnąć wskazań z tej tak pouczającej nauki.

METAFIZYKA ŚMIERCI WEDŁUG SIMMELA I FREUDA

Kultura życia wewnętrznego — pisze George Simmel związana jest ze znaczeniem jakie przypisujemy śmierci. Problem życia i problem śmierci — to dwa aspekty tego samego zagadnienia.

1) Mniemać, że w oznaczonej chwili nitka, która symbolizuje życie urywa się, to mniemać, że z tą chwilą dopiero śmierć przekształca życie. Śmierć jest w istocie konstytutywnym elementem życia i z daleka formuje już jego przebieg!

2) Zniekształcamy znaczenie śmierci wtedy, kiedy przedstawiamy ją w postaci Parki.

Lekkomyślny stosunek do śmierci jest jednocześnie powierzchownym pojmowaniem życia.

Infantylnizm nie może się z faktem śmierci pojednać. Jeśli świadomość godzi się z koniecznością jako z losem, którego odmienić nie może — to głębokie pokłady uczuciowe burzą się przeciw śmierci: nie możemy nawet (bo nie chcemy) wyobrazić sobie naszego zgonu — jeśli widzimy siebie na łożu śmierci — to zachowujemy sobie niemniej rolę widza, i tym samym zachowujemy istnienie. Bo logika uczuć różna jest od logiki Arystotelesa. Tradycyjny syllogizm w sformułowaniu uczuć jest czteroczłonowy.

- 1) Wszyscy ludzie są śmiertelni.
- 2) Sokrates jest człowiekiem.
- 3) Sokrates jest śmiertelny.
- 4) Nie jestem Sokratesem i nie wierzę w śmierć.

Freud był nie tylko psychologiem. Wbrew pozorom był przede wszystkim moralistą i dlatego chcąc się uporać z psychologicznym konfliktem odpowiada jako moralista: si vis vitam, para mortem.

Nie chcieliśmy się ze śmiercią pogodzić, zubożyliśmy więc życie i staliśmy się równocześnie ofiarą lęku przed śmiercią.

LĘK PRZED ŚMIERCIĄ

(O jednym z elementów pacyfizmu)

Podobnie jak okrucieństwo, lęk przed śmiercią jest trwałym elementem natury ludzkiej. Nie będziemy rozpatrywać jego wielorakich i złożonych form, mowa będzie o dwóch odmianach, na których znać piętno epoki.

Odmawia się często pacyfizmowi poważniejszego znaczenia w strukturze lat międzywojennych i w ich tragicznym rozwiązaniu. Nie mniej lęk przed śmiercią, który tak potężnie wyraził się w pacyfizmie, rozbroił nie tylko moralnie ale i materialnie społeczeństwa zachodnie, trawione wiarą w wartość czterocłonowego „infantylnego” syllogizmu, który z życia wyłączyć chce śmierć.

Pacyfizm — podobnie jak ciekawość — który staje poza życiem, przekreśla pojęcie wartości i ich hierarchii. Jest w doktrynie integralnego pacyfizmu sprzeczność, która oczernia doktrynę: pokój za wszelką cenę, nawet za cenę wyrzeczenia się doktryny, której nie chce w imię pokoju bronić.

Pacyfizm sprzedaje wszystkie wartości za cenę życia. A jakąż mogą mieć wartości zasady, w których obronie, życia nie stawia się w grę. Tak są marne jak życie nie urobione przez śmierć.

Jedna jest tylko śmierć haniebna, która życie urywa jak Parka: śmierć ze wstydu.

Spółeczeństwa zachodnie obrały wojnę w obronie pokoju. I tak odnajdą pokój jak odnalazły już życie. Nie mniej doktryna integralnego pacyfizmu obciąży sumienie lat międzywojennych. „Navigare necesse est — mówi stara maksyma — vivere non necesse est.” Pacyfizm obrał inną dewizę: „Fluctuat et merditur”. Jakże piękny jest splekany w ogniu, powleczony dymem herb Warszawy—Syrena—jak Wanda co nie chciała Niemca, znalazła wolność w szarym wiślanym nurcie.

Zmaganie się woli z naturą, zmaganie się umysłu, który „w górę się zrywa” z masą, która w dół ciąży — to obraz walki równoważonej w jednej tylko ze sztuk: w architekturze. Architektura posługując się rozkładem ciężaru i oporem materii według planu, którego zarys powstał w umyśle, pozostawia materii możliwość działania w tym samym stopniu, że stwarza złudzenie, jakoby materia zrealizowała ów plan o własnych siłach. Architektura jest zwycięstwem umysłu nad materią: podobny rezultat osiągnęlibyśmy kierując człowiekiem nie wbrew jego woli, lecz posługując się jego wolą, tak, aby zgodna z własnym założeniem i celem spełniała równocześnie nasze zamiary.

Ta jedyna w swoim rodzaju równowaga materii biernie odpornej i twórczości, która „w górę” dąży, rozbita jest wtedy gdy budowla wali się w ruinę. Przyroda triumfuje nad dziełem człowieka i zachwiana równowaga natury i umysłu przechyla się na stronę natury. Jest w tym zjawisku szczególny tragizm, który przyobleka ruiny cieniem melancholii i zniszczenie wydaje się jakby zemstą przyrody za gwałt, zadawany jej przez umysł ludzki, który posłużył się naturą, aby stworzyć kształt na własne podobieństwo. Odsłania się w ruinach rozwój obcych człowiekowi

sił i form i natura — biorąc odwet, posługuje się sztuką jako surowcem. Tak rodzi się nowa całość stworzona z natury i sztuki. I dlatego widok ruin daje wrażenie spokoju: w spięciu zmagających się sił zwyciężyła przyroda — walka wygasła. I dlatego też ruiny wiążą się tak dobrze z tłem pejzażu: wiążą się z nim jak polny kamień, wczepiają się w pejzaż jak drzewo. Jedynie ruiny znajdują wspólny z tłem koloryt — dzieła człowieka jakkolwiek przystosowane do terenu wyłaniają się z pejzażu i zdają się wypływać z innego porządku rzeczy. Tak starym tkaninom, mimo różnicy pierwotnych barw, wilgoć i susze, ciepło i chłód, tarcie i rozkład wewnętrzny, nadają w ciągu długich wspólnych losów jednolitość tonu i harmonijną patynę. Podobnie wzrost drzew, słońce i deszcz, mróz i skwar, wiążą ruiny z tłem, którego dzielą losy.

Zrównoważony przez architekturę konflikt między ciężeniem materii i konstruktywną siłą umysłu jest obrazem naszej stałej walki wewnętrznej. Zmagają się w człowieku skłonności, które wyrazić można — w przestrzennym umysłowaniu jako „pęd ku górze” — z siłami — które podobne biernej materii ciężą do ośrodka ciemnej, złej natury człowieka. W walce, w ciągłej przemianie, która znaczy właściwy życiu wewnętrznemu niepokojny rytm, żyjemy na skrzyżowaniu dwóch, równie w nas mocnych sił. Stare mury nasycone spokojem — łączą w sobie wrogie siły umysłu i przyrody, które pleśń patynuje jednakową barwą.

Tym tłumaczy się szczególnie urok ruin i „charme” dekadencji. Dekadencja — zjawisko banalne i właściwe każdemu niemal stuleciu — nacechowana jest, podobnie jak wielkie okresy schyłkowe bogatą i zróżnicowaną kulturą, wrażliwością i umiejętnością adaptacji, które kojarzą w swoistym eklektyzmie nieprzejednane żywioły.

Tak wygasające ognisko rozkłada fałdy popiołu wzdłuż ciemniejących żeber zetknięcia drzewa i powleka żar sinym pyłem.

Śmierć wygnana tchórzliwie z kręgu świadomości, zabarwia, niemniej, tło psychiczne niepokojem i trwogą. Epoka nasza wróciła do ruin, nie po to, aby wzorem romantyków rozmyślać w cieniu złamanej kolumny, ale po to, aby odświeżyć ruiny i tak zachować szczątki dogasającego życia. Właściwy romantyzmowi „le goût des ruines” wyrodził się z konserwatorstwa, jest jedną z wielorakich i nieuchwytnych form lęku przed śmiercią: osłabiona wiara w inny niż doczesny cel życia znajduje kompensatę w trwaniu przedmiotów pięknych: pałaców, katedr, fresków, którym człowiek przekazuje utracone poczucie własnej indywidualnej nieśmiertelności.

Natura rzeźbi dzieła sztuki i wiatr bijący w stare mury podobny jest do śmierci, której cień modeluje powierzchnię życia, nadając mu relief i głębię. Jest w konserwatorstwie jak i w pacyfizmie tchórzliwa kapitulacja: życie za wszelką cenę. Nawet za cenę estetycznej wartości dzieła. Bo piękna jest śmierć niepodpartego drągami zamku, który na wzgórzu, plukany deszczem i targany wiatrem, kona jak orzeł z Mickiewiczowskiego matecznika któremu lata zamknęły dziób. Odświeżone, wydarte przyrodzie ruiny zamku średniowiecznego burzą poczucie rzeczywistości i podobne są do wypchanej sowy. Ruiny mają swoistą wartość estetyczną — trzeba im pozostawić dostojność konania.

Strawieni lękiem i pozbawieni wiary w własne siły, pochyliłiśmy się nad stygającym ogniskiem rozgarniając fałdy popiołu, jakby niepewni czy z dogasającym żarem nie zgaśnie ostatni

plomyk twórczości. Konserwatorstwo jest czymś skierowanym przeciw rzeczywistości — jest wyrazem braku wiary we własne siły twórcze i mówi o utracie wiary w nieśmiertelność duszy indywidualnej.

Zniekształcenia uczuciowe, o których była mowa, wpłynęły obok innych, na zanik poczucia wielkości. Mimo pozorów, człowiek spragniony jest wielkości. Pozbawieni wartości prawdziwej t.j. niewymiernej, ludzie dali się uwieść wielkości wymiernej t.j. pozornej. Pozbawiony pokory, miłości, nadziei i wiary w ostateczną sprawiedliwość i cel istnienia, czas nasz dał się uwieść wielkościom wymiernym — małym — które narzucił mu totalizm — w rozmiarach stadionów, w rozciągłości autostrad, i chamstwa. I tak jakby na świni ogromnej siedząc okrakiem, na połączonym bydłęciu bestii apokaliptycznej wjechał wodzowie, kopnięciem buta rozwalając wrota przeszłości.

VERCORS

MILCZENIE MORZA

Opowieść
przekład

WACŁAWA ROGOWICZA

(*Pamięci Saint-Paul-Roux zamordowanego poety.*)

PRZEMIANA

Zamiast przedmowy *)

Winien tu był może Rainer Maria Rilke — czytanie jego dzieła w dniu, kiedy autorowi tej powieści zdało się, że każde słowo Rilkego dyktuje mu, co jest jego obowiązkiem.

Bywał czasami w Paryżu — możliwie rzadko. Paryż, w owym czasie, doprowadzał go do rozpacy, Paryż budził w nim odrazę. Nie nasz Paryż, ani wasz, ani mój. Lecz ten Paryż, jaki *oni* zrobili. Wracając do domu myślał:

Czy jest możliwe, żeby to było wszystko co zostało? Te flagi wiszą teraz wszędzie. Ludzie zdają się ich nie widzieć. Ale to może przyzwyczajenie, to może dlatego, że zbyt wiele już ich widzieli. Czy to możliwe, żeby nie wzdrygali się, nie płakali, nie krzyczeli?

Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby w wielu sklepach traktowano uprzejmiej ich niż nas? Nam odpowiadają tam: „Nie ma już nic”, jeśli nalegamy wyrzucają nas za drzwi, a jeśli nie chcemy ustąpić idą po policję. Czy jest możliwe, by to co ukryto w pakamerze nie było dla nas lecz dla nich — z głębokimi ukłonami i ze znaczącym uśmiechem?

Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby znalazło się tylu ludzi, co myślą sobie: „Mogę ograbić tego Żyda, skoro to jest dozwolone. To jest nawet zalecane”, i przeglądają się potem w lustrze z zadowoleniem?

I tylu innych jeszcze, co mówią sobie: „Niech tam inni biją się i umierają za te głupstwa. Co mnie one obchodzą, skoro żyję dobrze i nabijam sobie kabzę?”

* Ta przedmowa, napisana do 2 wydania (potajemnego) „*Milczenia morza*”, nie została ogłoszona drukiem: uznano wówczas za przedwczesne informowanie czytelników, że autor nie jest pisarzem zawodowym.

Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby to oblicze Paryża i Francji, które nie jest obliczem prawdziwym, było jedynym, jakie świat może widzieć? Żeby był nim tylko ten kawałek zgangrenowanego profilu, podczas gdy inny, profil wyniosły i czysty, jest ukryty w cieniu i w milczeniu, pod woalami wstydlivości, które winne by raczej zasłaniać przed ludzkim wzrokiem ów wstrętny wrzód?

Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby ci wszyscy wydawcy, na jedno skinienie, pobiegli w dyrdy na przedpokoje, po rozkazy? I żeby tam spotkali tylu pisarzy?

I jeszcze: żeby inni potrafili tylko milczeć lub mówić tak cicho, że ledwie ich można usłyszeć?

Tak, to jest możliwe.

I oto, postawiwszy sobie te pytania, w takiej samej nawet formie, w jakiej Malte Laurids Brigge postawił sobie swoje, które, choć bardziej wieczyste nie były przez to bardziej przejmujące, jakże autor mógł odmówić odpowiedzi na nie?

„Ale, jeżeli to wszystko jest możliwe, jeżeli to wszystko ma bodaj pozór możliwości, no to trzeba, na miłość boską, trzeba żeby coś się stało. Pierwszy lepszy, ten który miał te niepokojące myśli, powinien zacząć coś robić z tego co zostało zaniedbane: kimkolwiek byłby, choćby najmniej wskazanym, skoro nie ma innego. Ten Brigge, ten cudzoziemiec, ten młody człowiek bez znaczenia będzie musiał sięść i na swym piątku będzie musiał pisać, pisać dzień i noc. Tak, będzie musiał pisać, tym się to skończy”.

(Początek tekstu opowieści)

Przybycie jego poprzedził ruch całego aparatu wojskowego. Naprzód dwóch szeregowców, obaj bardzo jasne blondasy, jeden niemrawy i chudy, drugi barczysty, o rękach kamieniarza. Obejrzeni dom, nie wchodząc. Potem zjawił się podoficer. Niemrawy szeregowiec towarzyszył mu. Zwrócili się do mnie w języku, który brali za francuszczyznę. Nie rozumiałem ani słowa. Mimo to pokazałem im wolne pokoje. Wyglądało, że są zadowoleni.

Nazajutrz rano, wojskowe auto-torpeda, szare i ogromne, wtargnęło do ogrodu. Szofer i młody żołnierz, szczupły blondyn uśmiechnięty, wytaszczyli z samochodu dwie skrzynie i gruby tłumok w szarym płótnie. Wszystko to wnieśli na górę do najobszerniejszego pokoju. Torpeda odjechała i w kilka godzin później usłyszałem kawalkadę. Zjawito się trzech kawalerzystów. Jeden z nich zsiadł z konia i poszedł obejrzeć stary budynek z kamienia. Wrócił, i wszyscy, konie i ludzie, weszli do stodoły, która mi służy za pracownię. Później zobaczyłem, że sztabę żelazną mego warsztatu wbili w dziurę w ścianie, między dwa kamienie, przywiązali do sztaby linkę, a konie do linki.

Przez dwa dni nic nowego nie szzło. Nie widziałem nikogo. Kawalerzyści wychodzili wczesnym rankiem ze swymi końmi, przyprowadzali je wieczorem, a sami spali na słomie, którą sobie rozestali na górze.

Po czym, trzeciego dnia rano, wielka torpeda powróciła. Uśmiechnięty żołnierz dźwignął duży, oficerski kufer na ramię i zaniósł go do pokoju. Wziął potem swoją torbę, którą złożył w pokoju sąsiednim. Zeszedł na dół i, zwracając się do mej siostrzenicy w poprawnej francuszczyźnie, poprosił o pościel.

* * *

Gdy zastukano, poszła otworzyć moja siostrzenica. Dopiero co podała mi kawę, jak co wieczór (po kawie lepiej śpię). Siedziałem w głębi pokoju, raczej w cieniu. Drzwi wychodzą na ogród, wprost, bez schodków.

Wzdłuż całego domu biegnie chodnik z czerwonych płytek, bardzo wygodny gdy pada. Usłyszeliśmy, że ktoś idzie, stuk obcasów na płytach. Siostrzenica spojrzała na mnie i postawiła swą filiżankę. Ja trzymałem swoją w rękach.

Było ciemno, niezbyt zimno: ten listopad nie był zbyt zimny. Ujrzałem olbrzymią sylwetę, płaską czapkę, płaszcz nieprzemakalny, zarzucony na ramiona jak peleryna.

Siostrzenica otworzyła drzwi i milczała. Drzwi rozwarła na oścież, sama stała przy ścianie, na nic nie patrząc. Ja piłem kawę drobnymi łykami.

Oficer we drzwiach powiedział: „S'il vous plait”. Skłonił się lekko głową. Zdawał się mierzyć ciszę. Potem wszedł.

Płaszcz zsunął mu się z ramienia, zasalutował i zdjął czapkę. Obrócił się do mej siostrzenicy, uśmiechnął się dyskretnie, pochylając bardzo lekko tors. Potem stanął na wprost mnie i złożył mi głębszy ukłon. Rzekł: „Nazywam się Werner von Ebrennac”. Zdażyłem pomyśleć, bardzo szybko: „Nazwisko nie jest niemieckie. Potomek emigranta protestanta?” Dodał: „Bardzo mi przykro”.

Ostatnie słowo, wymówione rozciągliwie, zapadło w ciszę. Siostrzenica zamknęła drzwi i stała wciąż oparta plecami o ścianę, patrząc prosto przed siebie. Ja nie wstałem. Postawiłem powoli swoją pustą filiżankę na fisharmonii, skrzyżowałem ręce i czekałem. Oficer powiedział znowu: „To było oczywiście konieczne. Byłbym tego uniknął, gdyby to było możliwe. Sądzę, że mój ordynans zrobi wszystko dla spokoju państwa”. Stał pośrodku pokoju. Gdyby podniósł ramię, dotknąłby belek.

Głowa jego była z lekka pochylona naprzód, jak gdyby szyja nie była osadzona w barkach, lecz tam, gdzie zaczynała się pierś. Nie był przygarbiony, ale to sprawiało, że tak wyglądał. Jego wąskie biodra i barki zwracały uwagę. Twarz była piękna. Męska i naznaczona dwiema dużymi brózdami wzdłuż policzków. Nie było widać oczu, które skrywał mocny cień łuków brwiowych. Wydały mi się jasne. Włosy były blond, miękkie i odrzucone w tył, połyskiwały jedwabisto pod światłem pająka.

Milczenie przeciągało się. Stawało się coraz gęstsze, jak mgła poranna. Gęste i nieruchome. Nieruchomość mej siostrzenicy, moja zapewne również, dodawały ciężaru temu milczeniu, czyniły je ołowianym. Sam oficer, zdezorientowany, stał bez ruchu, do chwili gdy wreszcie ujrzałem zaczątek uśmiechu na jego wargach. Uśmiech jego był poważny i bez żadnego śladu ironii. Zrobił ręką nieznaczny ruch, którego sens wymknął mi się. Oczy jego spoczęły na mej siostrzenicy, wciąż sztywnej i wyprostowanej, i mogłem patrzeć dowolnie na mocny profil, na nos wydatny i cienki. Widziałem jak w na wpół przymkniętych wargach błyszczą złoty ząb. Wreszcie odwrócił oczy, popatrzał na ogień na kominku i rzekł: „Mam wielki szacunek dla osób, kochających swą ojczyznę”, i uniósł raptem głowę i wpatrzył się w anioła wyrzeźbionego nad oknem. „Mógłbym teraz iść do swego pokoju, rzekł. Ale nie znam drogi”. Siostrzenica otworzyła drzwi wychodzące na małe schody i zaczęła iść po stopniach, bez jednego spojrzenia dla oficera, jak gdyby była sama. Oficer szedł za nią. Zobaczyłem wówczas, że miał jedną nogę sztywną. Usłyszałem jak mijali przedpokój, kroki Niemca rozległy się w korytarzu, na przemian mocne i słabe, jakieś drzwi otworzyły się, potem zamknęły. Siostrzenica wróciła. Wzięła swoją filiżankę i dalej piła kawę. Ja zapaliłem fajkę. Milczeliśmy kilka minut. Powiedziałem: „Dzięki Bogu wygląda przyzwoicie”. Siostrzenica wruszyła ramionami. Pociągnęła na kolana moją aksamitną kurtkę i dokończyła wstawiania w nią niewidocznej łąty, którą zaczęła przyszywać tego dnia.

* * *

Nazajutrz rano oficer zszedł na dół, gdy jedliśmy pierwsze śniadanie w kuchni. Inne schody tam prowadzą i nie wiem, czy Niemiec nas usłyszał, czy też przypadkowo poszedł tamtędy. Zatrzymał się na progu i rzekł:

„Spędziłem bardzo dobrą noc. Pragnąłbym, żeby państwa noc była równie dobra”. Rozglądał się po obszernej izbie z uśmiechem. Że mieliśmy mało drzewa i jeszcze mniej węgla, odmalowałem ją, ściągnęliśmy tam trochę mebli, starych naczyń miedzianych i talerzy, żeby tam zamknąć nasze życie na czas zimy. Oglądał to wszystko i widać było polyskujące brzegi jego bardzo białych zębów. Zobaczyłem, że oczy ma nie niebieskie, jak sądziłem, lecz złotawe. Wreszcie przeszedł przez izbę i otworzył drzwi do ogrodu. Zrobił dwa kroki i odwrócił się, by popatrzeć na nasz długi, niski dom, o starych brunatnych dachówkach, pokryty szpalerami i winną łożą. Uśmiech mu się poszerzył. — Wasz stary mer powiedział mi, że będę mieszkał w pałacu, rzekł wskazując dłonią pretensjonalną budowlę, którą nagie drzewa pozwalały dojrzec nieco wyżej na wzgórzu. Pochwaliłem moich ludzi, że się pomylili. Tutaj jest daleko piękniejszy pałac. Potem zamknął drzwi, ukłonił nam się przez szyby i poszedł sobie. Wrócił wieczorem o tej samej porze co wczoraj. Piliśmy kawę. Zapukał, ale nie czekał, żeby moja siostrzenica otworzyła. Otworzył drzwi sam: „Obawiam się, że państwu przeszkadzam, rzekł. Jeśli wolicie, będę wchodził kuchnią: wówczas zamkniecie te drzwi na klucz”. Przeszedł przez pokój i zatrzymał się chwilę z ręką na klamce, rozglądając się po różnych kątach saloniku. Wreszcie skłonił się lekko: „Życzę państwu dobrej nocy” i wyszedł. Nie zamknęliśmy nigdy drzwi na klucz. Nie jestem pewny, czy powody tej powściągliwości były bardzo jasne i bardzo czyste. Za milczącą zgodą postanowiliśmy, moja siostrzenica i ja, nie zmieniać nic w naszym trybie życia, najmniejszego bodaj szczegółu: jak gdyby oficer nie istniał, jak gdyby był widmem. Lecz, może być, inne uczucie dołączyło się w mym sercu do tego postanowienia: nie mogę spokojnie obrażać człowieka, choćby to był mój wróg. Długi czas—miesiąc z górą—ta sama scena powtarzała się codziennie. Oficer pukał i wchodził. Mówił parę słów o pogodzie, o temperaturze, lub na jakiś temat równej wagi, gdyż wspólną ich cechą było to, że nie oczekiwały odpowiedzi. Zatrzymał się zawsze trochę przy drzwiach. Rozglądał się. Leciutki uśmiech wyrażał przyjemność, jaką widocznie sprawiał mu te oględziny, — codziennie te same oględziny i ten sam uśmiech. Oczy jego zatrzymywały się na pochylonym profilu mej siostrzenicy, nieodzownie surowej i nieczulej, i gdy wreszcie odrywał od niej wzrok, jestem pewny, że mógłbym wyczytać w nim coś w rodzaju uśmiechniętej aprobaty. Potem mówił z ukłonem: „Życzę państwu dobrej nocy” i wychodził. Zmieniło się to raptownie pewnego wieczora. Padał drobny śnieg zmieszany z deszczem, przejmujący dotkliwym chłodem i mokry. Paliłem na kominku grubymi polanami, które miałem w zapasie na taki czas. Mimo woli wyobrażałem sobie oficera na dworze, jego wygląd, gdy wejdzie ubielony. Ale nie przyszedł. Dawno minęła pora jego przyścia i drażniła mnie świadomość, że o nim myślę. Moja siostrzenica robiła coś na drutach, wolno i na oko pilnie tym zajęta. Wreszcie dały się słyszeć kroki. Ale z wnętrza domu. Poznałem, po ich nierównych odgłosach, chód oficera. Zrozumiałem, że wszedł innymi drzwiami, że przychodzi ze swego pokoju. Zapewne nie chciał ukazać się nam w mundurze przemokłym, wyglądając byle jak: przebrał się uprzednio. Kroki — jeden mocny, drugi słaby — zeszyły po schodach. Drzwi się otworzyły i oficer się zjawił. Był po cywilnemu. Spodnie miał z grubej szarej flaneli, kurtkę ze stalowo-błękitnego tweedu w centki brązowe o ciepłym tonie. Szeroka i luźna, leżała na nim z pełną elegancji swobodą. Pod kurtką koszulka kremowa z grubej wełny obcisłała tors szczupły i muskularny. — Proszę mi wybaczyć, rzekł. Nie jest mi ciepło. Bardzo przemokłem, a mój pokój jest bardzo zimny. Pogrzeję się parę minut przy ogniu państwa. Przykucnął z trudnością przed kominkiem, wyciągnął dłonie. Obracał je w różne strony. Mówił: „Dobrze!... O, dobrze!...”. Odwrócił się na piętach i wystawił na ogień plecy, wciąż siedząc w kucki i obejmując rękami kolano.

— Tutaj to nic, powiedział. Zima we Francji jest łagodna. W moich stronach jest znacznie surowsza. Bardzo. Drzewa — to sosny, gęste bory, śnieg ciężko leży na nich. Tutaj drzewa są delikatne. Śnieg na nich to koronka. U mnie myśli się o byku, krępy i potężny, który potrzebuje swej sily żeby żyć. Tutaj jest duch, myśl subtelna i poetyczna. Głos jego był dość głuchy, miał bardzo mało dźwięku. Mówił z lekkim akcentem, zaznaczonym tylko na spółgłoskach twardych. Całość była podobna do brzęczenia dużych owadów, raczej śpiewnego. Wstał. Oparł przedramię o okap wysokiego kominka, a czoło o wierzch dłoni. Był tak wysoki, że musiał się nieco zgarbić, ja nie zawadziłbym o to miejsce nawet ciemieniem. Trwał tak bez ruchu dość długo, bez ruchu i bez słowa. Moja siostrzenica przebierała drutami z żywością mechaniczną. Nie rzuciła nań okiem, ani razu. Ja palilem, na wpół wyciągnięty w moim wielkim miękkim fotelu. Myślałem, że ciężkością naszego milczenia nic nie zdoła wstrząsnąć, że ten człowiek ukloni nam się i pójdzie. Ale brzęczenie, głuche i śpiewne, rozległo się znowu, nie można powiedzieć, że przerwało ciszę, było to raczej tak, jakby się z niej zrodziło.

— Kochałem zawsze Francję, rzekł oficer, nie ruszając się z miejsca. Byłem dzieckiem podczas tamtej wojny i to co myślałem wówczas, nie liczy się. Ale od tego czasu kochałem ją zawsze. Tylko to było z daleka. Jak księżniczkę zza morza! Zrobił pauzę, zanim powiedział z powagą: „Z powodu mego ojca”. Obrócił się i, z rękami w kieszeniach kurtki, oparł się o węgar kominka. Głowa jego zawadzała trochę o wspornik. Od czasu do czasu ocierał się o niego powoli potylicą, ruchem naturalnym jelenia. Tuż obok stojący fotel zapraszał do siedzenia. Nie siadł tam. Do ostatniego dnia nie usiadł nigdy. Nie zaprosiliśmy go na fotel i nie zrobił nic, nigdy, co mogłoby uchodzić za poufałość.

Powtórzył:

— Z powodu mego ojca. Był on gorącym patriotą. Klęska sprawiła mu ostry ból. A jednak kochał Francję. Kochał Brianda, wierzył w Republikę Wejmarską i w Brianda. Był to wielki entuzjasta. Mówił: „On nas połączy jak męża z żoną”. Myślał, że słońce wszędzie wreszcie nad Europą... Mówiąc patrzył na moją siostrzenicę. Nie patrzył na nią, jak mężczyzna patrzy na kobietę, lecz jak patrzy na posąg. Istotnie to był posąg. Żywy posąg, ale posąg. —...Ale Briand został pokonany. Ojciec mój urządził, że Francją kierują jeszcze wasi wielcy okrutni burżuazyści — tacy ludzie jak wasi de Wendel, Henry Bordeaux i wasz stary Marszałek. Powiedział mi: „Nie udasz się nigdy do Francji, póki nie będziesz mógł wejść tam w butach wojskowych i w hełmie”. Musiałem to przyrzec, gdyż był bliski śmierci. W chwili wybuchu wojny znałem całą Europę, z wyjątkiem Francji. Uśmiechnął się i rzekł, jakby to było wytłumaczeniem: „Jestem muzykiem”. Jedno z polan zapadło się, żar posypał się z paleniska. Niemiec nachylił się, zebrał żar szczypcami. Ciągnął dalej: — Nie jestem wykonawcą: komponuję muzykę. To jest całym moim życiem i, w ten sposób, jestem dla siebie śmieszną figurą w postaci wojownika. Jednakże nie żałuję tej wojny. Wierzę, że z tej oto wynikną wielkie rzeczy... Wyprostował się, wyjął ręce z kieszeni i trzymał je na wpół podniesione: — Proszę mi wybaczyć: być może, mogłem państwu dotknąć. Ale to co mówię, to myślę ze szczerego serca: myślę tak z miłości do Francji. Wynikną bardzo wielkie rzeczy dla Niemiec i dla Francji. Myślę, jak mój ojciec, że słońce będzie świecić nad Europą.

Zrobił dwa kroki i pochylił tors. Jak co wieczór, rzekł: „Życzę państwu dobrej nocy”. Potem wyszedł. Dokończyłem spokojnie mej fajki. Zakastałem trochę i powiedziałem: „To jest może wielkie odmawianie mu datku jednego słowa”. Moja siostrzenica podniosła twarz. Unosiła bardzo wysoko brwi, nad oczami błyszczącymi i oburzonymi. Poczulem, że niemal się rumienię.

* * *

Od tego dnia zaczął się nowy tryb jego wizyt. Widywaliśmy go już rzadko po wojskowemu. Przebierał się po powrocie do domu i dopiero potem pukał do naszych drzwi. Czy robił to, żeby nam oszczędzić widoku wrogiego mundurów? Czy też, żebyśmy o nim zapomnieli — byśmy przywykli do jego osoby? Niezawodnie i jedno i drugie. Pukał i wchodził, nie czekając na odpowiedź, której, wiedział o tym dobrze, nie dalibyśmy mu. Robił to z całą naturalnością i przychodził ogrzać się przy ogniu — pretekst, który ani jego ani nas nie wyprowadzał w pole, którego charakteru, wygodnie konwencjonalnego, nie usiłował nawet ukryć. Nie przychodził bezwarunkowo co wieczór, ale nie przypominam sobie ani jednego, żeby przyszedł i nie odzywał się. Pochylał się nad ogniem i, podczas gdy poddawał ciepłu płomienia jakąś część siebie, jego mało dźwięczny głos podnosił się łagodnie, i był to, podczas tych wieczorów, na tematy mieszkające w jego sercu — jego kraj, muzyka, Francja — monolog bez końca, gdyż ani razu nie spróbował uzyskać od nas odpowiedzi, przytaknięcia, lub bodaj spojrzenia. Nie mówił długo — nigdy znacznie dłużej niż pierwszego wieczoru. Wypowiadał kilka zdań, czasem przerywanych pauzami, czasem wiążących się ze sobą z monotonną ciągłością modlitwy. Niekiedy stał nieruchomy przy kominku jak kariatyda, niekiedy zbliżał się, nie przerywając sobie, do jakiegoś przedmiotu, do jakiegoś rysunku na ścianie. Potem milkł, kłaniał się i życzył nam dobrej nocy. Powiedział pewnego razu (było to w pierwszych czasach jego odwiedzin):

— Gdzie jest różnica między ogniem w moich stronach a tutejszym? Oczywiście, drwa, ogień, kominek, są do siebie podobne. Ale nie światło. Ono zależy od przedmiotów, które oświetla — od mieszkańców tego saloniku, od sprzętów, od ścian, od książek na półkach. Dlaczego tak lubię ten pokój? rzekł w zamyśleniu. Nie jest tak piękny — och, przepraszam!...Roześmiał się: Chciałem powiedzieć: to nie jest pokój muzealny...O meblach państwa nie powie się: co za cuda! Nie...ale ten pokój ma duszę. Cały ten dom ma duszę. Stał przed półkami biblioteki. Jego palce przesuwały się po oprawach, pieszczołliwie.

— ...Balzac, Barres, Baudelaire, Beaumarchais, Boileau, Buffon,... Chateaubriand, Corneille, Descartes, Fenelon, Flaubert...La Fontaine, France, Gautier, Hugo...co za apell! rzekł z lekkim uśmiechem i kiwając głową. „A jestem dopiero przy literze H!...Nie ma jeszcze ani Moliera, ani Rabelais, ani Racine’a ani Pascala, ani Stendhala, ani Woltera, ani Montaigne’a, ani wszystkich innych!...Przesuwał się dalej przed książkami, i od czasu do czasu wyrzykało mu się nieznaczące „Ha!” gdy, przypuszczam, czytał nazwisko, o którym nie myślał. „Anglicy, mówił dalej — zaraz się myśli: Szekspir, Włosi: Dante. Hiszpania: Cervantes. A my zaraz: Goethe. Potem trzeba szukać. Ale jeśli się powie: a Francja? Wówczas, kto wnet się wynurza? Molier? Racine? Hugo? Wolter? Rabelais? czy kto inny? Tłoczą się, jak tłum przy wejściu do teatru, nie wiadomo, kogo wpuścić pierwszego. Ale co do muzyki, to znów u nas: Bach, Haendel, Beethoven, Wagner, Mozart...które imię nasuwa się pierwsze?

„I my toczyliśmy ze sobą wojnę!” rzekł z wolna, potrząsając głową. Wrócił do kominka, i jego uśmiechnięte oczy spoczęły na profilu mej siostrzenicy. „Ale to ostatnia! Nie będziemy się więcej bili ze sobą: zostaniemy małżeństwem!” Powieki mu się zmarszczyły, zagłębienia pod kośćmi policzkowymi zaznaczyły się parą długich dołeczków, ukazały się białe zęby. Powiedział wesoło: „Tak, tak!” Krótkie kiwnięcie głową powtórzyło to twierdzenie. „Kiedy weszliśmy do Saintes, ciągnął po chwili milczenia, byłem rad, że ludność przyjmuje nas dobrze. Bardzo byłem rad. Myślałem sobie: to łatwo pójdzie. A potem zobaczyłem, że to jest zupełnie nie tak, że to było tchórzostwo”. Spoważniał. „Nabrałem pogardy dla tych ludzi. I boję się o Francję. Myślałem sobie: czy ona naprawdę taka się stała?” Potrząsnął głową: „Nie! Niel! Zobaczyłem to później; i teraz, jestem szczęśliwy, że ma oblicze surowe”. Jego

wzrok skierował się na mój — który odwracałem — zatrzymał się trochę w różnych punktach pokoju, po czym powrócił na twarz, bezlitośnie nieczułą, gdzie przedtem spoczywał.

— Jestem szczęśliwy, że znalazłem tutaj czcigodnego starego pana. I milczącą pannę. Trzeba będzie pokonać to milczenie. Trzeba będzie pokonać milczenie Francji. To mnie nęci.

Patrzył na moją siostrzenicę, na czysty profil uparty i skupiony, w milczeniu i z poważną natarczywością, gdzie wszelako błąkały się jeszcze resztki uśmiechu. Siostrzenica czuła to. Widziałem jak z lekka się rumieni, jak powoli zarysowuje się zmarszczka między jej brwiami. Jej palce pociągały nieco zbyt żywo, zbyt ostro igłę, tak że mogła pęknąć nić.

— Tak, podjął wolno głuchawy głos, tak jest lepiej. Dużo lepiej. To tworzy związki trwałe — związki, gdzie każda strona zyskuje na wielkości... Jest bardzo ładna bajka dla dzieci, którą ja czytałem, którą państwo-ście czytali, którą czytali wszyscy. Nie wiem, czy tytuł jest ten sam w obu krajach. U mnie bajka nazywa się: *Das Tier und die Schöne* — Zwierz i Piękna. Biedna Piękna! Zwierz trzyma ją w swej mocy — bezsilną i uwięzioną — narzuca jej o każdej porze dnia swą nieubłaganą i uciążliwą obecność... Piękna jest dumna, dostojna — zrobiła się bezwzględna... Ale Zwierz jest lepszy niż się wydaje. Och! nie jest bardzo ociosany! Jest niezręczny, brutalny, wygląda na gburę przy Pięknej, tak wytwornej! Ale ma on serce, tak, ma duszę, która pragnie się wznieść. Gdyby Piękna chciała!... Piękna nie kwapi się z chceniem. Jednakże, stopniowo, odkrywa w głębi oczu nienawidzonego dozorcę więzienia światelko — refleks, gdzie można czytać jego modlitwę i miłość. Mniej czuje ciężką łapę, mniej łańcuchy swego więzienia... Przestaje nienawidzić, ta stałość ją wzrusza, wyciąga dłoń... Natychmiast Zwierz się przeobraża, czary, które trzymały go w tej barbarzyńskiej skórze, pierzchły: teraz jest to młodzian bardzo piękny i bardzo czysty, delikatny i wykształcony, którego każdy pocałunek Pięknej zdobi zaletami coraz bardziej promiennymi... Ich związek ustala szczęście doskonale. Ich dzieci, które mnożą i łączą ze sobą cechy rodziców, są najpiękniejsze jakie nosiła ziemia... Czy państwo nie lubili tej bajki? Ja lubiłem ją zawsze. Odczytywałem ją ustawicznie. Wyciskała mi łzy. Lubilem zwłaszcza Zwierza, bo rozumiałem jego cierpienie. Jeszcze dziś jestem wzruszony, gdy o tym mówię.

Umilkł, odetchnął mocno i sklonił się: „Życzę państwu dobrej nocy”.

* * *

Pewnego wieczoru, gdym wyszedł do swego pokoju po tytoń, usłyszałem pieśń płynącą z fisharmonii. Grano te „VIII Preludium i Fugę”, nad którymi pracowała moja siostrzenica przed pogromem. Zeszyt z nutami pozostał otwarty na tej stronicy, ale, aż do tego wieczoru, siostrzenica nie zdecydowała się na wznowienie swych ćwiczeń. Że je podjęła na nowo, wywołało to we mnie przyjemne zdumienie: jakaś konieczność wewnętrzna mogła istotnie skłonić ją nagle do tego.

To nie ona była. Nie opuściła ani swego fotelu, ani swej roboty. Spojrzenie jej wyszło na spotkanie mojego, posłało mi meldunek, którego nie odcyfrowałem. Przyglądałem się uważnie długiemu torsowi przed instrumentem, pochyłonemu karkowi, dłoniom długim, delikatnym, nerwowym, których palce przesuwają się po klawiszach jak samodzielne jednostki.

Zagrał tylko „Preludium”. Wstał —, wrócił do kominka.

— Nie ma nic większego niż to, rzekł swym głuchym głosem, co nie wzniósł się wiele wyżej nad szept. „Większego?... to nie jest nawet właściwe słowo. Coś poza człowiekiem — poza jego ciałem. To nam pozwala zrozumieć, nie: odgadnąć... nie: przeczuć... czym jest natura... natura boska i niepoznawalna... natura... pozbawiona duszy ludzkiej. Tak, to jest muzyka nieludzka”.

Zdawał się, w zadumany milczeniu, sondować własną myśl. Gryzł sobie powoli wargę.

— Bach...on mógł być tylko Niemcem...Nasza ziemia ma ten charakter: ten charakter nieludzki. Chcę przez to powiedzieć: nie na miarę człowieka.

Pauza, potem:

— Te muzykę ja kocham, podziwiam ją, ona napęłnia mnie po brzegi, jest ona we mnie jakby obecnością Boga, ale...ale to nie jest moja muzyka. Ja chcę stworzyć muzykę na miarę człowieka: to również jest drogą do osiągnięcia prawdy. To jest *moja* droga. Nie chciałbym, nie mógłbym iść inną. To, teraz, wiem już. Wiem całkowicie. Od kiedy? Odkąd żyję tutaj.

Obrócił się do nas plecami. Oparł ręce na okapie, trzymał go się palcami i wystawił twarz na płomień między ramionami, jakby poprzez pręty kraty. Głos jego stał się głuchszy i bardziej bezdźwięczny:

— Teraz potrzeba mi Francji. Ale chcę wiele: chcę żeby ona mnie przyjęła. To nic nie jest być w niej jako cudzoziemiec—turysta czy zdobywca. Ona nie daje wówczas z siebie nic — bo nie można nic jej wziąć, nie można jej zdobyć. Trzeba ją pić u jej piersi, trzeba żeby podała swą pierś w ruchu i w uczuciu macierzyńskim... Wiem dobrze, że to zależy od nas... Ale to zależy również od niej. Trzeba żeby zechciała zrozumieć nasze pragnienie i żeby zechciała je ugasić...żeby zechciała z nami się zjednoczyć.

Wyprostował się, wciąż odwrócony do nas plecami, nie przestając trzymać się palcami kamienia.

— Trzeba mi będzie, rzekł nieco głośniejszym głosem, żyć tutaj, długo. W domu podobnym do tego. Jako syn wsi podobnej do tej wsi... Trzeba będzie...

Umilkł. Obrócił się ku nam. Uśmiechały się jego usta, ale nie oczy, patrzące na moją siostrzenicę.

— Przeszkody zostaną pokonane, rzekł. Szczerowość zawsze pokonywa przeszkody. „Życzę państwu dobrej nocy”.

* * *

Nie mogę sobie przypomnieć dzisiaj wszystkiego, co było powiedziane w ciągu tych stu z górą zimowych wieczorów. Ale temat prawie się nie zmieniał. Była to długa rapsodia jego odkrycia Francji: miłość, którą do niej żywił z daleka, zanim ją poznał, i miłość, potęgująca się z dnia na dzień, którą czuł w sobie, odkąd miał szczęście tutaj żyć. I, dalebóg, podziwiałem go. Tak: że się nie zniechęcił. I że nigdy nie skusiło go przerwać to nieublagane milczenie jakąś niepowściągliwością języka. Przeciwnie, gdy czasem pozwalał temu milczeniu wtargnąć i nasycić pokój aż do najdalszych kątów, jak gaz ciężki i duszący, on zdawał się tym z nas trojga, który czuje się tu najlepiej. Wówczas patrzył na moją siostrzenicę, z tym wyrazem aprobaty, wraz uśmiechniętej i poważnej, jaka była mu właściwa od pierwszego dnia. A ja czułem, jak dusza mej siostrzenicy miota się w tym więzieniu, które sama zbudowała, widziałem to po wielu oznakach; z nich najmniejszą było lekkie drżenie palców. I gdy wreszcie Werner von Ebrennac rozpraszał to milczenie, łagodnie i bez wstrząsu, magią swego stłumionego głosu, zdawało się, że pozwala mi odetchnąć swobodniej.

Mówił o sobie, często:

— Mój dom jest w borze, tam się urodziłem, chodziłem do wiejskiej szkoły, po drugiej stronie lasu; nie opuściłem domu nigdy, dopiero gdy byłem w Monachium dla egzaminów i w Salzburgu dla muzyki. Potem, zawsze mieszkalem tam. Nie lubiłem wielkich miast. Poznałem Londyn, Wiedeń, Rzym, Warszawę, niemieckie miasta oczywiście. Nie lubię w nich żyć. Lubiałem tylko bardzo Pragę — żadne inne miasto nie ma tyle duszy. A zwłaszcza Norymbergę. Dla Niemca jest to miasto, które mu

rozpiera serce, gdyż znajduje tam widma drogie jego sercu, w każdym kamieniu wspomnienie o tych, co byli chlubą starych Niemiec. Sądząc, że Francuzi muszą doznawać tego samego przed katedrą w Chartres. Muszą i oni czuć tuż przy sobie obecność przodków — wdzięk ich duszy, wielkość ich wiary i ich dworność. Przeznaczenie zawiodło mnie do Chartres. Och! doprawdy, gdy ukazuje się katedra, ponad dojrzałymi zbożami, cała błękitna w oddali i przejrzysta, niematerialna, to jest chwila wielkiego wzruszenia! Wyobrażałem sobie uczucia tych, co przychodzili ongiś do niej, pieszo, konno, lub na wózkach... Podzielałem te uczucia i kochałem tych ludzi i takbym pragnął być ich bratem.

Twarz mu się zaszepiła.

— Ciężko jest niewątpliwie słyszeć to od człowieka, który przybywał do Chartres w wielkim pancernym samochodzie... A jednak to jest prawda. Tyle rzeczy porusza się jednocześnie w duszy Niemca, nawet najlepszego! I z których takby pragnął, żeby go wyleczono...

Uśmiechnął się znowu, bardzo lekkim uśmiechem, który stopniowo oświetlił mu całą twarz, potem rzekł:

— W zamku w naszym sąsiedztwie jest młoda dziewczyna... Jest bardzo piękna i łagodna. Mój ojciec cieszył się zawsze na myśl, że może ją poślubić. Kiedy umarł, byliśmy prawie zaręczeni, pozwalano nam odbywać długie spacery, tylko we dwoje.

Począł, żeby mówić dalej, póki moja siostrzenica nie nawlecze znowu nitki, która się jej przed chwilą zerwała. Robiła to bardzo starannie, ale uszko było bardzo małe i to była trudna rzecz. Wreszcie udało jej się.

— Pewnego dnia, podjął przerwany wątek, byliśmy w lesie. Były tam przeróżne kwiaty — żonkile, dzikie hiacynty, amarylki... Młoda dziewczyna wykrzykiwała radośnie. Powiedziała: „Jestem szczęśliwa, Wernerze. Kocham, och, kocham te dary Boga!” Ja też byłem szczęśliwy. Wyciągnęliśmy się na mchu wśród paproci. Nie mówiłem nic. Patrzyliśmy, jak nad nami kołysały się wierzchołki sosen, jak ptaki przelatywały z gałęzi na gałąź. Dziewczyna lekko krzyknęła: „O! ugryzł mnie w brodę! Paskudne stworzenie, obrzydliwy komar!” Potem zobaczyłem, że robi żwawy ruch dłonią. „Złapałam jednego, Wernerze! O! popatrz, ukażę go; ja mu — wrywam — nóżki — jedną — po — drugiej...” I zrobiła to...

Na szczęście, ciągnął, miała ona wielu innych konkurentów. Nie miałem wyrzutów sumienia. Ale zarazem przeraziły mnie na zawsze niemieckie dziewczęta.

Popatrzył w zadumie na spód swych dłoni i rzekł:

— Tacy są również u nas politycy. Dlatego to nigdy nie chciałem przystać do nich, choć mi pisali koledzy: „Przyjedź do nas”. Nie, wolałem zawsze siedzieć w domu. To nie było korzystne dla powodzenia mej muzyki, ale trudno: co znaczy powodzenie wobec spokoju sumienia. I, naprawdę, wiem, że moi przyjaciele i nasz Führer mają największe i najszlachetniejsze idee. Ale wiem również, że wrywaliby komarom nóżki jedną po drugiej. To się przytrafia Niemcom, gdy są sami: to ponawia się wciąż. A któż jest bardziej „sam” niż ludzie tej samej partii, gdy są panami?

— Na szczęście, nie są oni już teraz sami: są we Francji. Francja ich uleczy. I powiem państwu: oni to wiedzą. Wiedzą, że Francja nauczy ich być ludźmi naprawdę wielkimi i czystymi.

Skierował się ku drzwiom. Powiedział głosem powściągliwym, jak gdyby dla samego siebie:

— Ale do tego potrzeba miłości.

Trzymał przez chwilę drzwi otwarte; obróciwszy twarz na bok, patrzył na kark mej siostrzenicy, schylony nad robotą, kark wąty i blady, skąd włosy wiły się kędziorami barwy ciemnego mahoni. Dodał — tonem spokojnego postanowienia:

— Miłości wzajemnej.

Potem odwrócił głowę, i drzwi zamknęły się za nim, gdy wymawiał szybkim głosem codzienne słowa: „Życzę państwu dobrej nocy.”

* * *

Nadchodziły długie dni wiosenne. Oficer schodził teraz przy ostatnich promieniach słońca. Nosił wciąż swe szare, flanelowe spodnie, lecz na torsie lżejsza kurtka wełniana koloru burki pokrywała koszulę lnianą z otwartym kołnierzem. Pewnego dnia zeszedł, trzymając książkę wskazującym palcem. Jego twarz rozjaśniał ów powściągliwy półuśmiech, który wyobraża zawczasu spodziewaną cudzą przyjemność. Rzekł:

— Przyniosłem to dla państwa. To jest stronica „Makbeta”. Boże, jakie to wspaniałe!

Otworzył książkę:

— To jest zakończenie. Potęga Makbeta przecieka mu przez palce, wraz z przywiązaniem tych, którzy ujawniają wreszcie nikczemność jego ambicji. Szlachetni panowie, broniący honoru Szkocji, oczekują jego rychłego upadku. Jeden z nich kreśli dramatyczne objawy tego rozpadu...

I przeczytał powoli z patetycznym namaszczeniem:

Angus: Teraz czuje on, jak jego tajne zbrodnie przylepiają mu się do rąk. Co chwila ludzie odważni, oburzeni, wyrzucają mu jego złą wiarę. Ci, którym rozkazuje, słuchają swego strachu, a już nie swej miłości. Odtąd widzi, jak jego tytuł wisi na nim, niby szata olbrzyma na karle, który ją ukradł.

Uniósł głowę i roześmiał się. Zastanawiałem się z osłupieniem, czy on myślał o tym samym tyranie co ja. Lecz powiedział:

— Prawda, że właśnie coś takiego musi nie dawać spać po nocach waszemu Admirałowi? Żal mi tego człowieka, doprawdy, mimo pogardy, jaką we mnie wzbudza, tak samo jak w was. Ci, którym rozkazuje, słuchają swego strachu, a już nie swej miłości. Wódz, który nie ma miłości swoich, jest nędznym manekinem. Tylko... tylko... czy można było życzyć sobie czego innego? Kto byłby przyjął tę rolę? Otóż, to było potrzebne. Tak, potrzebny był ktoś, kto by zgodził się sprzedać swą ojczyznę, ponieważ dziś, i jeszcze długo — Francja nie może paść dobrowolnie w nasze otwarte ramiona, nie tracąc we własnych oczach swej godności. Nieraz najplugawsza stręczycielka jest czynna przy narodzinach najszcześniejszego związku. Stręczycielka nie jest przez to mniej godna pogardy, ani związek mniej szczęśliwy.

Zamknął swą książkę z kłapnięciem, wsunął ją do kieszeni kurtki i machinalnym ruchem dwukrotnie uderzył po tej kieszeni dłonią. Po czym, ze szczęśliwym wyrazem, oświetlającym jego długą twarz, powiedział:

— Muszę uprzedzić mych gospodarzy, że będę nieobecny przez dwa tygodnie. Cieszę się, że jadę do Paryża. Teraz jest kolej mojego urlopu i spędzę go w Paryżu, po raz pierwszy. To wielki dzień dla mnie. To największy dzień, w oczekiwaniu na inny, którego spodziewam się całą duszą i który będzie jeszcze większym dniem. Potrafię czekać nań latami, jeśli trzeba. Moje serce ma dużo cierpliwości.

— W Paryżu, przypuszczam, że zobaczę swych przyjaciół, z których wielu bierze udział w rokowaniach politycznych, by przygotować cudowną unię naszych dwóch narodów. Będę tedy poniekąd świadkiem tego małżeństwa... Chcę państwu powiedzieć, że cieszę się dla Francji, której rany w ten sposób zablźnią się bardzo prędko, lecz cieszę się znacznie więcej jeszcze dla Niemiec i dla samego siebie! Nikt nigdy nie wyciągnie takich korzyści ze swego dobrego uczynku, jak Niemcy, zwracając Francji jej wielkość i jej wolność!

„Życzę państwu dobrej nocy”.

* * *

Othello.

Zgasmy to światło, by potem zgasić światło jej życia.

Nie ujrzelśmy go, gdy wrócił.

Wiedzieliśmy, że jest tutaj, gdyż obecność gościa w domu ujawnia wiele oznak, nawet gdy jest on niewidzialny. Ale przez wiele dni — znacznie więcej niż tydzień — nie ujrzelśmy go.

Czy mam się przyznać? Ta nieobecność nie dawała mi spokoju. Myślałem o nim, nie wiem, do jakiego stopnia nie czułem żalu, niepokoju. Ani moja siostrzenica, ani ja nie mówiliśmy o nim. Lecz gdy czasami wieczorem słyszeliśmy na górze głuche, nierówne kroki, widziałem dobrze po upartej pilności, z jaką raptem przykładła się do swej roboty, po kilku lekkich liniach, które znaczyły jej twarz wyrazem wraz zaciętym i czujnym, że ona również nie była wolna od myśli podobnych do moich.

Pewnego dnia musiałem pójść do Komendantury w sprawie jakiejś rejestracji opon samochodowych. Podczas wypełniania wręczonego mi formularza Werner von Ebrennac wyszedł ze swego biura. Z początku nie zauważył mnie. Rozmawiał z sierżantem, siedzącym przy stoliku przed dużym lustrem na ścianie. Słyszałem jego głuchy głos o śpiewnych modulacjach i nie wychodziłem, choć nie miałem tu już nic do roboty, nie wiedząc czemu, dziwnie wzruszony, czekając na jakieś rozwiązanie. Widziałem jego twarz w lustrze, wydała mi się blada i zmizerowana. Oczy jego podniosły się, spadły na moje, przez dwie sekundy patrzyliśmy na siebie i raptem obrócił się na piętach i stanął do mnie przodem. Wargi mu się rozchyliły i powoli podniósł rękę, ale prawie natychmiast ją opuścił. Potrząsnął niemal niedostrzegalnie głową z patetycznym niezdecydowaniem, jak gdyby samemu sobie powiedział: nie, przy czym jednak nie spuszczał ze mnie oczu. Potem nieznacznie nachylił tors, zsuwając wzrok na ziemię, i ociężałym krokiem wrócił do swego biura, gdzie się zamknął.

Nie powiedziałem o tym nic siostrzenicy. Ale kobiety mają koci dar odgadywania. Przez cały wieczór wciąż odrywała oczy od swej roboty, żeby je co chwila przenosić na mnie, żeby próbować odczytać coś na twarzy, której usiłowałem nadać wyraz obojętny. Wreszcie opuściła ręce, znużona i, składając tkaninę, poprosiła mnie o pozwolenie wczesnego pójścia spać. Przesuwała powoli dwoma palcami po czole, jak gdyby dla uśmierzenia migreny. Pocałowała mnie i wydało mi się, że czytam w jej pięknych, szarych oczach wyrzut i dość ciężki smutek. Po jej wyjściu porwał mnie nedorzeczny gniew: gniew, że jestem nedorzeczny i że mam nedorzeczną siostrzenicę. Co to znaczy ten cały idiotyzm? Jeżeli to był idiotyzm, wyglądał na mocno już zakorzeniony.

W trzy dni potem, zaledwie opróżniliśmy filizanki, usłyszeliśmy tym razem niewątpliwe zbliżanie się regularnych uderzeń znajomych kroków. Przypominałem sobie raptem ten pierwszy wieczór zimowy, gdy te kroki dały się słyszeć, sześć miesięcy temu. Pomyślałem sobie: „Dziś też pada”. Łało od rana. Deszcz regularny i uporczywy, co zatapiał wszystko i nasycił nawet wnętrze domu atmosferą zimną i wilgotną. Moja siostrzenica przykryła ramiona szalem z drukowanego jedwabiu, gdzie dziesięć niepokojących rąk miękko rysowało się na przemian. Ja grałem sobie palce na lulce mojej fajki — a to był lipiec!

Kroki minęły przedpokój, i zaczęły pod nimi skrzypieć stopnie. Człowiek schodził powoli, z powolnością wciąż rosnącą, ale nie jak ktoś co się waha: jak ktoś, czyja wola przechodzi wyczerpującą próbę. Siostrzenica podniosła głowę i patrzyła na mnie, wlepiła we mnie, przez cały ten czas, wzrok przezroczyisty i nieludzki puhacza. A kiedy ostatni stopień schodów skrzypnął i nastąpiła długa cisza, spojrzenie mej siostrzenicy odleciało, ujrzałem jak powieki ciężko opadły, głowa się pochyliła i całe ciało powierzyło siebie oparciu fotela ruchem znużenia.

Nie sędzę, żeby ta cisza trwała dłużej niż kilka sekund, ale to były długie sekundy. Wydawało mi się, że widzę tego człowieka, jak stoi za drzwiami, z podniesionym do pukania palcem, i opóźnia moment, gdy, samym ruchem pukania, ma związać swą przyszłość. Wreszcie zapukał. I nie było w tym ani lekkości wahania, ani pośpiechu pokonanej nieśmiałości, były to trzy uderzenia pełne i powolne, uderzenia pewne i spokojne decyzji nieodwołalnej. Spodziewałem się, że, jak dawniej, drzwi natychmiast się otworzą. Ale były dalej zamknięte, i wówczas ogarnął mnie niepewstrzymany duchowy zamęt, gdzie zapytanie splatało się z niepewnością sprzecznych pragnień, zamęt, który każda sekunda, upływająca, jak mi się zdawało, z rosnącą szybkością wodospadu, tylko czyniła coraz bardziej zagmatwanym i bez wyjścia. Czy należało odpowiedzieć? Dlaczego ta zmiana? Dlaczego on oczekiwał, że my przerwiemy tego wieczora milczenie, którego zbawieniem pokazał jak pochwała—swym poprzednim zachowaniem się? Co nam nakazywała tego wieczora — tego wieczora — godność?

Patrzyłem na siostrzenicę, by złowić w jej oczach zachętę lub znak. Ale znalazłem tylko jej profil. Patrzyła na klamkę. Patrzyła na nią z tą nieludzką nieruchomością puhaacza, która już mnie uderzyła, była bardzo blada, i ujrzałem, jak sponad delikatnej, białej linii zębów podnosi się górna warga w bolesnym skurczu; i ja, wobec tego tajnego dramatu nagle odsoniętego i tak bardzo przewyższającego bląhą mordęgę moich skrupułów, straciłem resztę sił. W tym momencie dały się słyszeć dwa nowe uderzenia — dwa tylko — dwa stuknięcia słabe i szybkie — i moja siostrzenica powiedziała: „On odejdzie...”, głosem cichym i tak kompletnie beznadziejnym, że nie czekałem dłużej i rzekłem wyraźnym głosem: „Proszę pana”.

Dlaczego dodałem: pana? Żeby zaznaczyć, iż zapraszam człowieka a nie nieprzyjacielskiego oficera? Lub, przeciwnie, żeby pokazać, iż wiem kto pukał i że do niego właśnie się zwracam? Nie wiem. Mniejsza z tym. Pozostaje, że powiedziałem: „Proszę pana” i że on wszedł.

Wyobrażałem sobie, że go ujrzę po cywilnemu, a był w mundurze. Powiedziałbym chętnie, że był bardziej niż kiedykolwiek w mundurze, jeżeli się przez to rozumie, że według mnie było jasne, iż wdział ten ubiór w stanowczym zamiarze narzucenia nam jego widoku. Otworzył drzwi na oścież i stał wyprostowany we framudze, tak wyprostowany i sztywny, że gotów byłem wątpić, czy mam przed sobą tego samego człowieka, i że, po raz pierwszy, zauważyłem jego zdumiewające podobieństwo do aktora Louis Juvet. Stał tak kilka chwil wyprostowany, sztywny i milczący, z nieco rozstawionymi stopami i ramionami zwisającymi bez wyrazu wzdłuż ciała, i z twarzą tak zimną, tak doskonale obojętną, iż nie wydawało się, by mogło w niej mieszkać jakiegokolwiek uczucie.

Ale ja, siedząc w mym głębokim fotelu i mając twarz na poziomie jego lewej ręki, widziałem tę rękę, oczy moje były opanowane przez tę rękę i jakby do niej przykute, z powodu patetycznego widoku, jaki mi dawała, widoku, który zaprzeczał patetycznie całemu zachowaniu się tego człowieka...

Dowiedziałem się tego dnia, że ręka może, dla tego, kto umie ją obserwować, odbijać w sobie wzruszenia równie dobrze jak twarz—równie dobrze i lepiej niż twarz, gdyż wymyka się ona bardziej kontroli woli. A palce tej ręki wyciągały się i zginały, zaciskały i zahaczały, wykonywały najbardziej intensywną mimikę, podczas gdy twarz i całe ciało były nieruchome i sztywne.

Potem oczy jakby się ożywiły, skierowały się na chwilę na mnie — zdawało mi się, że czyha na mnie sokół — oczy błyszczące między rozwartymi i sztywnymi powiekami, powiekami wraz zwiędłymi i sztywnymi istoty trawionej bezsennością. Następnie spoczęły na mej siostrzenicy — i już jej nie opuściły.

Ręka wreszcie znieruchomiła, ze wszystkimi palcami zgiętymi i skurczonymi w dłoni, usta się otworzyły (wargi rozdzielając się bąknęły: „Pp...” jak odkorkowana szyjka pustej butelki), i oficer rzekł — głos miał głuchszy niż kiedykolwiek:

— Muszę zwrócić się do państwa z ważkimi słowami.

Moja siostrzenica siedziała na wprost niego, lecz pochylała głowę. Nawijała na palce włóczkę z kłębka, który się rozwijał tocząc się po dywanie; ta niedorzeczna praca była niewątpliwie jedyną, jaką mogła jeszcze pogodzić ze swą utraconą uwagą — i oszczędzić sobie wstydu.

Oficer mówił dalej — wysiłek był tak widoczny, iż zdawało się, czyni to za cenę życia:

— Wszystko co powiedziałem przez te sześć miesięcy, wszystko co usłyszały ściany tego pokoju... — zaczerpnął tchu, z wysiłkiem astmatyka, piers miał przez chwilę wzdętą—należy... — zaczerpnął tchu—należy zapamiętać.

Dziewczyna powoli opuściła ręce na suknię, i leżały tam zwiste i bezwładne, jak łodzie wyrzucone na piasek, powoli podniosła głowę i wtedy, po raz pierwszy — po raz pierwszy — darowała oficerowi spojrzenie swych bladych oczu.

Powiedział (ledwie to usłyszałem): *Oh, welch' ein Licht!* nawet nie szeptem; i jak gdyby istotnie oczy jego nie mogły znieść tego światła, zakrył je dłonią. Dwie sekundy. Potem opuścił rękę, ale przymknął powieki, i odtąd jemu przypadło trzymać swój wzrok przy ziemi.

Wargi, jego wykonały „Pp...” i wyrzekł — głos był głuchy, głuchy, głuchy:

— Widziałem tych ludzi zwycięskich.

Po czym, po kilku sekundach, głosem jeszcze cichszym:

— Rozmawiałem z nimi.

I wreszcie, w szeptcie, z gorzką powolnością:

— Wyśmieli mnie.

Podniósł oczy na moją osobę i z powagą trzykrotnie pokiwał głową. Oczy się zamknęły, po czym:

— Powiedzieli: „Nie zrozumiałeś, że my drwimy z nich”. Powiedzieli to. Dokładnie. *Wir prellen sie*. Powiedzieli: „Nie przypuszczasz chyba, że my pozwolimy jak głupcy podnieść się Francji przy naszej granicy? Prawda?” Zaśmiewali się. Poklepywali mnie wesoło po plecach, patrząc mi w twarz: „My nie jesteśmy muzykami!”

Głos jego miał w sobie, przy wymawianiu tych ostatnich słów, jakąś mętłą pogardę, o której nie wiem, czy odbijała w sobie jego własne uczucia wobec tamtych, czy sam ton ich słów.

— Wówczas mówiłem długo, z dużą gwałtownością. Psykali. Powiedzieli: „Polityka nie jest marzeniem poety. Jak przypuszczasz, dlaczego prowadzimy tę wojnę? Dla ich starego Marszałka?” Jeszcze się śmiali. „Nie jesteśmy ani wariatami, ani durniami: mamy okazję zniszczyć Francję, będzie zniszczona. Nie tylko jej potęga: jej dusza również. Zwłaszcza jej dusza. Jej dusza jest największym niebezpieczeństwem. To jest nasza praca w tej chwili: nie łudź się, mój kochany! Zgnoimy ją naszymi uśmiechami i naszymi względami dla niej. Zrobimy z niej łaszącą się sukę”.

Umilkł. Był zadyszany. Zaciskał szczęki z taką energią, że widziałem, jak sterczą mu kości policzkowe, i żyła, gruba i kręta jak robak, bije przy skroni. Naraz cała skóra na twarzy poruszyła mu się, w jakimś drzeniu podziemnym — jak rusza się woda jeziora, gdy wietrzyk w nią uderzy; jak przy pierwszych bańkach błonka zgęstniałej śmietanki na powierzchni mleka, gdy się je gotuje. Jego oczy zawisły na bladych i rozszerzonych oczach mej siostrzenicy i rzekł, tonem niskim, jednostajnym, natężonym i zdławionym, z powolnością człowieka zgnębiętego:

— Nie ma nadziei. I głosem jeszcze głuchszym, i cichszym, i wolniejszym, jak gdyby dla torturowania samego siebie tym niecznośnym stwierdzeniem: „Nie ma nadziei. Nie ma nadziei”. I raptem, głosem niespodzianie

wysokim i mocnym, i ku memu zdziwieniu czystym i dźwięcznym, jak głos trąbki — jak krzyk: „Nie ma nadziei”!

Potem cisza.

Miałem wrażenie, że się śmieje. Czoło jego, pofałdowane i zmięte, przypominało linię do cumowania. Wargi mu zadrżały — wargi chorego, wraz spieczone gorączką i blade.

— Zganili mnie, z pewnym gniewem:

„Widzisz więc! Widzisz, jak ją kochasz! Oto wielkie Niebezpieczeństwo! Ale my wyleczymy Europę z tej zarazy! Oczyszczimy ją z tej trucizny!” Wszystko mi wyłożyli, och! niczego przede mną nie zataili. Schlebiają waszym pisarzom, ale jednocześnie w Belgii, w Holandii, we wszystkich krajach okupowanych przez nasze wojska tworzą już zaporę. Żadna francuska książka już nie może się tam przedostać — z wyjątkiem wydawnictw technicznych, podręczników dioptryki lub przepisów cementowania... Ale dzieła z zakresu kultury ogólnej, ani jedno! Nic.

Jego wzrok przeszedł ponad moją głowę, latając i objijając się o kąty pokoju, niby zbłąkany nocny ptak. Wreszcie jakby znalazł schron na półkach najbardziej pograżonych w cieniu — tych, gdzie stoją szeregiem Racine, Ronsard, Rousseau. Oczy jego zaczęły się tam i głos znów odezwał się z jęczącą gwałtownością:

„Nic, nic, nikogo!” I, jak gdybyśmy nie zrozumieli jeszcze, nie zmierzylili potworności groźby: „Nie tylko waszych pisarzy nowoczesnych! Nie tylko waszych Péguy, waszych Proustów, waszych Bergsonów... Ale wszystkich innych! Wszystkich tamtych! Wszystkich, wszystkich! Wszystkich!”

Spojrzenie jego raz jeszcze przesunęło się po oprawach, miękko połyskujących w półcieniu, jakby rozpaczliwą pieszczołą.

— Oni zgaszają płomień całkowicie! krzyknął. Europa już nie będzie oświetlana tym światłem!

I głos jego głuchy i głęboki wdarł się, wibrując, na samo dno mej piersi, nieoczekiwanym i przejmującym krzykiem, którego ostatnia sylaba rozciągnęła się w drgającą skargę:

— *Never more!*

Milczenie zapadło raz jeszcze. Raz jeszcze, ale tym razem o ileż bardziej mroczne i naprężone! Bowiem, pod dawnymi milczeniami — jak pod powierzchni wód, walkę stworzeń w morzu — czułem wrzące życie podwodne skrytych uczuć, pragnień i myśli, które przeczą sobie i ze sobą się zmagają. Ale pod tym milczeniem, och! tylko okropny ucisk...

Głos wreszcie złamał to milczenie. Był łagodny i nieszczęśliwy.

— Miałem przyjaciela. To był mój brat. Razem odbywaliśmy studia. Mieszkał w tym samym pokoju w Sztutgardzie. Spędziliśmy wspólnie trzy miesiące w Norymberdze. Nie robiliśmy nic jeden bez drugiego: ja grałem przy nim swą muzykę; on czytał mi swe poematy. Był on wrażliwy i romantyczny. Ale mnie porzucił. Poszedł czytać swe poematy w Monachium, przed nowymi towarzyszami. To on pisał mi wciąż, żebym przyjechał zobaczyć się z nimi. To jego widziałem w Paryżu w gronie przyjaciół. Zobaczyłem, co oni z niego zrobili!

Pokręcił powoli głową, jak gdyby musiał odpowiedzieć bolesną odmową na jakieś błaganie.

— On był najbardziej zaciekle! Mieszał gniew ze śmiechem. To patrzył na mnie z ogniem i krzyczał: „To jest jad! Trzeba pozbawić bestię jadu!” To znów dawał mi lekkie szczytki w brzuch: „Oni mają wielkiego pietra, teraz, ha, ha! boją się o swe kieszenie i o swój brzuch — o swój przemysł i handel! Oni tylko o tym myślą! Rzadkich innych my głaszczemy i usypiamy, ha! ha!... to łatwo pójdzie!” Śmiał się, i twarz mu się cała zaróżowiła: „My wymieniamy ich duszę na miskę soczewicy”!

Werner zaczerpnął tchu.

— Powiedziałem: „Czyście zmierzli to co wy robicie? Czyście to zmierzli? On na to: „Czy spodziewasz się, że to nas zastraszy? Nasza przenikliwość jest innego pokroju!” Powiedziałem: „A więc wy zamurujecie ten grób? Na zawsze?” On na to: „Tu idzie o życie lub śmierć. Do zdobycia wystarczy Siła do panowanie nie. Wiemy bardzo dobrze, że armia nie jest niczym, gdy idzie o panowanie”.

— Ale za cenę Ducha! krzyknąłem. Nie za tę cenę! „Duch nigdy nie umiera, odpowiedział. Nie takie rzeczy przetrwał. Odradza się z popiołów. My musimy budować na tysiąc lat: naprzód trzeba zburzyć”. Patrzyłem nań. Patrzyłem w głąb jego jasných oczu. Był szczery. Tak. To właśnie jest najstraszniejsze.

Oczy rozwarły mu się szeroko — jakby na widok jakiegoś ohydneho mordu.

— Oni zrobią to co mówią! zawołał, jak gdybyśmy sami nie powinni byli w to uwierzyć. Metodycznie i wytrwale! Ja znam tych zacieklých diabłów!

Potrząsnął głową, jak pies którego boli ucho. Zaciśnięte zęby przepuściły szept, jęczące i gwałtowne „och”! zdradzonego kochanka.

Nie ruszał się z miejsca. Stał wciąż nieruchomy, sztywny i wyprostowany, we framudze drzwi, ze zwisłymi ramionami, jak gdyby one miały do dźwigania ręce z łożowiu; i blady — nie jak wosk, lecz jak tynk niektórych zniszczonych murów: szary, z bielszymi plamami saletry.

Ujrzałem, jak zwolna pochyla tors. Podniósł rękę. Rzucił ją, z dłonią obróconą w dół, z palcami nieco zgiętymi, ku mej siostrzenicy, ku mnie. Skurczył ją, pomachał trochę ręką, przy czym wyraz jego twarzy naprężył się z jakąś dziką energią. Wargi mu się rozchyliły i sądziłem, że ciśnie nam jakieś upomnienie. Sądziłem — tak, sądziłem, że będzie nas zachęcał do buntu. Ale ani jedno słowo nie wyszło z jego warg. Usta mu się zamknęły i raz jeszcze oczy. Wyprostował się. Ręce uniosły się w górę, zaczęły wykonywać na wysokości twarzy niezrozumiałe gesty, podobne do niektórych figur tańców religijnych na Jawie. Potem objął dłońmi skronie i czoło, gniotąc powieki małymi palcami.

— Powiedzieli mi: „To jest nasze prawo i nasz obowiązek”. Nasz obowiązek!... Szczęśliwy ten co znajduje z tak prostą pewnością drogę swego obowiązku.

Ręce mu opadły.

Na rozstaju mówią ci: „Idź tą drogą”. Potrząsnął głową. „Otóż, nie widać, żeby ta droga wznosiła się ku świetlistym szczytom, wiedzie ona w złowrogą dolinę, zanurza się w cuchnące mroki posepnego boru!... O Boże, wskaż mi, gdzie jest mój obowiązek!

Rzekł, krzyknął niemal:

— To jest Walka, Wielka Bitwa Doczesności z Duchowością!

Wpatrywał się z bolesnym uporem, w anioła wyrzeźbionego w drzewie nad oknem, anioła ekstatycznego i uśmiechniętego, promieniejącego niebiańskim spokojem.

Nagle wyraz jego jakby się odprężył. Ciało straciło trochę ze swej sztywności. Twarz schyliła się nieco ku ziemi. Uniósł ją:

— Wykazałem swe prawa, rzekł w sposób naturalny. Poprosiłem o przydział do dywizji frontowej. Wyświadczone mi wreszcie tę łaskę: jutro wolno mi ruszyć w drogę.

Zdało mi się, że widziałem na jego ustach błakające się widmo uśmiechu, gdy określił dokładnie:

— Do piekła.

Pokazał ręką na Wschód — w kierunku tych bezkresnych równin, gdzie przysze zboże będzie się karmiło trupami.

Twarz mej siostrzenicy sprawiała mi ból. Miała w sobie bladłość księżycową. Wargi, podobne do brzegów wazy z opaliny, były rozchylone,

układały się w tragiczny grymas greckich masek. I ujrzałem, na granicy czoła i włosów, jak nie powstawały, lecz trysnęły — tak, trysnęły —perły potu.

Nie wiem, czy Werner von Ebrennac to widział. Żrenice jego, przycumowane do żrenic dziewczyny, jak na rwącym prądzie łódź do pierścienia w nabrzeżu, zdawały się być złączone nicią tak napiętą, tak sztywną, że człowiek nie śmiałby przesunąć palca między ich oczami. Von Ebrennac jedną ręką ujął za klamkę. Drugą trzymał się framugi. Nie ruszając swego wzroku na jeden włos, z wolna pociągnął drzwi ku sobie.

Powiedział — jego głos był dziwnie pozbawiony wyrazu:

— Życzę państwu dobrej nocy.

Sądziłem, że zamknie drzwi i pójdzie sobie. Ale nie. Patrzył na moją siostrzenicę. Patrzył na nią. Rzekł, wyszeptał:

— Adieu.

Nie poruszyła się. Trwał całkiem nieruchomy, i w jego twarzy, nieruchomej i napiętej, oczy były jeszcze bardziej nieruchome i napięte, przykute do oczu — zbyt otwartych, zbyt bladych — mej siostrzenicy. To trwało, trwało tak długo, aż dziewczyna poruszyła wargami. Oczy Wernera zabłyśły. Usłyszałem:

— Adieu.

Trzeba było czyhać na to słowo, żeby je usłyszeć, ale je wieszcie usłyszałem. Von Ebrennac również je usłyszał i dzwignął się w sobie, i jego twarz i całe ciało jakby nabrały giętkości, niczym po krzypiącej kąpieli.

I uśmiechnął się tak iż ostatni jego obraz, jaki miałem, był obrazem uśmiechniętym. Potem drzwi się zamknęły i jego kroki rozplynęły się w głębi domu.

Wyjechał już, gdy nazajutrz zeszedłem na swą ranną filiżankę mleka. Moja siostrzenica przygotowała śniadanie, jak co dzień. Podała mi bez słowa. Wypiliśmy w milczeniu. Na dworze świeciło poprzez mgłę blade słońce. Musiało być bardzo zimno.

Londyn 8.9.1946.

(Data ukończenia przekładu.)

FELIKS BOCHEŃSKI

DWUTOROWOŚĆ GOSPODARCZA

Przed wojną mieliśmy w Polsce t.zw. etatyzm. Obliczano że około 12% całego majątku narodowego było własnością Państwa, w tym całe kopalnictwo soli, 93% kolei, 95% floty handlowej i przeszło 1/3 wszystkich lasów. W rękę państwa pozostawało 70% produkcji żelaza, połowa przemysłu metalowego, przeszło połowa przemysłu chemicznego, 30% produkcji węgla, t.zn. prawie cały węgiel, nie stanowiący własności kapitału zagranicznego. W handlu sektor państwowy był najsilniej reprezentowany w wywozie drewna (Paged) i zboża.

Przedsiębiorstwa prywatne stale narzekały na trudności współzawodniczenia z zakładami państwowymi, korzystającymi z rozlicznych przywilejów podatkowych, kredytowych, taryfowych oraz z pierwszeństwa przy zamówieniach ze strony państwa.

Na zwiększanie się własności państwa wpływały częściowo względy wojskowe (COP; fabryki amunicji, Mościce) a częściowo po prostu brak kapitału prywatnego (Gdynia, BGK). W tym samym kierunku oddziaływała jednak także ogólna polityka gospodarcza i społeczna państwa.

Państwo wkraczało w sferę działalności gospodarczej jednostek i spółek prywatnych różnymi drogami i z różnych powodów, w sumie jednak dosyć

często. Nasilenie tego interwencjonizmu, na którego przerosty często narzekano, odróżniało ustrój gospodarczy Polski w sposób dosyć istotny — bardziej istotny bodaj niż zakres własności państwa — od ustrojów gospodarczych państw zachodnio europejskich i obu Ameryk, które zachowały więcej liberalizmu.

Ograniczenia swobodnej dyspozycji właściciela i przedsiębiorcy w niektórych wypadkach szły tak daleko, że naruszały same podstawy rentowności przedsiębiorstw. Właściciel kopalni węgla np., skrupowany co do rozmiarów produkcji i ceny zbytu, nie miał możliwości wydatniejszego obniżenia kosztów własnych, skoro cały szereg składników tych kosztów miał charakter sztywny. Nie mógł, bez zgody władz, zwolnić części załogi, obniżyć płac, czy świadczeń społecznych; nie mógł unieruchomić kopalni, nawet gdyby kopalnia ta przynosiła mu straty. Podobnie właściciel lasu, w którym stosunek klas wieku drzewostanów był niekorzystny i zatwierdzony przez władze plan gospodarczy nie przewidywał poważniejszych etatów rębnych w najbliższych dziesięcioleciach, musiał jednak, mimo braku dochodów, prowadzić w dalszym ciągu należytą gospodarkę leśną. Obowiązujące przepisy nakładały na właściciela obowiązek płacenia — niezależnie od dochodów — pewnych kategorii podatków, obowiązek zalesiania halizn, oczyszczania zrębów i utrzymywania służby leśnej. Właściciel lasu odpowiadał nawet za szkody wyrządzone sąsiadom przez zwierzynę leśną, której odstrzał był jednak ściśle uregulowany. Analogiczne ograniczenia spotykało się prawie we wszystkich działach wytwórczości.

W tych warunkach, niektórzy przedsiębiorcy prywatni w Polsce skarżyli się, że ponoszą straty bez swojej winy, skoro wyznaczone przez państwo ciasne ramy nie pozostawiają im dostatecznej swobody ruchów dla odpowiednio elastycznej działalności gospodarczej.

Podobny stan rzeczy spotykało się i spotyka także w całym szeregu innych krajów. Zdawałoby się, że w tego rodzaju wypadkach ostatecznym wyjściem dla właścicieli, zmuszonych okolicznościami do trwałego ponoszenia strat, jest zawsze wyzbycie się albo nawet porzucenie majątności, która stała się ciężarem i wymaga dopłat z innych źródeł. Jeżeli taki właściciel jest równocześnie kierownikiem swojego zakładu i fachowcem, to może mu się opłacić wynajęcie swych usług innemu właścicielowi lub państwu. Pozbywa się on w ten sposób wielu kłopotów a praca jego zamiast strat zaczyna mu przynosić dochody. Jeżeli w Polsce i gdzieindziej mało słyszało się o tego rodzaju wypadkach, nawet w branżach gdzie byłyby one gospodarczo uzasadnione, przyczyną jest zapewne to, że wrodzona ludziom niechęć do wyzbywania się własności była jeszcze często podtrzymywana nadzieją poprawy warunków w przyszłości lub umiejętnością omijania przepisów zbyt dokuczliwych.

Wydaje się jednak, że, na dłuższą metę, wzrastający interwencjonizm państwa w życiu gospodarczym prowadzi przeważnie do przejmowania przez państwo wreszcie także tytułu tej własności przemysłowej czy rolniczej, której zarząd i tak już w coraz to większym stopniu od państwa jest uzależniony.

* * *

Wojna proces ten znacznie przyspieszyła.

Dla nikogo spośród tych, co na podstawie bezpośrednich doświadczeń w kraju, czy też w oparciu o informacje dostępne za granicą obserwowali przebieg okupacji, nie było wątpliwym, że po wojnie w Polsce rola państwa w życiu gospodarczym wzrośnie jeszcze silniej. Przede wszystkim została przeprowadzona szeroko zakrojona akcja wywłaszczeniowa. Wywłaszczono całą ludność żydowską, reprezentującą przecież dość poważny odsetek właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych; z całego szeregu powodów wywłaszczano także właścicieli polskich — w szczególnie szerokim zakresie na zachodzie kraju. Obiekty w ten sposób przejęte przez

Niemców były zwykle przenoszone szereg razy z instytucji na instytucję, z osoby na osobę, na przemian dzielone i łączone z innymi, tak że restytucja właścicieli, a często nawet samo ustalenie ostatniego prawnego tytułu posiadania, stawało się czymś bardzo trudnym. Do tych momentów dołączyły się zwykle po wojnie czynniki powszechnego zubożenia i radykalizmu.

I w kraju i za granicą przewidywano, że opuszczone przez Niemców zakłady obejmą instytucje powiernicze, że własność po-niemiecka zostanie natychmiast przejęta przez państwo polskie, i że ośrodkiem dyspozycji gospodarczej będzie, przynajmniej w pierwszym okresie, państwo.

Przebieg wypadków nie odbiegał zbyt daleko od przewidywań. W miarę wycofywania się Niemców zakłady przemysłowe i większe gospodarstwa rolne pozostawały bez zarządców. Interes pracowników w szybkim uruchomieniu lub utrzymaniu produkcji zakładów, zbiegał się najściślej z potrzebami kraju. W wielu wypadkach zarząd obejmowały początkowo komitety robotnicze, fakt, którego powszechność i spontaniczność chętnie się dziś w Polsce podkreśla na uzasadnienie decyzji przejęcia przez państwo roli właścicieli, zwłaszcza obcokrajowych lub nieobecnych.

Do tych wszystkich momentów faktycznych dołączyła się wola polityczna stronnictw tworzących rząd, ujęta po raz pierwszy w t.zw. Manifestie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 22 lipca 1944. Dokument ten, t.zw. Manifest Lipcowy, częściej bodaj cytowany niż czytany, treścią swoją niezupełnie usprawiedliwia groźne skojarzenia z innym manifestem sprzed blisko stu lat. O upaństwowieniu, manifest z lipca 1944 r. mówi co następuje: „Własność, zrabowana przez Niemców poszczególnym obywatelom, chłopom, kupcom, rzemieślnikom, drobnym i średnim przemysłowcom, instytucjom i Kościołowi, będzie zwrócona prawowitym właścicielom. Majątki niemieckie zostaną skonfiskowane. Żydom, po bestialsku tępionym przez okupanta, zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie.

Majątek narodowy, skoncentrowany dziś w rękach państwa niemieckiego oraz poszczególnych kapitalistów niemieckich, a więc wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, bankowe, transportowe oraz lasy, przejdą pod tymczasowy zarząd państwowy. W miarę regulowania stosunków gospodarczych nastąpi przywrócenie własności.

Manifest ten mówi więc o wywłaszczeniu wyłącznie w związku z Niemcami, wspomina o zarządzie państwowym jako tymczasowym i dwukrotnie przyrzeka reprivatyzację. Nie jest tajemnicą, że plany rządów emigracyjnych szły znacznie dalej; mówiły one np. wyraźnie o upaństwowieniu lasów.

Dalej też niż zamierzenia Manifestu poszedł rzeczywisty przebieg wypadków. Zakres i warunki unarodowienia górnictwa, części przemysłu i handlu, ujęte są w ustawie z 3. I. 1946, ogłoszonej w Dz.U.R.P. Nr. 3 z dn. 5.2.1946. Upaństwowieniu podlegają trzy grupy przedsiębiorstw: 1. ze względu na właściciela, 2. ze względu na przedmiot działalności przedsiębiorstwa i 3. ze względu na jego wielkość.

Do pierwszej grupy zaliczono przedsiębiorstwa przemysłowe, górnicze, komunikacyjne, bankowe, ubezpieczeniowe oraz handlowe stanowiące własność Rzeszy niemieckiej i byłego Wolnego Miasta Gdańska, obywateli niemieckich i gdańskich, z wyłączeniem osób narodowości polskiej lub innej przez Niemców prześladowanej.

Druga grupa obejmuje przedsiębiorstwa przemysłowe i górnicze należące do pewnych orkestrzonych gałęzi gospodarki narodowej jak: kopalnie, nadania górnicze, przemysł naftowy, paliwa syntetyczne, energię elektryczną, gaz, wodociągi, huty metali, koksownie, cukrownie, gorzelnie, browary, przedsiębiorstwa komunikacyjne i telekomunikacyjne, drukarnie i.t.p.

Do trzeciej kategorii należą przedsiębiorstwa nie objęte drugą grupą które zdolne są zatrudnić przy produkcji na jedną zmianę więcej niż 50 pracowników, z wyjątkiem przedsiębiorstw budowlanych i instalacyjnych. Rada Ministrów może rozporządzeniem podwyższyć tę górną granicę 50 pracowników w przemyśle wyrobów niepowszechnego użytku, lub mało zmechanizowanych, lub o charakterze pionierskim względnie sezonowym.

Jak widzimy, zakres upaństwowienia jest raczej szeroki. Rewolucyjność tego kroku łagodzą jednak pewne cechy charakterystyczne rozwoju przedwojennego i wojennego, jak również fakt, że w Polsce, przynajmniej jeżeli chodzi o przemysł t. zw. ciężki, upaństwowienie było równocześnie w pełnym tego słowa unarodowieniem gdyż wywłaszczenie w dużym stopniu dotknęło kapitał obcy.

Zauważyć można u ustawodawcy polskiego troskę o podkreślenie ostateczności tego procesu upaństwowienia. Znajduje ona wyraz w postanowieniu ustawy mówiącym, że orzeczenie o przejęciu przez państwo przedsiębiorstw wymienionych w drugiej i trzeciej z wymienionych grup może nastąpić tylko do dnia 31 grudnia 1946 r. Również najdalej do tego terminu mają być zwolnione od zarządu państwowego i przywrócone osobom uprawnionym te przedsiębiorstwa, które w dniu wejścia w życie omawianej ustawy (5.2.1946) znajdowały się pod zarządem państwowym, a upaństwowieniu nie podlegają. Dotychczasowi właściciele, tak krajowi jak zagraniczni — za wyjątkiem Niemców — mają w ciągu roku otrzymać odszkodowanie, w zasadzie w papierach wartościowych, w wyjątkowych wypadkach zaś w gotówce lub w innych wartościach.

Charakterystycznym jest także, że równocześnie i pod tą samą datą co omawiana ustawa o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, wydana została ustawa o zakładaniu nowych przedsiębiorstw i popieraniu prywatnej inicjatywy w przemyśle i handlu. Postanawia ona, że przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe nie objęte przepisami ustawy o nacjonalizacji oraz nowopowstałe przedsiębiorstwa, stanowią nienaruszalną własność prywatną i nie podlegają przejęciu przez państwo, chociażby zdolne były zatrudnić przy produkcji na jedną zmianę więcej niż 50 pracowników.

Jak widać z tego, poza zasięgiem upaństwowienia pozostaje całe prawie rolnictwo, za wyjątkiem pewnych gospodarstw hodowlanych i eksperymentalnych, znaczna część handlu i mniejsze oraz nowopowstałe zakłady przemysłowe.

W przemyśle i handlu więc istnieją równoległe obok siebie czynniki gospodarki publicznej i prywatnej; powstaje zjawisko dwutorowości czy dwupłaszczyznowości, w skali poprzednio nie spotykanej.

Jakżeż wygląda w praktyce to współzycie Dawida, czy raczej szeregu małych Dawidków przedsiębiorczości prywatnej z Goliatem czy Lewiatanem gospodarki publicznej? Analogie wywołane tym ostatnim określeniem są tym żywsze, że znaczna część kierowników dawnego, wielokapitalistycznego „Lewiatana” pracuje w przemyśle upaństwowionym mniej więcej na dawnych stanowiskach, choć oczywiście z mniejszymi niż poprzednio kompetencjami i uposażeniami.

Zarząd poszczególnych działów przemysłu państwowego jest w wysokim stopniu scentralizowany; gospodarka podlega ścisłemu planowaniu. Poszczególne zakłady są zgrupowane na zasadzie terytorialnej, a nie — jak poprzednio — wedle własności. Zgrupowanie zastąpiły towarzystwa akcyjne, a centralne zarządy — koncerny i unie. Zakłady podlegające administracji państwowej produkują i przerabiają surowce, półfabrykaty a często także produkty końcowe, zwłaszcza w dziedzinie dóbr inwestycyjnych i produktów kluczowych.

Wyrób artykułów konsumcyjnych jest w dużym stopniu domeną przemysłu prywatnego. Liczbę prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych szacuje się na 6 do 7 tys.; liczbę osób zatrudnionych przez ten przemysł

określa się jako w przybliżeniu 10-krotnie większą. W sezonie budowlanym obie te liczby wzrastają.

Mówiono mi, że wobec tego iż upaństwowienie przedsiębiorstw w trzeciej z pośród poprzednio wymienionych kategorii zależy nie od liczby pracowników faktycznie zatrudnionych, ale od tego czy zakład zdolny jest do zatrudnienia na jedną zmianę więcej niż 50 pracowników — co pozwala na pewną swobodę interpretacyjną — przedsiębiorcy prywatni „z ostrożności” starają się utrzymać rozmiary swych warsztatów znacznie poniżej wspomnianej normy. Pozostawianie tego marginesu bezpieczeństwa świadczy o pewnym braku zaufania przedsiębiorców prywatnych do dalszych intencji państwa. Słyszy się z tej strony nieraz narzekania, że upaństwowienie zagraża automatycznie każdemu zakładowi z chwilą, gdy zaczyna się on lepiej rozwijać. Podnoszone są również obawy o dalszą przyszłość prywatnej inicjatywy; są tacy, którzy uważają obecny dualizm za coś w rodzaju Nepu, po którym nastąpi już całkowita socjalizacja. Ocena słuszności tego rodzaju obaw mogłaby nastąpić tylko w oparciu o przepowiednie dalszego ogólnego rozwoju wypadków, przepowiednie te zaś musiałyby brać pod uwagę także czynniki niezależne od rozwoju stosunków w naszym tylko kraju.

W chwili obecnej w każdym razie rząd raczej odżegnuje się od podsuwania mu tego rodzaju zamierzeń na przyszłość, co więcej podkreśla z pewną dumą, że system istniejący obecnie — okreśłany przez krytyków jako prowizorium — stanowi specyficznie polskie rozwiązanie ustrojowo-gospodarcze, a wreszcie ustawowo poręcza poszanowanie pozostałej własności indywidualnej. Ostatnio stworzono nawet stanowisko wiceministra dla spraw przemysłu prywatnego. Nie wiem czy krok ten uciszy alarmy pesymistów, ale wydaje się, że może on być nie tylko symbolem intencji rządu, ale mieć także pewne znaczenie praktyczne. Jeżeli bowiem dalsze wchłanianie przez państwo gospodarki prywatnej nie jest zamiarem rządu a wykroczenia przeciwko tej polityce w konkretnych wypadkach wynikają tylko z nadmiernych ambicji poszczególnych urzędów, w takim razie ustanowienie osobnego urzędnika o szerokich pełnomocnictwach, który miałby za zadanie zapobiegać tego rodzaju wypadkom i opiekować się przemysłem prywatnym, nie jest pozbawione logiki.

Wiele zapewne zależeć będzie także od tego, jak sama przedsiębiorczość prywatna zdoła się przystosować do nowych warunków. Okres bezpośrednio po wojnie nie był pod tym względem zbyt miarodajny, gdyż warunki były wtedy całkowicie sztuczne: Z jednej strony istniały jeszcze pewne zapasy surowców czy towarów po okupantach, z drugiej strony zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju towary było szczególnie wielkie. Nawiasem mówiąc, ograniczona siła kupna ludności, która w pierwszym okresie wyczerpywała się na nabywanie żywności, ostatnio w większym stopniu skierowana jest na odzież. Obecnie już wyczerpały się t. zw. zapasy „szabrownicze” i trzeba nabywać od państwa jako głównego producenta. Wytwórczość państwa, nawet przy najlepszym planowaniu, jest zawsze dosyć sztywna. Wydaje się, że inicjatywa prywatna, poza handlem detalicznym, może spełnić wielką rolę w elastycznym przystosowaniu produkcji wyrobów końcowych do zmiennych potrzeb i możliwości rynku.

Początkowo niepewność i ryzyko dla przedsiębiorstw prywatnych były duże a obroty małe. Stąd, krytykowana często przez „sektor państwowy”, nadmierna marża zysku tych przedsiębiorstw. W miarę pewnej stabilizacji stosunków, wzrostu wytwórczości, w miarę tego jak przemysł i handel prywatny zaczyna znajdować sobie miejsce w ramach obecnego systemu, obroty powinny wzrosnąć, a zyski jednostkowe zmaleć.

Osobnym zagadnieniem, szczególnie trudnym, jest udział handlu prywatnego w obrotach zagranicznych. Tendencją, aby udział ten ograniczyć do wywozu wyrobów przemysłu prywatnego lub do przywozu artykułów dla

tego przemysłu, napotyka z góry na poważne sprzeciwy ze strony pozostałych, t. zn. jeszcze nie „zetyzowanych” kupców; podkreślają oni, że tak szczupłe ramy działalności nie pozwolą na wyzyskanie reprezentowanego przez nich doświadczenia.

Odnoszę wrażenie, że za wcześnie jest jeszcze na wypowiedzanie w tej mierze jakichkolwiek stanowczych opinii. Powojenne obroty handlowe Polski z zagranicą są wprawdzie znaczne — po przeliczeniu na głowę ludności będą one w roku 1946 zapewne nawet większe niż w latach przedwojennych — jak dotąd jest to jednak prawie że wyłącznie handel wymienny, kompensacyjny, w znacznej mierze z krajami o gospodarce jeszcze w wyższym stopniu niż w Polsce zetyzowanej. Jeżeli dojdzie do wznowienia poważniejszych obrotów z krajami o przewadze gospodarki prywatno-kapitalistycznej, a więc z Europą Zachodnią i Ameryką, będzie to niewatpliwie okazją dla kupiectwa polskiego do wznowienia i rozbudowania dawnych stosunków z zagranicą.

Dwutorowość gospodarcza w Polsce wyraża się jednak nie tylko w istnieniu obok siebie przedsiębiorstw państwowych i prywatnych, przejawia się ona ponadto w dwóch różnych poziomach cen i płac, o czym pisałem już poprzednio („Jak ludzie żyją”, Nowa Polska Nr. 7 — lipiec 1946).

Pracownicy zakładów państwowych, podobnie jak urzędnicy państwowi, otrzymują niskie płace i przydziały żywności a po części także innych towarów po niskich, sztywnych cenach. Przemysłowcy, rzemieślnicy, kupcy i osoby przez nich zatrudnione oraz przedstawiciele wolnych zawodów muszą kupować towary po wyższych, zmiennych cenach na wolnym rynku. W podobnym położeniu zasadniczo są rolnicy, którzy jednak otrzymują pewne produkty taniej, wzamian za dostawy żywności. W ten sposób tłumaczą się tego rodzaju dziwołagi jak np. ten, że pracownik w przemyśle budowlanym w Warszawie na wiosnę tego roku zarabiał 500 zł. dziennie, t.zn. mniej więcej tyle ile przeciętny urzędnik państwowy zarabia w ciągu tygodnia.

Całe życie gospodarcze Polski współczesnej pozostaje pod znakiem tej dwoistości cen; małe ilości danego towaru sprzedawane są po niskich cenach na kartki, podczas gdy reszta tego samego towaru zbywana jest na wolnym rynku po cenach kształtowanych na podstawie działania prawa podaży i popytu. Rząd zakupuje towary zarówno po cenach kontrolowanych jak i na wolnym rynku, starając się, aby transakcje wolnorynkowe jak najmniej zakłócały obowiązkowe, kontyngentowe dostawy. W praktyce oczywiście system ten stwarza ogromne trudności, gdyż wolny rynek ma tendencję odciągania towarów i usług z rynku cen sztywnych. Polityka gospodarcza państwa dąży do tego, aby w przyszłości dualizm cen ustał i stara się przyspieszyć osiągnięcie tego celu zarówno przez stopniowe podwyższanie cen sztywnych jak i przez wpływanie na obniżenie cen wolnorynkowych. W kilku wypadkach, jak np. w stosunku do materiałów budowlanych, jednolitość cen została już osiągnięta.

TROCHĘ STATYSTYKI

Już też na brak statystyki czy informacji gospodarczych w Polsce obecnie nie można narzekać. Pełno tego na każdym kroku. Przed wszystkim każdy z resortów gospodarczych rządu i każdy z większych banków wydaje periodyczną publikację ekonomiczną na użytek wewnętrzny. Osobne komunikaty przygotowywane są dla korespondentów i ambasad, jeszcze inne — sporadyczne — wydaje się z okazji przyjazdu każdej większej wycieczki czy misji cudzoziemców, jak np. dla parlamentarzystów brytyjskich, kongresmenów amerykańskich, b. prezydenta Hoovera, La Guardia i.t.p.

Ale poza tymi biuletynami czy referatami przede wszystkim prasa codzienna i radio poświęcają nieporównanie więcej niż przed wojną miejsca omawianiu wydarzeń gospodarczych. Każdy nowy układ handlowy, czy choćby rozpoczęcie rokowań, przybycie do portów większej partii towarów, wzrost zatrudnienia czy produkcji, uruchomienie nowych zakładów, wyniki zbiorów i t.p., znajdują natychmiastowy oddźwięk na łamach prasy czy na falach radia. Prawda, że dobór tych informacji, a także ton komentarzy, jest czasem trochę jednostronnie optymistyczny, ale nie ulega wątpliwości że suma informacji rozpowszechnianych na te tematy jest ogromna.

Rozgłos nadawany sprawom gospodarczym nie ogranicza się zresztą do prasy i radia. W biurach, szkołach, a także na murach ulic spotyka się poglądowe tablice i wykresy statystyczne, obrazujące np. rozwój i kierunki polskiego handlu zagranicznego, postęp w rekonstrukcji portów, czy wzrost taboru kolejowego. W pochodach pierwszomajowych obok transparentów politycznych niesiono wykresy produkcyjne. Wozy przygotowane przez elektrownie, gazownie, centralne zarządy przemysłowe czy poszczególne zjednoczenia, obrazowością swoją i wymową cyfr żywo przypominały pawilony pamiętnej Powszechnej Wystawy Krajowej. Uczestnicy pochodu nie tylko deklarowali wierność manifestowi lipcowemu i hasłom jedności narodowej, ale równocześnie przyrzekli, że w roku bieżącym wyprodukują o tyle to a tyle więcej niż w roku ubiegłym, że otworzą nowe działy wytwórczości, czy też podniosą wydajność pracy.

Wiem, że niejeden z czytelników wzruszy w tym miejscu ramionami i zaklasyfikuje to jako typowy objaw marksizmu, oparty na wzorach radzieckich. Są i w Polsce tacy, których objawy te drażnią i to z podobnych przyczyn. Starając się jednak podchodzić do tych spraw bez uprzedzeń, trzeba, zdaniem moim, uznać za objaw naturalny i zdrowy podkreślanie spraw odbudowy gospodarczej, które w chwili obecnej i jeszcze przez przeciąg szeregu lat stanowią będą najważniejsze problemy kraju.

Rzecz inna, że w powodzi tych cyfr płynących obecnie z całego szeregu źródeł „radosnego planowania” pomyłki czy nieścisłości nie są rzadkie. Dodatnim wyjątkiem są pod tym względem wydawnictwa Głównego Urzędu Statystycznego, który m.i. rozpoczął z dużym nakładem pracy wydawnictwo miesięcznych „Wiadomości Statystycznych” w języku polskim i angielskim. O ile mogłem stwierdzić, dane Głównego Urzędu Statystycznego zasługują na całkowite zaufanie, choć pojawiają się nieco później niż informacje z innych źródeł.

Spróbujmy więc z tej powszechnej „nauki o Polsce Współczesnej” wyłowić kilka cyfr szczególnie ważnych czy charakterystycznych.

Przede wszystkim zmiany obszaru wynikające ze zmiany granic. Przed wojną obszar Polski wynosił 388 tys. km²; dziś wynosi 312 tys. km². Po uwzględnieniu strat na wschodzie i zysków na zachodzie, obszar kraju w sumie zmniejszył się zatem o 20%. Tej stracie ilościowej przeciwstawia się często jakościowo wyższy poziom gospodarczy nowych obszarów. Podkreśla się w szczególności, że Polska wprawdzie straciła 75% zagłębia naftowego, wszystkie złoża soli potasowych i pewne mniej ważne kopaliny, że zyskała za to jednak znacznie więcej w postaci węgla kamiennego i brunatnego, cynku, ołowiu, glinki porcelanowej, szeregu dotychczas nie posiadanych minerałów, przede wszystkim zaś zyskała w dziedzinie urządzeń przemysłowych. Dla zobrazowania tych ostatnich wartości często przytacza się przedwojenne statystyki niemieckie i na tej podstawie wykazuje się o ile struktura Polski się poprawiła i o ile bliżej nam teraz do osiągnięcia tak upragnionej, a przed wojną tak odległej, równowagi między produkcją rolniczą i przemysłową.

Niestety popelnia się tu często niebezpieczne pomyłki, ilustrujące dosadnie to co powiedziałem o pewnym optymizmie w podchodzeniu do zagadnienia

i pewnej pochopności w posługiwaniu się danymi, które same w sobie ściśle, przestały jednak nimi być wobec zmienionych okoliczności.

Ziemie odzyskane nie są dziś w takim stanie w jakim były przed wojną czy podczas wojny i opieranie się na opisach z tych czasów prowadzi do bolesnych rozczarowań i błędów. Zniszczenia wojenne — zwłaszcza w części Dolnego Śląska — zniszczenia i ewakuacja zakładów przez Niemców, wreszcie wywiezienia przez wojska radzieckie, traktujące część urzędników, inwentarza i sprzętu jako łup wojenny, gruntownie zmieniły wygląd tych obszarów i poważnie obniżyły stopień ich zainwestowania i zagospodarowania. Nieznane są jeszcze dokładniejsze obliczenia czy szacunki strat na tych obszarach, które stosunkowo niedawno dopiero w pełni przekazano polskiej administracji. Dla zobrazowania rzędu wchodzących w grę wartości wystarczy jednak przytoczyć, że spośród kilku wytwórni benzyny syntetycznej na tych ziemiach nie można było dotychczas uruchomić ani jednej, że na przeszło 3,000 statków na Odrze czynnych przed wojną, do wiosny tego roku zdołano wydobyć z dna i uruchomić około 30, że wszystkie mosty na Odrze od Szczecina po Koźle zostały nie tylko wysadzone, ale że ponadto gruzy tych mostów blokują rzekę, że ziemie te straciły blisko 90% koni, ponad 90% bydła i ponad 95% nierogacizny.

Oznacza to, że jeżeli kraj ten z powrotem urządzimy i zagospodarujemy, stanie się on niewątpliwie wysoce wartościowym elementem gospodarstwa narodowego i potężnym składnikiem jego siły. Narazie jednak byłoby całkowitym wprowadzaniem w błąd tak swojego społeczeństwa jak zagranicy przedstawianiem rzeczywistości na tym terenie w oparciu o przeszłość.

Ludność Polski wynosi wedle prowizorycznego spisu z lutego 1946 około 24 milionów. Na straty, w stosunku do liczby przedwojennej, składają się oprócz zmian terytorialnych także straty związane z wojną. Szacuje się, że na skutek bezpośrednich działań wojennych, masowych mordów, likwidacji gheft i warunków panujących w obozach koncentracyjnych, zginęło w czasie wojny w Polsce około 6 milionów osób, a więc nie tylko prawie 10 razy więcej niż w Wielkiej Brytanii ale także więcej niż w jakimkolwiek innym kraju w Europie, za wyjątkiem Związku Radzieckiego. Pewnym zmianom uległ skład ludności. Wpada w oczy wzrost odsetka kobiet — z około 51% w r. 1939 do 54.2% w roku 1946 — oraz zmniejszony odsetek młodzieży poniżej lat 18 — z około 44% przed wojną do 36.7% obecnie.

Ponad 16 milionów ludności mieszka na wsi, ponad 7 milionów w miastach. Ziemie odzyskane miały w lutym około 5 milionów mieszkańców, w tym jeszcze około 2 milionów Niemców. Wobec tego, że straty ludnościowe są większe od strat terenowych, przeciętna gęstość zaludnienia obecnie wynosi niespełna 79 osób na km², w porównaniu do gęstości przedwojennej 90 osób na km².

Rolnictwo odbudowuje się stosunkowo wolno. Zbiory zapowiadają się kiepsko, na co wpływa wspomniany już brak zwierząt pociągowych — częściowo tylko zastąpiony traktorami — brak nawozów sztucznych, a także fatalna w znacznej części kraju posucha. Przewiduje się, że Polska, która potrzebuje na własne wyżywienie przynajmniej 5 do 5 1/2 miliona ton zbóż chlebowych rocznie, nie wyprodukuje w bieżącym roku więcej niż 3 1/2 miliona ton ziarna. Dopiero w roku 1947 jest nadzieja osiągnięcia samowystarczalności zbożowej i to pod warunkiem, że zapasy ziarna siewnego oraz dostawy siły pociągowej i nawozów pozwolą na wzięcie pod uprawę większej powierzchni.

Szybciej stosunkowo odbudowuje się przemysł. Na węglu, najważniejszym surowcu przemysłowym kraju i podstawie jego handlu zagranicznego, od pierwszej chwili skupiono największe wysiłki. Wprawdzie złoża węglowe Polski przez odzyskanie całego Śląska powiększyły się tylko mniej więcej o 1/4, dostępność węgla jednak, a więc możliwości jego wydo-

bycia w najbliższej przyszłości wzrosły przeszło dwukrotnie, dzięki temu, że przybyło 26 nowych i to przeważnie dużych kopalń. Dają się oczywiście we znaki skutki wojennej, rabunkowej gospodarki niemieckiej, jak również brak nowych urządzeń technicznych i w końcu mniejsza wydajność niedostatecznie odżywionych górników. Mimo to jednak w roku 1946 wydobycie węgla będzie przeszło dwa razy większe niż w roku 1945 — kiedy wynosiło ono tylko 20 milionów ton — a stopniowo, gdzieś około roku 1950, powinno ono dojść do 80 milionów ton rocznie. Być może, że do tego czasu powszechny dziś w Europie głód węglowy zmniejszy się i że Polska będzie miała trudności ze zbytem nadwyżki, względnie dążyć będzie do przemysłowego przerabiania znacznej części wydobycia — co w każdym razie powinno być bardziej opłacalne niż wywóz surowca — narazie jednak popyt na rynkach światowych jest ogromny i tylko ograniczone wydobycie i brak środków transportowych hamują wzrost polskiego wywozu. Węgiel był pierwszym towarem sprzedawanym zagranicą i w początkach stanowił około 90% wartości polskiego eksportu. Za węgiel Polska kupowała wełnę, bawełnę, ropę i inne produkty z Rosji, za węgiel otrzymuje rudę żelazną ze Szwecji. W miarę odbudowy innych działów przemysłu, monopoliczne zrazu stanowisko węgla w wywozie Polski zaczyna się zmniejszać do rozmiarów właściwych, a jednym z nowszych układów handlowych (z Bułgarią) węgiel w ogóle nie jest objęty.

Podobnie szybkie tempo wykazuje odbudowa przemysłu hutniczego, mimo że tutaj zniszczenia są o wiele większe. Produkcja surówki żelaza, z dodaniem nowych hut ponemieckich, przekroczyła już przeciętną przedwojenną, a w stosunku do pierwszego półrocza 1945 wzrosła prawie 6-krotnie.

Co do cynku skończył się paradoksalny stan sprzed wojny, gdy na skutek podziału Górnego Śląska większość hut przypadła Polsce a większość kopalń Niemcom i produkcja zjednoczonego zagłębia cynkowego wzrasta.

Przemysł chemiczny zyskał nowe zakłady na Śląsku, doznał jednak także ogromnych zniszczeń. Między innymi Niemcy wywiezili całą fabrykę związków azotowych w Mościcach, a rewindykacja tych urządzeń postępuje wolno.

Osobna wzmianka należy się włókiennictwu, pracującemu w znacznej mierze na starym sprzęcie, gdyż nowszy został wywieziony. W ciągu roku 1945 przemysł ten szedł mniej więcej w połowie na bawełnie i wełnie ze Związku Radzieckiego a w połowie na surowcu z dostaw U.N.R.R.A. Produkcja sztucznego jedwabiu przekroczyła już cyfry przedwojenne.

Byłoby oczywiście pożądane zużycie całej produkcji włókienniczej na pokrycie zapotrzebowania kraju, gdzie duża część ludności chodzi w stanie jeżeli nie obdartym, to przynajmniej dosyć jawnie wylatanym. Niestety jednak część surowca radzieckiego wraca w formie produktów gotowych na pokrycie co najmniej równie dotkliwych braków tamtejszej ludności, a tylko część, obliczona jako wynagrodzenie za ten przerób uszlachetniający, zostaje w kraju. Za to trzeba podkreślić, że gdyby nie dostawy surowca ze Związku Radzieckiego, które wyprzedziły wszystkie inne — uruchomienie przemysłu włókienniczego byłoby się opóźniło o szereg miesięcy.

Największe postępy wykazuje transport. Pociągi kursują coraz lepiej i punktualniej, choć brak jeszcze parowozów, wagonów i wiele mostów czeka na odbudowę. Na 1-go maja 1946 liczba pojazdów mechanicznych w Polsce przekraczała 47 tys., a więc była o blisko 5 tys. większa niż w roku 1939. W samych ciężarówkach wzrost jest jeszcze poważniejszy. Zwiększone potrzeby ruchu kołowego tłumaczą się tym, że ten rodzaj transportu w chwili obecnej zastępuje jeszcze częściowo braki kolei i prawie nieistniejącą żeglugę śródlądową. Na ciężarówkach opiera się także w wysokim stopniu dystrybucja żywności na prowincji, zagadnienie, które znowu z uwagi na brak jakichkolwiek rezerw przez znaczną część roku i koniecz-

ność natychmiastowego rozproszania transportów zboża przybywających do portów, jest szczególnie palące.

Odbudowa portów, nad którą po dawnemu czuwa minister Kwiatkowski, zrobiła bardzo duże postępy. Gdańsk był zniszczony w 80%, Gdynia w 90%. W maju 1946 zdolność przeładunkowa obu portów, administrowanych jako jedna całość, wynosiła 40% w stosunku do przedwojennej. Szacuje się, że do końca roku zdolność przeładunkowa obu portów dojdzie do 13 milionów ton rocznie — (przed wojną 18 milionów ton). Wobec tego, że większość obrotów zagranicznych Polski, w tym prawie wszystkie dostawy U.N.R.R.A., idą przez porty, łatwo zrozumieć wagę tych cyfr.

Podobnych liczb można by przytoczyć oczywiście nieporównanie więcej. Co w nich jest charakterystyczne, to nie tylko fakt postępu, który wiąże się już z samym usunięciem okupanta i rozpoczęciem odbudowy gospodarczej, ale tempo tego rozwoju, które trzeba uznać za niezwykle szybkie. Manifestuje się w nim zwycięsko siła żywotna narodu, który choć wyczerpany i niedożywiony, zajęty w dużym stopniu przeprowadzką lub osiedlaniem się w nowych siedzibach, choć ani zbyt szczęśliwy ani też spokojny o przyszłość, pracuje jednak z całym wytężeniem.

I jeszcze jedno trzeba powiedzieć obiektywnie: trudno sobie wyobrazić, aby odbudowa w tak trudnych warunkach i przy tak szalonych brakach przejawiających się na każdym kroku mogła postępować równie szybko bez jednolitego kierownictwa, bez skupienia całej dyspozycji gospodarczej w rękach państwa. Można mieć poważne wątpliwości czy system gospodarki indywidualistycznej nie jest per saldo ekonomiczniejszy, czy nie jest on oszczędniejszy a zarazem płodniejszy w inicjatywę niż taki czy inny system kolektywny. Ostatnie słowo w tej dyskusji — której tutaj nie możemy nawet wszczynać — nie zostało jeszcze wypowiedziane. Pewnym jednak wydaje się, że w chwilach szczególnie trudnych, w czasie wojny, lub głębokiego kryzysu, względnie w warunkach pionierskich podyktowanych powszechną dewastacją i nędzą, ograniczenie jednolitego kierownictwa koniecznością ciągłego liczenia się z „dobrze nabytymi” prawami indywidualnych właścicieli, użytkowników, wierzycieli czy zarządców, stanowi czynnik wysoce hamujący.

Niezaprzewczony postęp gospodarczy Polski jest wynikiem wysiłku zbiorowego, rozplanowanego i kierowanego przez państwo. Nic dziwnego, że rząd stara się żeby było o tym głośno. Na niezupełnie radosnym tle rzeczywistości polskiej statystyka odbudowy gospodarczej stanowi element jasny i dodający otuchy.

IRENA KRZYWICKA

RODZINA MARTENÓW

Fragment powieści

Rok 1885

Siądma rano. Ciemny poranek zimowy. W stolowym pokoju drepcze leniwie służąca Hanka z kubłem węgla. Podeszła do okna i podniosła pasiastą, zwijaną w górze na drewniany pręt, roletę. Przez okno wlała się blada, rozcińczona ciemność, jak brudna ciecz. Za szybami zamajaczył niepewnie zarys przeciwległego muru i kontur ciemniejszego okna. Hanka przytupnęła w miejscu bosymi zziębniętymi stopami i zaczęła palić w piecu omackiem. W pokoju było jeszcze zupełnie ciemno. Przykucnięta, patrzyła hipnotycznie na niegrzejący ogieniek, biegający po drewnianych

trzaskach i przygasający co chwila. Była śpiąca. Wreszcie ogień się rozpalił; w piecu zahuczało rozkosznie i tak nasennie, że Hanka siedząc zdrzemnęła się na króciutką chwileczkę. Potem dołożyła węgla i wstała. Zapaliła lampę naftową. Paniutki wstaną niedługo. Jadalnia była duża, jak zwykle w warszawskich mieszkaniach, wypełniała cały ślepy róg muru skracającego w tym miejscu pod prostym kątem. W każdym z czterech rogów podwórka, na każdym piętrze była taka sama jadalnia. Okno miała też duże, potrójne, t.zw. weneckie, wychodzące na mikroskopijny balkonik. Ale okno to umieszczone w kącie pokoju, na jednym skrawku ściany mającym komunikację ze światem zewnętrznym, oświetlało tylko jeden kąt pokoju, pozostawiając w mroku całą resztę, nawet w najśloneczniejsze dni. Im ładniej było na dworze, tym bardziej jadalnia robiła wrażenie ciemnej nory. Teraz jednakże, kiedy przez okno ciekła brudnawa poświata, a wczesny śnieg szeleścił na szybach, kiedy nad długim, prostokątnym stołem, stojącym pośrodku, błysnęła zapalona lampa, a w piecu huczały czerwone błyski, pokój ten wydał się Hance nie tylko przytulny i miły, ale też bogaty i wspaniały. W ciemnym kącie, do którego nie docierało nigdy światło, stał olbrzymi kredens dębowy, grubo i obficie rzeźbiony. Na bocznej ścianie dwie jednakowe szafy na ubrania, podobnie rzeźbione w winne grona i jakieś marsowe twarze męskie z okrągłą brodawką między brwiami. Ten sam motyw powtarzał się na oparciach dwunastu krzeseł, stojących dokoła stołu i pod ścianami. Tu już wąsata twarz z krosną między brwiami, stanowiła centralny punkt ozdobny każdego oparcia, wyplatane poza tym złotawą słomą, która na siedzeniach wgłębiła się od użytku, modelując dość dokładnie kształty siedzących na nich zazwyczaj osób. Słoma, wygnieciona bujnym siedzeniem pani domu, utworzyła okrągłe, zaciszne gniazdo; ale na tym jedynym krześle leżała pluszowa, czerwona poduszka, nadając mu charakter niemal tronu. Przed oknem balkonowym stał podobnie wyplatany fotel na biegunach, a przed nim dębowa, wąska żardinierka z suchotniczymi palemkami o obeschniętych liściach. Najpiękniejszym sprzętem w pokoju był, zdaniem Hanksi, olbrzymi, miedziany samowar, stojący na stoliczku z marmurowym blatem, wyczyszczony do ostateczności i błyskający płomiennie całą powierzchnią.

Do pokoju wpadły ze stłumionym chichotem, żeby nie obudzić rodziców, Hesia i Aneczka, w barchanowych halkach, barchanowych białych kaftanikach t.zw. matinkach i rannych, rozczłapanych przez matkę, pantoflach. Po matce dziedziczyła je Hesia, po niej Aneczka. Dziewczynki przyniosły ze sobą grzebień, pończochy i buciki i kucnąwszy przed rozsiewającym już rozkoszne ciepło piecem, poczęły się ubierać. Aneczka miała lat czternaście, gruby, ciemny warkocz, opadający poniżej pasa i bladą anemiczną cerę. Hesia — lat siedemnaście, z bezbarwnym, dość kusym warkoczykiem, miała na policzkach, jak stemplem wybite, mocne, krwiste rumieńce, które były rozpaczą jej życia. „Prostackie”, mawiała matka. Istotnie, ani bezśloneczne mieszkanie, ani niehigieniczny tryb życia nie zdołały z Hesi wypłenić mocnego, jaskrawego zdrowia, którego wstydziła się ogromnie. Za to Aneczka była blada, wątła, anemiczna, jak wszystkie niemal znajome dziewczęta. Ale bardziej od nich była wrażliwa, nerwowa, niespokojna. Hesia martwiła się o siostrę, chciałaby bardziej dbać o nią, więcej się nią opiekować, gdyby nie strach przed matką.

Obie wpadły chichocząc do jadalni, żeby ubrać się przy ciepłym piecu, bo to było zakazane. Dziewczętom nie wolno było nieubranym chodzić po mieszkaniu. Ale ubieranie się zimą w ich ciemnej, nieopalanej sypialni było taką przykrością, że wołały wstać wcześniej i zanim zdoła je ktoś przyłapać, ogrzać się trochę przy piecu, a może bardziej jeszcze posłuchać rytmicznego huczenia ognia i popatrzeć lunatycznym wzrokiem na iskry górujące i gasnące w popielniku. Zwłaszcza dla Aneczki te chwile miały dużo uroku. Wszyscy jeszcze spali, w mieszkaniu było tak cicho, tak jakiś obco, jakby to nie było ich własne mieszkanie, którego niecierpiała.

Obecność Hesi nie ciążyła jej nigdy, a tępawa, dobroduszna Hanka się nie liczyła.

Obie dziewczynki siedziały teraz na rogu dywanu, który podchodził aż pod piec. „Siedzieć na podłodze! Co za zgroza!” powiedziała by matka, — i wciągały grube, czarne, bawełniane pończochy i wysokie, zapinane na guziki trzewiki. Z tymi guzikami była męka co rano. Zawsze się któryś urwał i trzeba było przyszywać, przy czym albo tępy koniec igły wbijał się w palec, albo igła, nie chcąc wejść w sztywną skórę, łamała się na naparstku, a matka co dzień liczyła igły i były awantury bez końca, gdy której brakło. Hesia mniej obrywała przy tych okazjach, bo było wiadomo, że ma zręczne ręce, ale Aneczka wiecznie ssała pokłute palce i słuchała z rezygnacją narzekań matki.

Po ceremonii zapinania bucików haczykiem, następowało kładzenie gorsetów. Aneczka, jak zwykle, wybuchała protestem: — Co za obrzydliwość! Co za szatański pomysł! Dlaczego kobiety mają nosić pancerz. Te wstrętne fiszbiny! Kto to wymyślił! — Ależ Aneczko, tłumaczyła Hesia, bez gorsetu wygląda się nieprzyzwoicie. Wszystko się trzęsie.

Aneczka spojrzała na pulchne, zbyt miękkie, już teraz, w tak młodym wieku zdradzające skłonność do obwisłości, kształty siostry.

— Ty przynajmniej masz co ścisnąć, ale ja!

Hesia spojrzała smutnie na siostrę. Tak, to było przykre. Aneczka była według opinii całego domu źle zbudowana: wąska w biodrach i w siedzeniu, z małutkimi piersiami, które jakoś nie rosły, z długimi nogami, przypominała raczej chłopca niż dziewczynę. Przy tym ta ciemna cera!

— To się jeszcze może zmienić, powiedziała, aby ją pocieszyć.

— Hanka, chodźno, zesznuruj mnie mocno, strasznie mocno, ile tylko masz siły, zawołała Aneczka do nakrywającej do śniadania Hanki, podając jej końce tasiemek od gorsetu. Hanka zaczęła ciągnąć, Ania trzymała się oburącz kredensu.

— Anka, oszalałaś, po co ci się tak ścisnąć, zawołała Hesia. Przecież sama mówisz, że nie cierpisz gorsetu.

— Kiedy już muszę nosić to paskudztwo, to przynajmniej chcę coś z tego mieć, odparła Ania ledwo dysząc. Patrz, jak mi biust wyszedł na wierzch, można by pomyśleć że coś mam naprawdę i przynajmniej będę cienka w pasie jak osa. Chociaż kto wymyślił że to jest ładne?

Hesia ścisnęła się umiarkowanie, po czym obie zawiązały na gorsetach tasiemki od długich, sięgających poniżej kolan majtek, potem tasiemki od halki barchanowej, wreszcie tasiemki od halki perkalowej krochmalonej.

— Boże, ile tasiemek, irytowała się jak co dzień Ania, mocując się z tym zamętem sznurków. Co za idiotyzm, to ubranie. Czy nie można jakoś inaczej tego obmyśleć. Całe jesteśmy splecione sznurami.

Włożyły płócienne, krochmalone staniczki i na to wreszcie wciągnęły merynosowe brązowe mundurki gimnazjalne z wysokimi kołnierzykami na fiszbinach. Potem czarne alpagowe fartuszki.

— Aneczka, znowu czytałaś w nocy, zauważyła Hesia, przyglądając się badawczo siostrze w jaśniejącym coraz bardziej świetle dnia. I znowu beczalaś. Masz czerwone oczy.

— To moja jedyna przyjemność, burknęła Ania. — Chciała jeszcze coś dodać, ale przez pokój przebiegł brat Kamil w koszuli i długich kalesonach, związanych w kostkach na tasiemki, w palcie niedbale zarzuconym na plecy. Ranny strój dla chłopców nie istniał, jedynie ojciec miał prawo chodzić w szlafroku. Dziewczynki poszły do swego pokoju umyć się teraz dopiero, kiedy były zupełnie ubrane.

Mycie się nie wiele miejsca zajmowało w ich życiu. W ich ciemnym, wychodzącym na jakiś kąt podwórka pokoju, nie paliło się w piecu zimą bo był blisko kuchni i „leciało” do niego ciepłe powietrze, razem oczywiście ze swędem kuchennym. W pokoju stały dwa łóżka żelazne, jakaś niewyraźna toaletka, stół do odrabiania lekcji, etażerka na książki i stołek z mied-

nicą, a obok niego dzbanek i kubek. Matka nie pozwalała myć się ciepłą wodą, to był luksus tylko dla rodziców. Przy tym nadmierne mycie się było uważane za niezdrowe. „Nie należy skóry pozbawiać tłuszczu” twierdziła matka. Toteż dziewczęta nały sobie kapkę wody do miednicy (wody trzeba było oszczędzać, płaciło się za nią drogo wozwodzie), ochlapały sobie twarz i ręce, rozpięły kołnierzyki i trochę przetarły szyje. Toaleta była skończona. Potem zapakowały książki do tornistrów, weszły znów do jadalni i stanęły za swoimi krzesłami, w oczekiwaniu śniadania. Kamil, już ubrany, stał za swoim krzesłem. Był blady, jak Aneczka, ale miał jasne włosy Hesi. Na regularnej jego, mizernej twarzy osiadł wyraz melancholii, z którego był bardzo dumny. Sypał mu się złotawy wąsik. Spojrzał życzliwie na wchodzącą Anię. Było między nimi ciche porozumienie, o którym nikt w rodzinie nie wiedział. Dziewczynce zabiło serce jak zwykle, gdy chwytiała spojrzenie ukochanego brata. Hesi Kamil nawet nie zauważył, była to gęś, w jego przekonaniu, niegodna uwagi. Ance za to powiedział kiedyś po cichu, że będzie z niej może „człowiek”. Były to najpiękniejsze słowa, jakie w życiu usłyszała. Nosila je w sobie, jak skarb.

Po chwili wszedł, gwizdząc, najstarszy brat, Guccio. Ten był na innych prawach, niż reszta dzieci. Był najstarszy. Był ulubieńcem matki. Zarabiał już na siebie, zdobywszy nikłą posadkę w banku. Ojciec pragnął, aby najstarszy syn pracował wraz z nim we własnej firmie, w drukarni, która choć niewielka i cierpiąca skutkiem konkurencji większych przedsiębiorstw, dawała jednak utrzymanie rodzinie. Kiedyś marzył ojciec, Guccio dobrze się ożeni, włoży pieniądze żony w ojcowską drukarnię i może będzie można pomyśleć o własnym wydawnictwie. Ale Guccio marzył o szybszym zrobieniu majątku: pracując w banku był bliżej giełdy, bliżej wylęgarni pieniędzy. Lubił karty, kawalerskie pijatyki, niewybredne dziewczęta. Matka mówiła z uśmiechem: „Guccio to birbant”. Był typem mężczyzny, o jakim zawsze marzyła.

Guccio, ziewając głośno, wszedł do jadalni. Jego pełne, czerwone wargi pod zakręconym wąsikiem, odstaniały nierówne, ale bardzo białe zęby. Miał włosy z lekka ondulowane i przedziałek przez całą głowę aż do szyi. Wyświeżony i pachnący, w obcisłych spodniach i bardzo wysokim, sztywnym kołnierzyku, był arbitrem mody w rodzinie. Przecierając zapuchnięte, niewyspane oczy czystą chusteczką, podszedł na chwilę do okna, przez które wyraźnie już widać było przeciwległy mur podwórka i okna sąsiadów przeważnie pozasłaniane jeszcze takimi samymi roletami w brązowe pasy z frendzelką na dole, jakie były u nich. Gdzieś tam przez uchylone lufki, służące wytrzymały ścierki do kurzu. Trzepanie dywanów na podwórku rozlegało się z taką wibrującą siłą, jakby wszystkie cegły domu dzwięczały unisono z trzepaczką. Z głośnym szuraniem stróż zmiatał śnieg drewnianą szuflą. Co pewien czas rozlegały się melodyjne wołania na różne tony: „Garnki pobielam, garnki pobielam”, z niewytłumaczonym naciskiem na po: dziarskie „Marchewka, pietruszka, włoszczyzna”, utrzymane w walcowym rytmie. Po chwili, jak zwykle o tej porze, rozległo się głuche i tajemniczym głosem wypowiedziane, z nieporównaną ekspresją: „Pantofle sprzedają, pantofle”. Guccio wzruszył ramionami i poszedł do kuchni wołając: „Hanka, co tam z kawą”. W korytarzu prowadzącym do kuchni rozległo się nieuchronne szamotanie, pisk i zduszony głos Hanki: „Paniczu, jakże można”.

Ania drgnęła febrycznie i cała się skurczyła. Hesia udała, że nie słyszy, Kamil zaklął z cicha i energicznie otworzył drzwi, prowadzące na miejsce kuchennych zmagani: — Gustaw, ojciec idzie.

Guccio wrócił do jadalni, poprawiając kołnierzyk i stanął za swoim krzesłem. Etykieta domowa w rodzinie Martenów była ściśle przestrzegana, rodzice żądali jej bezwzględnie. Etykieta, która ongi z dworów magnackich przeszła do szlacheckich, a potem do domów mieszczańskich, spóźnio-

na wśród zmienionych obyczajów, zniekształcona, karykaturalna często. Ojciec wszedł pośpiesznie, obrzucił ciepłym spojrzeniem gromadkę dzieci, które podchodziły do niego kolejno i całowały w rękę, Gucio tylko pocałował go w ramię. Potem wszyscy siedli do stołu, Hanka przyniosła kawę i śmietankę (któżby pijał kawę z mlekiem) i rodzina zaczęła pośpiesznie smarować masłem chrupiące pszenne bułeczki, zwane kajzerkami, nie rozmawiając przy stole; każdy był zajęty własnymi myślami. Zwłaszcza ojciec, nieprzytomny jak zwykle, nie bardzo wiedział co się koło niego dzieje. Miał rzymską twarz, z pięknym kościstym nosem, pozostałość zapewne po przodkach francuskich, pan Cyprian bowiem twierdził, że pochodzą z rodziny francuskich emigrantów i że pradziadek nazywał się Martin. Nie było na to żadnych dowodów, dziadek Marten umarł bardzo dawno temu i czy to przez brak pietyzmu, czy z innych jakich powodów nie mówiło się o nim nigdy w rodzinie. Wersja ojca dawała pochodzeniu rodziny posmak niewyraźnie arystokratyczny, ale prawdopodobniejsze było, jak twierdził Kamil, że to któryś z żołnierzy napoleońskich, wracając spod Berezyny, utknął w Polsce i tu pozostał, albo może kto wie, jakiś gubernier francuski założył polską odmianę Martenów. Dość, że siedzieli w Polsce już dawno, nie utrzymując ciągłości między pokoleniami, obojętni na tradycję rodzinną, jak to często się zdarzało wśród rodzin mieszczańskich.

Cyprian Marten zatrudniał ośmiu pracowników w swojej drukarni. Po ukończeniu gimnazjum pojechał na kurs techniczny do Grenoble, ale śmierć ojca zmusiła go do powrotu po paru miesiącach. Cyprian wziął się do zarządzania drukarnią z niechęcią i jakby wstydem. Nadszedł rok 63. Paru jego przyjaciół przystąpiło do powstania. Niektórzy z nich wkrótce zginęli. Cyprian kolportował proklamacje, brał udział w pochodach ulicznych, ale do czynnej walki nie przystąpił: wahał się, wątpił, miał na utrzymaniu matkę... Pozostało mu zresztą potem na całe życie poczucie winy i niesmak do samego siebie. Po upadku powstania padło hasło pracy organicznej. W tym czasie Cyprian rozbudował nieco swoją drukarnię i nawiązał stosunki listowne z paroma firmami zagranicznymi. Ale nie znalazł pełnego zadowolenia w swej pracy, ciągle miał uczucie, że nadawał by się do czegoś większego, że nie dość służy krajowi, mimo że popularne wówczas hasła nie wskazywały innej drogi Polakom niż ta, którą on obrał. „Pracujcie i dźwigajcie kraj ekonomicznie! Bogaćcie się”! Ale Cyprian nie umiał się z bogacić, a romantyczne porywy wyniesione z lat wczesnej młodości odbierały smak jego codziennemu życiu. Aż do późnej starości cierpiał wskutek tego rozdarcia.

Śniadanie upływało w milczeniu. Ojciec czytał rannego kuriera. Gucio, jedząc, patrzył zaspianymi oczami tępo w okno i myślał, że Hanka będzie mniej kosztowna, niż najmizerniejsza baletniczka, i że czas byłoby mieć stałą kochankę, a nie kontentować się przygodnymi wycieczkami na ulicę Żelazną. Hanka jest ładna, świeża i na pewno zdrowa. Hesia, prędko zjadłszy swoje trzy bułki, smarowała masłem stos pieczywa, które rodzeństwo jej miało zabrać ze sobą na drugie śniadanie. Kamil pożerał całe stosy bułek. Pochylił się do Ani, która dotąd nie uporała się z jedną kajzerką, spoglądając na nią ze wstrętem anemicznego dziecka, zdenerwowanego przed szkołą.

— Wiesz, szepnął Kamil siostrze. Mam już.

— Co? odszepnęła gorąco Ania, dumna że starszy brat do niej zagadał.

— Dziady. Trzecia część. Bez żadnych okrojów.

Ania odpowiedziała mu entuzjastycznym spojrzeniem, przy czym rzuciła ostrzegawcze spojrzenie, aby mieć się na baczności przed resztą rodziny. Kamil rozejrzał się niespokojnie, ale spostrzegłszy że nikt nie usłyszał, zabrał się jeszcze namiętniej do swoich bułek.

Oboje bali się tylko rodziców. Wiedzieli zresztą czym grozi czytanie nielegalnej literatury. Gotowi byli roznosić „bibułę” (Kamil już zresztą parę razy to robił), gotowi byli choćby rzucić bombę, gdyby „ktoś z partii”

o którym myśleli z entuzjazmem, im to nakazał, gotowi byli narazić życie i wiedzieli, że po skończeniu gimnazjum będą je narazali, ale bali się rodziców. Ten strach, wszczepiony czy to przez atawizm, czy przez wychowanie, był silniejszy ponad wszystko. Nie bledli na widok zandarma, bledli często na widok matki. Ojca mniej się lękali, ale i on, gdyby się miał dowiedzieć... Cierpli cali. Irracjonalny lęk był nie do pokonania. Nie umieliby wytłumaczyć czemu tak się boją rodziców.

Ojciec złożył z szelestem gazetę, dzieci wstały od stołu. Podchodziły kolejno do niego, z wyjątkiem Gucia, całowały go w ramię i dostawały po pięć groszy na drugie śniadanie, na serdelki. Po chwili ojciec, obrzucając ich ciepłym spojrzeniem, z uśmiechem na rzymskiej twarzy, powiedział: — Mama spóźnia się dziś na śniadanie. Korzystajcie. Macie tu jeszcze po dziesiątkę na ciastka.

Trzy pary oczu błysnęły radością, oczy Ani po chwili załśniły łzami. Płakała chętnie i dużo. Boże, jaki ten ojciec dobry! Boże, jak go kocha! Nie było jednak żadnej przyjętej formy aby to ujawnić. Wciąż ta sama ceremonialna etykieta, przejęta z umarłych form arystokratycznych i dworskich, krępowała każdy odruch serca. Zresztą rozległ się za drzwiami szelest halki jedwabnej. Matka nadchodziła. Od razu wszystkie twarze stężały.

Wejście pani Konstancji Martenowej miało w sobie zawsze coś monarchezgo. Była majestatyczna i okazała. Dość wysoka, wyższa od męża, zesnurowana była tak mocno, że biust bardzo i bez tego wydatny tworzył rodzaj tacy pod brodą. Na jej biodrach i siedzeniu zastygłych w gorsecie, spódnica zdawała się pękać, napięta nieruchomo jak na meblu. Poniżej rozłożystych bioder było falowanie kaskad materiału, falban i riszek. Wysoki kołnierzyk, jak chomąto końskie, więził szyję i unieruchamiał głowę, która w tym stężeniu przybierała jeszcze bardziej majestatyczny wyraz. Dwa podbródki, nos szeroki i perkaty, usta pełne, ale blade, czoło aż po brwi zakryte grzywką z cudzych włosów, przypiętą kunsztownie nad czołem — panią Konstancję nazywano powszechnie „belle femme”. Tego określenia dla tęgiej, okazałej kobiety, instynktownie nikt nie polszczył, jakby czując, że z pięknem ma to niewiele wspólnego. We Francji w owym okresie złego smaku w modzie był tłuszc: tłuste, przelewające się kobiety, „tłuste” dowcipy. Hodowane z lubością sadło, ścisłkane później w krochmalonych gorsach, kołnierzykach, fiszbinach, rościło sobie pretensje do urody.

Wszyscy ruszyli ku rączce mamusi, nie wyłączając ojca, a ona, ze spokojną wyniosłością, wyciągała do każdego grzbietem do góry pulchną, żółtawą dłoń z paroma grubymi pierścionkami, które nie pozwalały domknąć się palcom. Wszędzisy, natychmiast zaczynała panować, ogarniała jednym spojrzeniem pokój i rodzinę i od razu widziała wszystko. Cierpkim głosem robiła uwagi:

— Ania, nie spuszczaaj oczu, widzę że masz czerwone, znów czytałaś w nocy! Hesia, jeszcze nie nasmarowałaś wszystkich bułek, zawsze ślamazara. Kamil, guzik od mundura masz urwany, nie mogłeś dać Hance do przyszycia? Gucio znów wziął czysty kołnierzyk! póki jesteś w moim domu nie będziesz zmieniał częściej niż raz na tydzień. Co tu było tak cicho jak weszłam, pewno ojciec znowu wam dał jakieś pieniądze do wyrzucenia. Pewno, trwonąć łatwo, ale związać koniec z końcem trudniej.

Dzieci jadły w milczeniu, każde pochłonięte własnymi sprawami. Ojciec, popijając kawę, czytał gazetę i dzielił się od czasu do czasu wrażeniami z lektury.

— Sprawa kanalizacji, powiedział, podsuwając żonie filizankę, aby mu nalala jeszcze kawy — nie posuwa się naprzód. Panowie radni raczą żartować z naszego syreniego grodu, jak tu właśnie czytam. Biorą wielkie pensje, siedzą za granicą, a Warszawa bez wodociągów i kanalizacji stanie się łupem bakcyllusów cholery.

— O tej cholery mówi się już od dwóch lat! — zawołał Guccio, a jakos jej nie widać. Od dwóch lat tłuką ją po gazetach. To w Kairze, to w Hiszpanii, to w północnych Włoszech, ale co nas to obchodzi! Warszawy żadne zło nie weźmie. I klimat nasz nie sprzyja cholery.

— W Paryżu też były wypadki cholery! — zawołał Kamil — a wielki uczone Robert Koch powiedział...

— Nie wtrącaj się — burknęła matka — Ci wasi uczeni zaczną nam niedługo do garnków zaglądać i mówić co mamy jeść, a lekarstw uczciwych robić nie umieją. Niech znajdą lekarstwo na dyfteryt, to im się poklonię. Myślałam w zeszłym roku, że mnie zadusi. Pomyśleć tylko, dyfteryt w moim wieku.

— Moja duszko, nie bagatelizuj cholery — powiedział pan Cyprian. — To wielka plaga ludzkości, ale jestem pewien, że w końcu panowie Pasteur i Koch ją zwalczą. Gdybyśmy mieli kanalizację, toby mogły w ogóle choroby w naszym mieście ustać. Trujące opary unoszą się z nieczystości. Wodociągi i ścieki mogą sprawić to, że ludzie będą umierali tylko ze starości.

— Ach, to byloby cudowne, krzyknął Kamil, niepomyślnie na karcenie matki — postęp nauki, proszę ojca! Do czego może doprowadzić postęp nauki.

— Tak, mój drogi, westchnął pan Cyprian, gdyby ludzkość była rozumna. Ale właśnie czytam, że w Irlandii robią próby rzucania z balonów bomb dynamitowych. Chcą obrzucić Londyn takimi bombami. Gazeta zapewnia, że to nie jest groźne, ale jeżeli ludzie chcą wyzyskać cudowny wynalazek balonów dla celów morderczych...

— Irlandczycy walczą o swoją ojczyznę, proszę ojca, powiedział cicho Kamil. — A w takiej walce wszystko jest dozwolone.

— Nie wolno ci tak mówić, krzyknął ojciec. — Nie ma walki, w której wszystko byłoby dozwolone. Są pewne prawa człowieczeństwa, których gwałcić nie wolno. Podkładanie bomb w miastach, jak to czynią anarchiści, a tym bardziej rzucanie ich na osłep z balonów jest niedozwolone przez prawo moralne, które tkwi w człowieku. I nie chcę, aby mój syn kiedykolwiek myślał inaczej.

„To trzeba przemyśleć”, postanowił Kamil, ale nie odpowiedział już nic.

— Żeby się tak zaczepić o tę kanalizację, można by może sporo zarobić, powiedział Guccio. Ale oni dobrze płacą tylko cudzoziemcom. Fabrykacja balonów? Może kiedyś w przyszłości... Gdyby zdobyć odpowiednie kapitały... Gdy tylko dzieci wstały od stołu, pani Martenowa zaczęła znów rządzić: Hanka, jak śmiałaś zapalić rano lampę i nie oczyścić przedtem szkiełka. Nie widzisz, że zafilowane. Ty kocmołuchu jeden, ty tłumoku!

Reszta wyzwisk brzmiała już z kuchni, wraz z histerycznym nadrywaniem głosu. Czy nadmiar dystynkcji na co dzień znajdował u pani Martenowej konieczne ujście w tych awanturach kuchennych, czy właśnie do dystynkcji należało obsypywać wymysłami milczącą ponuro dziewczynę, trudno określić. Jej życie, życie mieszczańskie, nie umiając sobie znaleźć własnych form, żyło reminiscencjami form dawnych, czasem zamierzchłych. Szlachta, magnateria jeszcze tak niedawno, w poprzednim pokoleniu panowały nad chłopami pańszczyźnianymi, dawały im okrutnie i boleśnie odczuć swoją władzę. Stąd też w pojęciu mieszczyki „prawdziwi” państwo musieli mieć choćby jedną niewolnicę, teoretycznie tylko wolną. Traktowanie jej brutalnie dawało pani Konstancji afirmację jej stanowiska społecznego. Stosunki feudalne się zmieniły, narowy domowe zostały te same. Zresztą obelgi, jak mogło by się zdawać, nie były dla służącej nazbyt przykre, dawały jej poczucie dystansu między nią a „państwem”, a spełniać najniższe postęgi przy obcych ludziach jest lżej, kiedy się ich stawia nieskończenie wyżej od siebie. Jak baronom i diukom nie było przykro wynosić onników królewskich, tak Hance łatwiej było służyć pani Martenowej, kiedy czuła w niej „prawdziwą” panią. A prawdziwa pani musi lżyć.

Inaczej jednak na te sprawy patrzyły dzieci, z wyjątkiem Gucia, którego awantury domowe w ogóle nie interesowały. Pan Cyprian miał muzykalne ucho, które wprost fizycznie nie znosiło podniesionego głosu. Hesia bolała nad Hanką z wrodzonej dobroci serca, Ania i Kamil burzyli się przeciw poniewieraniu w niej człowieka. Ale czuli się bezsilni wobec matki. Toteż rzuciwszy sobie spojrzenie porozumiewawcze, zemknęli jakby chyłkiem do przedpokoju, i poczęli naciągać na siebie obrzydliwe mundurowe płaszczki. Hesia wkładała tymczasem do każdego tornistra i do teczki Gucia zawiniątko z bułkami. Po czym wszyscy wyszli.

Państwo Martenowie pozostali sami przy stole. Po odejściu dzieci, pani Konstancja kazała podać sobie i mężowi po dwa jajka oraz parę płatków szynki i salcesonu. Postępowała znów w myśl pojęć, przekazanych jej atawistycznie, mocą których lepiej odżywiać się powinny osoby wyżej postawione. Ponieważ w hierarchii rodzinnej dzieci zajmowały stanowisko podrzędne i zależne, jasne było że powinny jadać gorzej. Pojęcie racjonalnej higieny jeszcze nie istniało.

Cyprian czuł, że żona jest nasepiona i że grozi nawalnica. Nie ośmielał się jednak wstać od stołu, aby nie poczytała tego za niegrzeczność. Wolałby zrzec się jajek i szynki za cenę spokoju, ale nie miał odwagi. To, czego się spodziewał, wybuchło.

— Dulska widziała cię na ulicy z kobietą, powiedziała groźnie pani Martenowa.

— Spotkałem znajomą i podprowadziłam ją kawaleczek.

— Co ty masz za znajome, których nie zna żona, krzyknęła Konstancja. A ja miałam migrenę, ciężko chorowałam całe popołudnie. Ale cóż cię to może obchodzić, wolisz latać po lafiryndach, zamiast się interesować zdrowiem własnej żony.

— Bądź łaskawa tak się nie wyrażać o szanownej paninie Kunowskiej. — Panna! panna, nie panna, pisz pan panna — zacytowała nagle jakąś anegdotę — Co to za jedna?

— Nie pojmuję, duszko, o co ci chodzi. To osoba starsza, daleko jej do twojej piękności, osoba godna i skromna, nie wiem co mieć przeciw niej możesz.

— Za dużo mówisz. Za gęsto się tłumaczysz. Sam się zdradzasz — przyskała jadowitymi zdaniami żona — Dulska aż się pokładała ze śmiechu. Powiada, że to z tych emancypantek, że pewno rozmawiacie o nieszczęśliwej ojczyźnie. Kpiny. Wiem, co za tym się kryje.

— Zamilcz. Ty sobie tego wcale wyobrazić nie możesz, głupia kobieto — wybuchnął wreszcie Cyprian, wstając gwałtownie. — Daję ci wszystko, com ci jest winien jako żonie. A od reszty ci wara.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Konstancja była wściekła. Ominęła ją możność zrobienia większej awantury. Złe się wybrała ze swymi wymówkami rano. Zawsze mógł uciec pod pretekstem, że śpieszy się do pracy. Robiła scenę raczej dla zisady, niż z istotnego przekonania. Uważała, że męża należy „trzymać” podobnie jak służącą. Powinien zawsze czuć się winnym, niegodnym. Na czymże innym mogła według niej polegać przewaga żony wobec tłuszczy czyhających na każdego mężczyznę „rozwiązanych” kobiet? Ale to, że dziś tak gwałtownie wybuchł, było bardzo podejrzane. On taki zawsze potulny. Nazwał ją głupią. Pożaluje tego. A tej intrygantce, starej paninie, też pokaże. Głucha irytacja, która na stale podminowała jej charakter, tak częsta u ludzi posiadających absolutną władzę, choćby w najmniejszym zakresie, teraz dławiała ją nie mogąc wybuchnąć.

Nie kochała męża. Wyszła za niego, bo ojciec był za tym i dlatego, że po powstaniu, kiedy tyle młodzieży padło i tylu wywieźli, trudno było o męża. Ojciec jej miał sklep korzenny w dużym narożnym domu. Konstancja czasem siadywała przy kasie, rzekomo aby pomóc ojcu, w rzeczywistości, aby sobie złapać kawalera. To jej się udało. Zgnębio-

nemu wypadkami narodowymi Cyprianowi, w nastroju powszechne żaloby, ta zdrowa, tęga dziewczyna, z której biło zwierzęce zadowolenie z życia i niewybredna wesołość, wydała się zachwycającym zapomnieniem. Była tak różna od niego, z jego wieczną melancholią i niezadowoleniem z siebie, że właśnie dlatego uznał ją za dobrą towarzyszkę. Konstancja Malencówna dostała posag niewielki, bo ojciec jej, wdowiec, pił, lubił kobiety i zorientował się od razu, że taki człowiek jak Cyprian Marten nie będzie twardy na punkcie pieniędzy.

Cyprian włożył szczupłą sumkę żony w swoją drukarnię, rozszerzył ją trochę, odświeżył i zapadł w ponowną melancholię na myśl o tym, że jeżeli poprowadzi rozszerzone przedsiębiorstwo nieudolnie, to straci nie tylko to co ma, ale i nie swoje pieniądze. Konstancja była zadowolona ze swego małżeństwa: być żoną „przemysłowca”, choćby bardzo drobnego, znaczyło więcej niż być córką kupca korzennego. Przy tym ojciec był skąpy, mąż hojny, poczuła się panią pieniędzy. Z początku znosiła pieszczoty męża z chłodem właściwym dziewczętom, które dzięki wychowaniu i panującym pojęciom trzymane były jak najdalej od wszelkich spraw cielesnych. Jej pobożność, powierzchowna, ale intensywna, kazała jej widzieć w miłości nade wszystko rzeczy „ohydne” i „brudy”. Po urodzeniu się Gucia zmysły jej ocknęły się i wtedy przeżyli z Cyprianem najlepszy swój czas. Ale już po Kamilu mąż ochłódl. Znużyła go jej pospolitość i ograniczenie, jej skąpstwo, żądza władzy i gadatliwość. Uważał ją dalej za bardzo piękną i ponętną, podziwiał jej obfite zwały tłuszczu, uważał za dobrą gospodynię, ale starał się jak najmniej przebywać w domu.

Konstancję głęboko urażał ten chłód i źle znosiła niedosycenie seksualne. Robiła mężowi sceny zazdrości, czym jeszcze bardziej odpychała go od siebie. Uważała, że odzyskać go może wymówkami, awanturami, wynoszeniem swoich zalet, poniewieraniem go, wytykaniem mu jego słabego charakteru, niedołęstwa, roztargnienia, niedostatecznego dbania o dom. Jej awantury wypływały może nawet nie tyle z temperamentu, ile z przeświadczenia, że jeżeli mu uświadomi jego wady a swoje zalety, jeżeli go przekona, że postępuje niewłaściwie, wtedy zarówno charakter jego, jak stosunek do niej się zmienia. Wierzyła, jednym słowem, w siłę i skuteczność propagandy. Ale, jak to najczęściej bywa, propaganda choć podziałała, odniosła skutek wręcz odwrotny. Udało jej się całkowicie przekonać Cypriana o jego wadach, zgadzał się z każdym jej słowem, ale postępowanie swoje zmienił w tym sensie, że jeszcze bardziej począł unikać domu, że, czując się niegodnym żony i mając wobec niej stale poczucie winy, nawet w nocy nie mógł pokonać upokorzenia, co go ochłodziło zupełnie. Wesołością, żartem, pogodą, tym wszystkim co go ujęło, kiedy była dziewczyną, mogłaby go i teraz odzyskać. Ale kokietowanie własnego męża wydałoby się niegodne tej purytańskiej mieszczańeczce, zresztą uważała, że kobieta nie powinna zdobywać, ubiegać się, tylko wymagać. Wszyscy w jej otoczeniu musieli wypełniać obowiązki, które ona im narzuciła. Ona też wypełniała swoje, ale nigdy nie zatroszczyła się o to, czy jej koncepcja obowiązku była równoznaczna z poglądami otoczenia.

Była na przykład dumna z siebie, że już przy śniadaniu pojawiała się ubrana całkowicie, zasznurowana, z przypiętą grzywką. Zapewne, wymagało to niemałej dyscypliny wewnętrznej, strój tak był skomplikowany i przeciwny naturze. Ale pani Konstancja od rana też była pod wszelkimi względami pod bronią, czujna, napastliwa, władcza i cały dom marzył, żeby zasnęła, żeby miała migrenę, żeby zachorowała. Wszyscy pragnęli choć trochę odetchnąć od ciągłego ucisku jej nakazów, rozkazów i wymówek, od jej wiecznej obecności w najdrobniejszych sprawach codziennego życia. Do ważniejszych nie miała dostępu. Właściwe życie jej dzieci i męża było tak przed nią zamknięte, że często nie podejrzewała jego istnienia. Czasem które z nich zdradziło się z jakim szczegółem i zносиło z rezygnacją nieuchronną awanturę. Jedna Hesja otwierała czasem serce

przed matką, ale miała mało do ukazania, zwłaszcza że matka gardziła nią otwarcie.

Konstancja kochała tylko synów, a zwłaszcza Gucia. Kochała siłę pod wszelkimi postaciami, dlatego też szanowała mężczyzn a gardziła kobietami. Nie zdawała sobie z tego sprawy, że w jej małżeństwie właśnie ona była stroną władczą i we własnym pojęciu uważała się za ofiarę swego męża, za bezbronną, stale wykorzystywaną istotę. Jednocześnie gardziła mężem za objawy słabości, które jednak w jej przekonaniu były raczej objawami trudnego charakteru i złej woli. Marzyła o silnym mężczyźnie i spodziewała się takiego znaleźć w swoim synu. Szanowała mężczyzn za to, że robili kariery, pieniądze, że mogli żyć nieskrępowani formułkami „przyzwoitości”, niezbędnymi dla kobiety, nawet za to, że mogli pić i hulać. Uważała ich za głupców, kiedy się żenili. Byłaby szczęśliwa, gdyby jej synowie nie ożenili się wcale, albo przynajmniej z bardzo dużymi pieniędzmi. Nie mogła dotąd darować mężowi, że się zgodził na jej nikły posażek i że nie żądał od ojca większej sumy. Ale czegoż innego można się było spodziewać po takim fałtupie, jak nie małżeństwa z miłości. Kamil, mówiła sobie, jest zdolny i może zajdzie daleko. Ale Gucio... Gucio na pewno zrobi majątek i ożeni się z bogatą dziedziczką, ze szlachcianką może, albo z córką fabrykanta. Pragnęła, by grał w karty i na wyścigach, jeździł powozem, miał kokoty. Każdy najbardziej przyjemny człowiek musi żyć jakąś fikcją, marzeniem. Konstancja marzyła o przyszłości Gucia.

Córki lekceważyła. Nie były dość ładne na to, żeby zrobić świetne partie. Przy tym Ania chorowita, Hesia za bardzo zdrowa, co uważano za niedystygowane. Myślała nawet o tym, żeby jedną z nich, zwłaszcza Anię, oddać do klasztoru, ale Cyprian sprzeciwił się temu z nieoczekiwaną energią. Zgodziła się bez wielkiego sprzeciwu, tym chętniej, że jedna osoba mniej w domu była jednym obiektem mniej do sprawowania władzy, a Konstancja w braku innych upojeń upajała się władzą.

Władzą i posiadaniem. Każdy mebel w mieszkaniu, każdy najdrobniejszy przedmiot lasił się do niej: „Jestem twój, twój własny”. Radość posiadania była ciągle, każdej chwili żywa w Konstancji. Było coś dziecięcego i pierwotnego w radości, z jaką brała każdą sztukę bielizny, z jaką otwierała kredens, myśląc: „Moje”. To było jej największe zadośćuczynienie za życie martwe, pozbawione jakiegokolwiek duchowości, za erotyzm będący niemal w zaniku, za chłodny, często nawet wrogi stosunek męża i dzieci. Zresztą mąż i dzieci też były jej własnością. Patrząc na stare panny, na kobiety bezdzietne, myślała w duchu z dławiającą radością: „Ja mam, one nie”. Miała na własność męzczyznę i cztery istoty ludzkie, które muszą ulegać jej woli, tak przynajmniej sądziła. Instykt posiadania stapał się u niej w jedno z przywiązaniem rodzinnym, toteż gdyby czuła, że któreś dziecko wymyka się jej władzy, wolałaby się go wyrzec.

Cyprian już w przedpokoju, rad że uchodzi awanturze, pocałował żonę nieuważnie w rękę. Konstancja umilkła, odkładając dalszy ciąg wymówek na wieczór i w myśl wymagań etykiety odprowadziła go do schodów, przyglądała mu się jak kładł futro, wielką futrzaną czapę i brał laskę ze srebrną gałką. Własnoręcznie oczyściła mu szczotką jakiś pyłek na rękawie i wetknęła do kieszeni palta bułkę z masłem i szynką na drugie śniadanie. Oznaczało to, że awantury małżeńskie swoją drogą, a swoją — uległość i służbiłość żony wobec męża, który zarabiał na dom. Cyprian przyjął, jak zwykle obojętnie, te dowody troskliwości, zresztą myślał o czym innym. Zaraz na ulicy oddał pierwszemu biednemu dziecku swoją bułkę, nie cierpiał bowiem zimnego i suchego jedzenia, zawiniętego w zatłuszczony papier. Dzieci okoliczne znały ten jego zwyczaj, ustawiwały się też co dzień gromadką w pobliżu bramy. Te zaś, na które nie wypadła tego dnia kolej na bułki, stawały przed witrzyną pobliskiej cukierni, patrząc tęsknym wzrokiem na ciastka. Pan Cyprian nie mógł znieść widoku wpatrzonych w słodczyce dzieci i głodnych, węszących psów. Miał już

z góry przygotowane w kieszeni miedziaki na ciastka dla dzieciaków i na kielbasę dla psów. Toteż znano go już w całej dzielnicy z tego, że szło za nim zawsze skromnie ale wytrwale parę psów i gromadka podnieconej dzieciarni. On sam nie zdawał sobie zresztą z tego sprawy i nie odróżniał dzieci, którym tak umiała życie, toteż korzystali z jego dobroci przeważnie najsprytniejsi i najsilniejsi w pięści, którzy w porę i zręcznie umieli mu się nawinąć pod oczy i należycie usunąć z pola widzenia innych rywali. Ale mimo to, gdy szedł ulicą towarzyszyło mu ciche uwielbienie wielu malutkich serc, uwielbienie, które miało przetrwać wiele lat i wydać kiedyś nieoczekiwane owoce.

Z hojności jego częściej jednak korzystały obce dzieci niż własne. Dobroć Cypriana była impulsywna. Nie zastanawiał się, czy jego dzieci mają dość słodczy, bo nie widział w ich twarzach tego głodnego wyrazu, którego nie mogła wytrzymać jego wrażliwość. Sądził przy tym, że dzieci jego mają wszystkiego pod dostatkiem. Zresztą bał się żony i jej awantur, na wypadek, gdyby się dowiedziała, że trwoni na „zbytki” pieniądze. W istocie jednak dzieci jego były nie mniej spragnione słodczy i owoców, niż oberwańcy, spotkani na ulicy. Mimo, że jadły do syta, dostawały za mało cukru, wapna i surowizny. Toteż wszystkie, zwłaszcza w wieku dojrzewania, szczególnie dziewczęta jadły tynek ze ścian, grafit z ołówków, wpadały do kuchni, aby pogryźć kaczany kapusty, albo surową marchew, co uważała pani Konstancja za szczyt zboczenia smakowego. Tępiła to „dziwactwo” tę „przekorę” i karała surowo to, co było przejawem naturalnej potrzeby organizmu. d.c.n.

MIROSLAW ŻULAWSKI

OPOWIEŚĆ SZYDERCZA

W sierpniu ziemia wchodzi w znak Panny. Po obu stronach ekliptyki jarzy się zodiak w przejrzystej półkuli szkła. Środkiem płynie mleczna droga, jak rzeka. Biała bilardowa kula toczy się miękko po czarnym suknie. Odśłania w obrotach pulsujące mdłym światłem zarysy. Ameryka—Azja—Europa—U kresu waruje karambol przy miękkich bantach wszechświata.

Mgliste ćmienienie mlecznej drogi migocze co nocy nad miastem. Z dna ulic zasnutych pożogą rozjarza się w górce, za podniesieniem głowy matowe szkliwo. Szyby w oknach od podwórza bledną wtedy, jak anemiczne panny. W pokojach od frontu nie ma nic w świetle lamp. Tam Szczepan Kinczel siedzi przy stole, z podbródkiem w dłoniach. Naprzeciw niego Elżbieta. Nie mówią już o niczym, nie ma o czym mówić, wszystko zostało powiedziane. Rozchodzą się—to wszystko. Gdyby to było w pokoju od podwórza, przy zgaszonej lampie, to może..... Ale tu nie ma szyb zmywanych mętnym mlekiem. Więc rozchodzą się.

Mateusz Glonik, pół-leżąc w strapieniu na tapczanie, spytał ich przed chwilą: „O co”?—Odpowiedzieli równocześnie: „O wszystko”.

Mateusz Glonik ułożył wygodnie nogi w nieczyszczonym obuwiu na poduszce z haftem. Powiedział: „To nie wymaga zresztą wyjaśnień. Wystarczy znajomość historii Kinczelów i de Loges’ów... I trochę historii świata...” dodał po namyśle. Obserwował małżonków z niejaką złośliwością. „Skąd wyście się wzięli”? zagadnął. Szczepan wrzusił z niechęcią ramionami. Elżbieta nie poruszyła się nawet. W czarnej sukni, z włosami, jak żyto w księżycu, konstatował Mateusz.

Bardzo brzydki, zbudowany, jak kaczor, z wiecznym czyrakiem na karku—lubił kobiety duże i ładne, olśniewające blondynki o długich nogach

biodrach tuż pod piersiami. Był w tym wzniosły ekshibicjonizm, kiedy pokazywał się publicznie w towarzystwie pięknych pań, niczym francuski buldog. Elżbieta porywała go rasą, twardym profilem i karkiem, jak lodyga. „Dać jej frygijską czapkę, a byłaby Pallas Atena”, myślał.

Podobnie myślał jej dziadek, kiedy widział Elżbietę w ósmym roku jej życia z kirasjerskim hełmem na grzywie pysznych włosów, dowodzącą w bitwie ołowianych żołnierzy. Rodowy dywan de Loges'ów był poligonem, na którym małe armatki Elżbiety rozstrzeliwały bataliony ołowianych Francuzów, Prusaków i Rosjan. Wyszamerowani de Loges'owie z portretów spoglądali zimno, wężąc proch. Elżbieta z wypiekami na twarzy rychtowała działo na szarżujący szwadron szaserów gwardii.

To było w dniu zawieszenia broni. Paryż szalał od jedenastej w południe. Generał Victor Cesar de Loges był wzruszony. Od czterech lat z górą dowodził w Szampanii, Flandrii, Wogezach, w Salonikach nawet. W czasie, gdy wnuczka gromiła na wielkim dywanie de Loges'ów pomieszane wojska Europy, — generał Victor Cesar de Loges, w pierwszym dniu pokoju i w ostatnim dniu wojny czynił przegląd de Loges'ów.

Ci ze ścian i gipsowych popiersi byli na swoich miejscach, począwszy od tego, który zginął pod Fontenay, zapewne od owej salwy, której pierwszeństwo ustapiono Anglikom. Trzech de Loges'ów zginęło bez przekonania pod Napoleonem. Rodzina była zawsze legitymistycznych przekonań. Na klindze szpady, którą pod Waterloo obnażył najstarszy z de Loges'ów by osłonić odwrót cesarza, było wypisane złoconymi literami: „Za króla i honor”.

Ojciec Victora Cesara wrócił bez nogi spod Solferino, a on sam, Victor Cesar de Loges walczył w 1870-tym pod Gravelotte, gdzie stracił brata w ataku na bawarską baterię. Z kampanii algierskiej wyniósł stopień pułkownika i bliźnę od włóczni. Pradziadowie i dziadowie z bliźnami od wszystkich broni świata pokrywali się na portretach szramami pęknięć olejnej farby. To była przeszłość, tłusto pociągnięta werniksem, obojętnie rozwieszona po ścianach, jedzona przez mole i otrzepywana z kurzu w wigilie świąt.

Teraźniejszość tkwiła w gablotkach z ziemią poboju wielkiej wojny, w potrzaskanych błękitnych hełmach i spłowiałych fotografiach. Generał de Loges miał trzech synów. Najstarszy z nich René de Loges był pułkownikiem armii francuskiej i w tej chwili odbywał zapewne tryumfalny wjazd do Strassburga. Młodszy, Franciszek, był oficerem armii polskiej, o ile taka gdzieś była poza Francją. Ten poszedł za głosem krwi matki, która była Polką. Tonął gdzieś w zawierusze, która szalała nad Wisłą, wierny swemu losowi. Najmłodszy Armand zginął, jak prawdziwemu Francuzowi przystało, pod Verdun, w ataku, którym Nivelle odebrał fort Deaumont. Rodzina mówiła o nim przyciszonym głosem, z czcią, należną bohaterowi ginącemu w ataku na bagnety. Generał Victor de Loges chował w sercu żal do losu, jak niezasłużoną krzywdę. On jeden wiedział, że kapitan Armand de Loges zginął od zbyt krótkiego pocisku artylerii francuskiej, zagrzebany w swej dziurze, na minutę przed atakiem, do którego Marokańczycy poszli bez niego.

Nad wełnianym pobojuwiskiem snuł się ostry dym armat Elżbiety. Nowa szarża ołowianych pułków została rozbita. Generał Victor Cesar de Loges stał po kolana w armatnim dymie i hołubił gorzkie myśli. Wyrwały go z nich krzyki wnuczki. Elżbieta szła do ataku z prawdziwą szablą de Loges'ów w wyciągniętej dłoni, z rozwianą grzywą włosów pod kitą kirasjerskiego hełmu. Krzyczała po polsku ostrym głosem: „Bij skurwysyna, bij skurwysyna!” Generał zbyt mało znał język swej nieboszczki żony. Zaniepokoił się jednak. „Que ce qu'elle a donc. Est-ce possible, qu'elle dise quelque chose d'indécent”? i zaraz po tym: „Le jour de l'armistice même! Quand les vaillantes et glorieuses armées passent sous l'Arc de Triomphe! Non. Ce n'est pas possible. Je me trompe évidem-

ment". I zwrócił się znów ku gąbłotkom, jakby sobie przypominał, że jest jeszcze do odcelebrowania wspomnienie po dwu wnukach, poległych nad Marną. Byli to młodzi chłopcy, z białymi kitkami szkoły Saint Cyr nad zawałciakimi kepi. Podnosili małą Elżbietę w górę i wołali: „O lala”. Ona oczywiście tego nie pamiętała. Pozostały w gąbłotce dwie pary białych rękawiczek, które włożyli w godzinę ataku, zgodnie z tradycją Saint Cyr. Od dziesięciu pokoleń rzemiosłem de Loges'ów była wojna.

Wkrótce po tym dziadek umarł. Do samego końca był niespokojny o Francję. Młode pokolenie de Loges'ów leżało w gąbłotkach. Pozostała Elżbieta, a ona nie była Francuską. Generał konając, nie miał komu powierzyć bojowej szpady de Loges'ów. René okupował Nadrenię. Franciszek bił się o Lwów. Z konieczności powierzył ją Elżbiecie, odwrócił się do ściany i umarł. Drogę jego pogrzebu Francja wymościła mozaiką wszystkich swych uniformów. Generał odjechał na lawecie, zmartwiony do ostatka. Elżbietę zabrała matka do Berlina.

Matka Elżbiety była Niemką i może dlatego cierpiała tak bardzo z powodu rozwodu z mężem. Zresztą wszystkie kobiety noszące po mężach nazwisko de Loges dodawały doń przedź czy później określenie „rozwódka”. Generał Victor Cesare de Loges rozwiódł się ze swą żoną Polką po zawarciu sojuszu francusko-rosyjskiego. Pułkownik René de Loges nie żył ze swą żoną Angielką od incydentu komendanta Marchand w Faszodzie. Poprzez kanał La Manche łączyła ich tylko dumna żałoba po obu synach z Saint Cyr. Ex-żona Renego, córka admirała Królewskiej Floty miała za sobą rodzinne ślubowania mglistej zemsty, które obwozili po oceanach jej bracia w niezłomnej nadziei, że natkną się kiedyś przeciw na piechurów pułkownika René. Co do Armanda, ten spoczywał w mauzoleum Deaumont. Zresztą nie był żonaty. Wziął rozwód tylko z życiem.

Franciszek de Loges rozszedł się z żoną Barbarą z Legotków z powodu pokoju brzeskiego. Kochali się zresztą bardzo i cierpieli złorzecząc historii. Barbara zamieszkała w Berlinie u ojca, Wilhelma von Legotke, generał-majora armii cesarskiej. Kiedy generał-major przegrał wojnę, zabrała do siebie Elżbietę, którą dzień zawieszenia broni zastał u dziadka w Paryżu. Zrazu przeraziła ją polskość dziecka. Elżbieta nie umiała się nawet przeżegnać po niemiecku. Po dwu latach zgermanizowała się płytko, ale niemal zupełnie. Wtedy ojciec upomniał się o swoje prawa, a stryj René, który właśnie został mianowany generałem, poparł roszczenie brata świeżym autorytetem zwycięzcy. Rodzina von Legotków opierała się krótko polsko-francuskiej koalicji. Sprawa obniżenia sumy odszkodowań, jakie Niemcy winni byli Francji wpłynęła na jej ustępliwość. Wuj Elżbiety, Oberst von Legotke Artur, odwiózł małą do Warszawy. Rodzina von Legotków zagrzebała płytko urazy i robiła dobrą minę do kiepskiej gry, naśladowując swą ojczyznę. Były tam stare porachunki z de Loges'ami, które od biedy możnaby uznać za wyrównane. Generał-major rozbił na czele swej baterii batalion Victora Cesara pod Gravelotte w 1870-ym. Pułkownik René de Loges odwzajemnił się von Legotkom zniesieniem pułku obersta Artura na wzgórzach Morthomme w 1916-ym. Legotkowie, sztywni junkrzy w monoklach nie chcieli uznać remisu, do czego syty rewanż skłaniał de Loges'ów. Wierzyli w przyszłość i nową wojnę. Ona od dziesięciu pokoleń była rzemiosłem von Legotków.

Generał René de Loges, oberst von Legotke Artur i podpułkownik Franciszek de Loges spotkali się w Warszawie celem wyrównania niesprawiedliwości traktatu wersalskiego. Chodziło o Elżbietę. Oberst Artur wskazał na ciężkie doświadczenia rodziny von Legotke. On sam był już za stary, aby mieć dzieci, zresztą rozwiódł się z żoną. Generał-major Wilhelm von Legotke stał nad grobem, przybity klęską. Brat obersta zginął nad Jeziorami Pruskimi. Syn obersta i dwaj bratankowie nie wchodzili więcej w rachubę. Tamci dwaj polegli we Flandrii. Ten znów

wrócił z urazem szrapnelowym z nad Sommy i włókł życie półdioty w sanatorium pod Monachium. Pozostawała Elżbieta, choć nie nosiła nazwiska von Legotke. Oberstowi zwilgotniał monokl.

Generał René de Loges rozumiał położenie von Legotków lepiej, niż Clemenceau sytuację ich ojczyzny. Powołał się na ostatnią wolę dziadka Elżbiety i pamięć swych synów, których białe rękawiczki wraz z gablotkami Victora Cesara miała odziedziczyć mała Polka. Mówił ze smutkiem o półtora milonie poległych Francuzów. Podpułkownik Franciszek de Loges myślał o swej berlińskiej żonie, którą kochał coraz bardziej. Elżbieta przypominała mu tamtą. Przy tym miał tak mało czasu. Właśnie przemundurowywał armię. Zgodził się łatwo, zachowując godność. Elżbietę rozdzielono między Warszawę, Paryż i Berlin, jak amerykańskie dary. Miała odtąd kursować, regularnie jak międzynarodowy ekspres między trzema stolicami, niby młoda krew, transfuzowana w wykrwawioną Europę.

Odtąd panna Elżbieta przebiegała, jak zjawisko, długie korytarze Szefostwa Sztabu na Placu Marszałka, Fräulein Elisabeth odbierała olbrzymiejące defilady Unter den Linden, a małą mademoiselle Elise la generale salutowali z szerokim uśmiechem senegalscy strzelcy na dziedzińcu Palais des Invalides. Młodzi podporucznicy zakochiwali się w niej rocznikami, kładąc dłonie na mundurach feldgrau, bleu horizon i khaki, pod którymi biły serca. Armie trzech państw, kochane przez Elżbietę, odsłaniały się jej ufnie, jak zęby w uśmiechu.

W roku 1939, gdy Elżbieta, jak kometa, ogonem swej sukni zamiotała warszawski karnawał, poznała Szczepana Kinczela. Powiedziano jej, że kiedyś, w dzieciństwie chowali się razem. Zrazu wydał się jej mało sympatyczny, później śmieszny, w końcu pokochała go. Kiedy chcieli się pobrać, natrafili na opór trzech armii, sprzymierzonych po raz pierwszy w historii, dla obrony Elżbiety. W parę miesięcy później wybuchła wojna.

Wtedy Elżbieta długo myślała o swych trzech armiach, swych trzech rodzinach. Ojciec, generał broni Franciszek de Loges, dowodził operacjami jednej z armii na północy. Stryj, generał René de Loges ostrożnie manewrował w zagłębiu Saary. Wuj, generał-porucznik von Legotke Artur nacierał od strony Słowacji. Obaj dziadkowie, Victor Cesar i Wilhelm pogodzili się zapewne od dawna poprzez swe metalowe trumny. Cały dzień prześladowała Elżbietę wizja bujnego ojca o słowiańskim uśmiechu babki, wuja, wysnurowanego w mundurze feldgrau, z grubym czerwonym karkiem, wylewającym się z kołnierza, jak ciasto z dzieży i stryja, szczupłego w swym długim płaszczu, z uniesioną nieco przez szpadę połą, wzbudzającego zaufanie niby uczony, mimo teatralnego kepi o czerwonym denku i złotych liściach dębu. Długo chodziła wokół gablotek, które od dnia pełnoletności miała u siebie, patrzyła na odłamki pocisków wśród grudek zeszczerłej ziemi, pocięte hełmy w rdzy, na wojenne muzeum de Loges'ów i von Legotków, wzbogacone o siwe maciejówki i beliniackie czaka. Dziadek Victor Cesar z portretu i dziadek Wilhelm z portretu patrzyli sobie w oczy. Usłyszała na ulicy śpiew i poczuła narodowość, jak dreszcz.

Pierwsze naloty, huk artylerii przeciwlotniczej i zapach wojny wzburzyły w niej krew dwudziestu pokoleń wojowników, licząc von Legotków i de Loges'ów osobno. Manifestowała na ulicach 3-go września. Chciała zaciągnąć się do służby pomocniczej w armii. Rozgorączkowana, dostała kataru i musiała położyć się do łóżka. Szczepan odwiedził ją w dniu, w którym Niemcy podeszli pod Warszawę. Elżbieta była w rozpacz. Z nosa jej się lało. Znajome i przyjaciółki woziły autami rannych, pod gradem bomb. W tym wszystkim nie przyszło jej na myśl, dlaczego Szczepan nie zaciągnął się. To było takie proste.

*

*

*

Pewnego dnia w Przemyślu, mieście biskupim, panna Maria Pinelska przesadziła w dewocji. Urodziła dziecko płci męskiej, którego ojcem był ksiądz proboszcz Józef Kinczel. Dobry duszpasterz miał na szczęście tyle jezuityzmu, ile trzeba, by wystawić metrykę na zmyślonego ojca o nazwisku Kinczel. Bo ksiądz odczuwał pewne ambicje ojcowskie. Dziecko wychowano za protekcją księdza proboszcza w biskupim zakładzie wychowawczym. Ponieważ przyszło na świat w drugi dzień świąt zaraz po Narodzeniu Bożym, na imię dano mu Szczepan. W ciągu piętnastu lat proboszcz został kolejno prałatem, sufraganem, biskupem. Po wojnie papież powołał go do Rzymu. W jakiś czas po tym kardynał papieski ks. Józef Kinczel przypomniał sobie syna i przedsięwziął dyskretny wywiad. Chłopca nie było w biskupim zakładzie. Pewnego dnia doszedł do przekonania, że musiał mieć rodziców, a conajmniej matkę. Powiedziano mu, że umarła. Zapragnął płakać na jej grobie. Wydalono go z zakładu za krnąbrność. Nie odnalazł grobu matki, ale dobrzy ludzie pomogli mu odszukać ją samą. Była zakonnicą w klasztorze zamkniętym reguły św. Teresy. Złożyła ślub, że nie skłamię nigdy i chodziła z zesnurowanymi ustami, milcząc. Zagadnięta przez syna, dała upust prawdomówności i potrzebie kobiecego serca. Okazało się wtedy, że naprawdę nazywała się Mariem Pineles i była córką Barucha Pinelesa, rabina cudotwórcy. Szczepan bogatszy o ojca, matkę i dziadka, wyszedł z klasztoru szczęśliwy. Odszukał najpierw dziadka i był u niego lat dwa, rosnąc w znajomość ksiąg żydowskich. Rabin, który był mędrce, rozmawiał z wnukiem po hebrajsku. Wpoił w niego cierpką mądrość Izraela i sztukę kiwania się z cycelem. W czasie wojny 1920-go roku Baruch Pineles zrozumiał, że trzeba by żydostwo zarobiło na polskość. Zgłosił się do dyspozycji armii i został przydzielony do służby religijnej na użytek żołnierzy wyznania możeszowego. Podczas bitwy o Radzymin Baruch ogarnięty został świętym płomieniem Machabeuszów. Chciał śpiewać przechodzącym wojskom hymn bojowy. Nie mógł znaleźć słów, wreszcie coś sobie przypomniał. To była „Bogurodzica”. Ogryzał właśnie ogon śledzia, połknął zbyt duży kęs i udławił się ością. W ogólnym zamieszaniu i uniesieniu po bitwie pochowano go na żołnierskim cmentarzu, pod ramionami wspólnego krzyża, o dwa kroki od ks. Skorupki. To było bardzo smutne.

* * *

Szczepan odwiedzał jakiś czas matkę w ogarniętym jesienią klasztorze. Była przeoryszą i jej ciemna twarz uśmiechała się dobroliwie pod białymi skrzydłami kornetu. W renesansowym łuku krążanku, pod kaskadą ciemniejącego bluszczu mówiła mu słodką mądrość chrześcijaństwa. Szczepan czuł, jak w tę jesień przewiewa mu duszę czerwony wiatr z bluszczu, wędnących liści i gorzkich słów.

Szczepan zlikwidował mienie po dziadku. Dowiedział się wtedy, że ma wuja. Maks Pineles poszedł z bolszewikami. Był redaktorem „Bezbożnika” w Moskwie.

Ks. Kardynał Józef Kinczel przejął od przeoryszy z jesieniąjącego klasztoru wiadomości o Szczepanie. Starzejąc się, uległ czarowi młodych wspomnień. Sprowadził syna do Rzymu.

Szczepan zamieszkał na prawym brzegu Tybru. Watykan stał mu się domem na przeciąg wielu lat. Siadywał z ojcem kardynałem pod pomnikiem Hadriana, wieczorem, kiedy słońce bębniło po kopule Św. Piotra. W zmierzchu: nad Rzymem gęstniała historia. Ks. Józef Kinczel rozpraszał jej mroki. To był jego zawód. Swym nosem jak gasido i błękitną głębią spojrzenia różnił się bardzo od włoskich duchownych, suchych i ciemnych, jak mnisi inkwizycji.

Ks. Kardynał Józef Kinczel umarł, nie zaznawszy szczęścia, by syn powiedział doń „ojcze”. Gdyby choć był mnichem, a nie księdzem świeckim

— Martwił się nieraz, — Szczepan mógłby doń zwracać się tym słowem. On sam doznawał przewrotnej błogości mówiąc do syna: „mój synu”.

Na krótko przed śmiercią, czując bliski swój kres, ks. kardynał zapoznał Szczepana z lordem Johnem Kintchellem. Lord John Kintchell był ojcem księdza Józefa Kinczela, a więc tym samym dziadkiem Szczepana. Ożenił się ze Szwajcarką, córką pastora, miał z nią syna, który został pastorem. Rozwiódł się z żoną po pięciu latach pożycia. Ożenił się po raz drugi z córką grecko-katolickiego księdza, Polką z Kanady. Miał z nią syna, który został księdzem. Rozeszli się po pięciu latach pożycia. Tym księdzem był właśnie ks. Józef Kinczel. Przedstawił lordowi wnuka przy sposobności naukowcy podróży do Londynu. Lord Kintchell nie mówił po polsku, ani włosku a ks. Kinczel nie władał angielskim. Ojciec i syn porozumiewali się po łacinie. Na wieść o wnuku i na jego widok, lord John Kintchell był nieco zakłopotany. „Habeant infantes ecclesiae?” spytał uprzejmie syna.

Sir John Kintchell był profesorem religii Wschodu na uniwersytecie w Oxfordzie. Szczepan po śmierci ojca zamieszkał u niego. Nauczył się po angielsku i pomagał dziadkowi w pracach źródłowych. Gotycki Oxford, zielony, jak nic na świecie, stał za oknem przez parę lat. Szczepan pokochał dziadka bardzo od chwili, kiedy odkrył, że starzec modli się pokryjomu do wszystkich idoli, jakie nagromadził w ciągu pięćdziesięciu lat naukowej działalności. Ze ścian uśmiechał się zimno Budda, wieloręki Sziwa zonglował dłońmi w zielonym cieniu, a smutny Lao-Tse zółknął w pyłe. Sir John Kintchell nadchodził ze zmrokiem. Usta poruszały mu się jak w modlitwie. Pewnego dnia znaleziono go z twarzą wtuloną w stopy Wisznu. Nie żył.

Szczepan dołączył idole dziadka do watykańskich ksiąg i obrazów ojca, wetknął w skrzynię resztki dziwacznych filiałów Barucha Pinelesa i pojechał do Szwajcarii.

Stryj Kalwin Kintschell mieszkał w białym domku nad Jeziorem Genewskim. Był działaczem Ligi Narodów i największym w Europie pacyfistą. Przyjął bratanka z prostotą pierwszych chrześcijan, łowiąc ryby w jeziorze. W wiaderku trzepotały się srebrne brzozy i złote mareny. Puszka z przynętą nakryta była biblią. Szczepan poddawał się ciszy i spokojowi. Szczepan w czarnym ubraniu, przyszczały na brodzie i czole, jak kleryk.

Pastor Kalwin Kintschell dokończył dzieła, które rozpoczął jego przyrodni brat w galicyjskim miasteczku. Do księżego plemnika i jajeczka żydowskiej dewotki dorzucano latami to zawistny monoteizm Izraela, to zmysłowy artyzm katolicyzmu, to harmonijny intelektualizm Wschodu. Pastor Kintschell dołożył surowy purytyzizm i męską wzgardę kobiet, wiodącą jak ścieżka do Sodomy. Szczepan, który wraz z ojcem, kardynałem, po katolicku wzruszał się pięknem kobiecych ramion na wybrzeżu Tybru — nauczył się z kolei protestanckiego lęku przed kobietą i przyjemności zanurzania dłoni w czupryny chłopców z chóru. Jego stryj pastor łączył w sobie płomienny pacyfizm z absolutnym brakiem smaku w rzeczach sztuki.

* * *

Obrzydliwa secesja stylu, w jakim zbudowano Pałac Ligi Narodów była największym zwycięstwem, jakie protestancki pacyfizm odniósł nad wojowniczą Europą. Pastor Kalwin Kintschell był za nie osobiście odpowiedzialny. A Szczepan łowił ryby w jeziorze, z Alpami nad głową, redagował pokojowe manifesty i czytał biblię. Stryj promieniował wokół siebie pokój człowieczy Ligi Narodów i niepokój boży kalwinizmu...

Mateusz Glonik poruszył się nagle na tapczanie wśród poduszek z haftami. Nie był pewny czy zdrzemnął się naprawdę. Elżbieta cerowała skarpetki. Cień Szczepana chwiał się na ścianie. Jakiz on był nierzeczywisty, ten Szczepan. Być może zawdzięczał swe istnienie tylko światłu

słońca, jak jego cień blaskowi lampy. W dodatku miewał sny. Czy cienie mają sny? — Mateusz trzeźwił. Szczepan zwierzył był mu się poważnie, jak z całego życia, ze snu, jaki miał w dniu, w którym bolszewicy przeszli granicę. Śniło mu się wtedy, bardzo wyraziście, że ogarnęli go w Przemyśle, nad którym szalała jesień. Został uznany za specja. Był w Moskwie redaktorem „Bezbożnika” razem z Maksem Pinelesem. Mateusz radził mu by sen włączył w swe życie, jako jeszcze jedną rzeczywistość. Bez tego snu istnienie Szczepana nie miałoby pełnego sensu. Od tego czasu Mateusz był pewien, że Szczepan powie któregoś dnia: „kiedy byłem redaktorem „Bezbożnika” — jak mawiał: „kiedy służyłem Papieżowi do mszy”... Teraz siedział pochylony nad stołem. Krawat zwisał mu u szyi jak strzyżek.

Elżbieta. Ta była właściwie za dobra dla tego trutnia. Szczepan w pożyciu był cierpki, jak rozgryziony pluskwiak. Elżbieta patrzyła nań czasem pociemniałymi od ciepła oczyma. Był gorzki, ale nie był mdły. Znajdowała dość ochoty by zachęcać go do pisania. Szczepan pisał, odczytywał wieczorem wymęczone arkusze, szukając w jej oczach potwierdzenia niepotrzebności swych spraw. Elżbieta miała oczy zamknięte. Za oknami stała wojna.

Mateusz nie miał nigdy pretensji, by z tym wszystkim byli rzeczywistymi ludźmi, z ciał i kości, jak on. Dla niego istnieli raczej jako pojęcia. Właściwie nie mieli nigdy rodziców, jakże więc mogli być. Urodzili się odrazu jako zagęszczenia idei. Ale jak można o to się rozwozić? — Wskazywali mu w odpowiedzi swoją przeszłość, aż od początku świata. Rozdzielało ich wszystko. Z uporem wykazywali, że jedyną ich wspólnotą były rozwozy przodków. Mateusz daremnie podejmował walkę przeciw znowie zmarłych. Szczepan i Elżbieta nasiąkali obcością w swych pokojach. Umarli czuli się w nich, jak u siebie, wśród gablotek ze szcztakami heroizmu, pragnącego zbawić ludzkość — między księgami, obrazami i bóstwami, żalonymi odpryskami myśli, usiłującej odkupić Boga.

W głębi ducha Szczepan i Elżbieta oskarżali się wzajemnie o rzeczywistość. Z wielkich i małych spraw dnia i nocy kuli dowody swych win. Pokolenie Elżbiety pracowało od wieków nad zniszczeniem wszystkiego, co tworzyło pokolenie Szczepana. Było winne temu, że Szczepan napróżno pisał swą mądrość wśród bibliotecznych półek, od których wiał śmiercią. Ta sama krew co wypełniała serce Elżbiety, wylewała się ofiarnie po to, by zaprzeczyc wartości myśli, wylętych w mózgach Kinczelów i Pinelesów, krzyżowanych teraz na wszystkich rozdrożach świata.

Elżbieta obarczała Szczepana odpowiedzialnością za unicestwienie się jej armii. Ci wąтли cywile w ciemnych ubiorach byli winni temu, że najpiękniejsze wojska świata wyniszczaly się na jej oczach. To oni wykuwali niebezpieczne ostrza idei, na których umierały, krwawiąc, pokolenia de Loges'ów i von Legotków, walczące o nie swoje sprawy. Elżbieta zaczynała rozumieć, że stan pokoju jest biosferą, w której żyją armie. Wojna jest śmiercią wojska, zaczęta przerostem, jak wodną puchliną. Z przymkniętymi powiekami, słuchając Szczepanowego czytania, Elżbieta odbierała defiladę cieni. Szły zielono-bronzowe pułki piechoty w grzybiastych hełmach. Podhalańczycy w kapeluszach i pelerynach, jak hiszpańscy grandowie. Kolorowe szwadrony kawalerii tańczyły po bruku pod dźwięk sygnałowych trąb. Szła armia, którą kochała za jej junactwo, kawalerski szyk uniformów i krzywe szable ułanów. Po tym cień Łuku Tryumfalnego przysłał bruk i Elżbieta odbierała defiladę innych wojsk. Szarobłękitne czworoboki piechoty płyną szybkimi chlustami jak przyplyw południowego morza. Granatowi strzelcy alpejscy w beretach, jak panienki z pensji. — Brudnoziemista piechota forteczna, czarne mundury Szkoły Politechnicznej, pułki kolonialne w uniformach khaki i czerwonych fezach i biała, czerwona, niebieska szarża spahisów. Przeszła armia, którą kochała za piękno uniformów, wdzięk kepi z lekka przesuniętego na ucho i szyderczą brawurę.

Po tym szary padół Unter den Linden. Po asfalcie ciężko chrzęszcząc kroki piechoty. Idzie wojsko szare jak szczury, masywne jak z żelaza. Strzelcy górscy z szarotkami nad uchem, dorodne, bawarskie sosny. Motory, motory, które szumią a czołgi mlaskają asfalt, jak przysmak. Ciężkie hełmy szeregami, jak kapusta w zadeszczonym polu. Elżbieta kocha ich za brutalną siłę, za ponurą powagę średniowiecza na twarzach w cieniu stalowych hełmów, za metafizyczną wiarę krzyżowców.

...Cicho — Głos Szczepana dolatuje skądys. „Gdzie są moje armie”, myśli Elżbieta. Po tym niepokoje się czy w gablotkach nie zbraknie miejsc.

Mateusz Głownik był zrezygnowany. Nie chciało mu się jeszcze iść do domu. Rodzinę miał, a jakże, o wiele bardziej rzeczywistą niż Szczepan i Elżbieta. Myślał o niej z odrazą, a co gorsza, myślał nieustannie. On, Mateusz, który żałował, że nie urodził się w 1840-tym, a nie umarł w 1913-ym. Wtedy zapelniano białe plamy na mapach, odbywano pierwsze wyjście na szczyty Alp i Tatr, garnięto się do cywilizacji, a nie uciekano przed nią. Mateusz pisał wiersze do Allaina Gerbault, przedstawiciela pokolenia zwyciężonego przez cywilizację, apostoła ucieczki. No, trudno, trzeba już było iść. Wstał.

Szczepan powiedział jeszcze, jakby chciał przekonać sam siebie: „sam widzisz, z mlekiem matek wyssaliśmy całkiem odmienne dusze. Elżbieta i ja nie mamy nic wspólnego. Nic”.

Mateusz przeciągał pożegnanie. Okropne były te powroty do rodziny. Ojciec i matka z godnością lypali ślepiami, moralni mieszczenie. Siostra — była jeszcze dziewczęcą ta kretynka — zżerała mu przydziałowy chleb. W dodatku przyjęto nową służącą, na szczęście młodą, jak zawsze. Mateusz tracił zwykle parę tygodni, nim dziewczyna godziła się przychodzić do niego w nocy. Mateusz nie wiedział, że na tym polu spotykał się z ojcem. Ten też miał swoją ucieczkę od mieszczaństwa.

Już w przedpokojach, gdy oboje go wyprowadzali. poczał bredzić. „Wiecie, znów mamy nową służącą”. Przypomniało mu się coś: „Ona jest właściwie waszą krewną, czy powinowatą”.

Elżbieta zaśmiała się wymuszenie, jak zawsze, gdy Mateusz plół. „Tak, tak — brnął ten dureń — waszą mleczną siostrą. Jej matka była u nas. Mówiła mi, że była waszą mamką przez cały rok, kiedy chowaliście się razem. Tęga baba, zdrowa wieśniaczka, mówię wam, jak rzepa w polu. Czekać. Powiedziała że przyjdzie do was w niedzielę”.

Mateusz spostrzegł, biorąc kapelusz, jak dłonie Szczepana i Elżbiety złączyły się nagle zmysłowo. Zrozumiał od razu, jakby w niego piorun trzasł. Parsknął im w twarz krótkim śmiechem, w którym pod szyderstwem drgało szczęście. Mówił przez uchylone już drzwi: „Wiecie, ona mówi, że pokarm zwykle miała tylko w jednej piersi. Ale wystarczyło dla was obojga”. Szczepan zamknął mu drzwi przed nosem.

Mateusz szedł ulicą. O tej jednej piersi musiał dodać od siebie. Nie wiadomo co ci maniacy mogliby jeszcze wymyśleć, gdyby im pozostawić jakąkolwiek możliwość robienia różnic. Mateusz dał im mimo woli matkę, bardziej prawdziwą i więcej wartą od rodzin, które mieli, lub zdawało im się że mieli. „Jak oni to dziecko wychowają — zastanawiał się — Bo z tego będzie dziecko” parsknął.

Po raz pierwszy od dawna nie myślał o swej rodzinie będąc sam. Noc była wielka. Mateusz stał na środku pustej jezdni. Popatrzył w niebo, ku mlecznej drodze jasnej nad miastem, jakby spodziewał się dojrzeć na niej Szczepana i Elżbietę, trzymających się za ręce.



CZARNA CHWILA

Spod cierpień skrytych i ciągłych
jak spod przerażenia wysuwam spojrzenie
a uśmiech nienaturalny i wątyły
pogłębia niepokój i cienie.

Jak gdyby ktoś kto zapomniał kochać
i kto się nie upił ani wiatrem ani wódką
lecz miał serce z kolorowych kokard
i przyjaźń z trawą i smutkiem.

Jak gdyby ktoś kto, się pyta wiecznie — czemu?
czemu przestrzeń układa się w lustro?
stoje, a mój świat jest nie mój
bo nad głową namiot rozbiła pustka.

HALINA MARIA DĄBROWOLSKA

O B O Z I E

W dużej odległości od obozu w Oświęcimiu zaczęto budować wysoki nasyp, pod kolejkę. Jaki ona miała mieć kierunek i cel, nikt nie wiedział. Krematorium w Brzezinkach obok było jedno i nie sądzono wówczas, że aż wagonami trzeba będzie tam wieźć zagazowane trupy.

Tymczasem w Oświęcimiu fabryka śmierci zajmowała nieduży, biały domek, który mało kogo straszyl.

Numer 84004, w zwykłym życiu Henryk, zaraz po przywiezieniu z transportem, został przydzielony do wynoszenia trupów. Nie wiedział, że Niemcy prześladowają tych, którzy mają uniwersyteckie studia, i przyznał się, że jest lekarzem. Dlatego dano mu tę pracę.

W obozie zaraz pierwszego dnia za upuszczenie łopaty wybito mu przednie zęby. Zaskowytał z bólu i zemdlał. Wtedy dozorca kopnął go w nerki. To nowe cierpienie go obudziło. Tak zwykle oprawcy drugą torturą zagluszali pierwszą.

Rozbierając się wieczorem, Henryk znalazł za koszulą jeden ze swoich zębów. Pomyślał, czy by miała jego ukochana jeszcze smak w ich pocałunkach, dotykając pustej jamy zamiast jego pełnych warg.

Następnego dnia Henryk dostał pracę w szpitalu. Lekarze Polacy, Francuzi, wszyscy nie Niemcy — brani byli na sanitariuszy. Felczerzy germańscy, żołnierze, często nie mający pojęcia o medycynie, leczyli więźniów i nawet robili operacje.

Henryk oprócz mycia podłóg w szpitalu, co wieczór dodatkowo, po apelu dźwigał zmarłych. Dziennie wówczas w Oświęcimiu umierało koło sześciuset ludzi. Byli to zabici przy pracy, ci, co padli z wyczerpania, głównie zgładzeni zastrzykami fenolu.

Odbывało się to tak: Zwykle lekarz, Niemiec, w asyście przebiegał salę chorych, a później baraki więźniów. Wskazywał na więźnia bez uprzedniego badania, na oko. Komendant brał w rękę kartę choroby i odrzucał, ktoś inny przykładł pieczęć, a Kapo na piersiach skazanego pisał numer, co oznaczało śmierć.

Działo się to błyskawicznie.

Nim chory się opamiętał — stał już w szeregu, każdy ze skazanych się rozbierał. Wszyscy na jedno miejsce musieli składać koszulę, na inne buty, aby w porządku. To było ważne, nie życie ludzkie. Ci, z numerami na piersiach w pośpiechu wchodzili do pokoju. Pod oknem stał biały fotel jak u dentysty. Ściany były bielone, zwyczajne, drzwi malowane na brązowo. Izba nie różniła się niczym od innych izb lekarskich, mimo że tyle tysięcy odchodziło stąd już tylko w grób.

Człowiek w białym kitlu chwycił ramię, najobojętniej, nie spojrzawszy nawet w twarz tego, kogo przecież *zabijał*. Robił zastrzyk machinalnie, szybko, naglił do pośpiechu. Nudziła go ta masowa produkcja nieboszczyków. Do więźniów w obozie odnosił się jak do pluskw, które należy tępić.

Skazańcy do ostatniej chwili nie zdawali sobie sprawy, co się z nimi dzieje. Mieli nadzieję, że to może nowy zabieg przeciw epidemii. Niczemu się nie sprzeciwiali. Czasem tylko młode kobiety czepiały się drzwi, krzyczały. Trzeba było je bić i odrywać przemocą. To zajmowało czas innym, to był nietakt i złe wychowanie. Czemu jak kokosze uciekają spod noża i czynią zgiełk?

Nie zda się to już na nic. Nic nie pomoże. Jeżeli zastrzyk fenolu otrzymał lekarz lub inny ktoś wiedzący, że zostaje uśmiercony, odchodził z całym spokojem, ręką czy uśmiechem pozdrowiał żywych, dodawał im odwagi.

Po zastrzyku ludzie mieli jeszcze tyle siły, żeby przejść mały korytarzyk do następnych drzwi. Z korytarza wychodziło na podwórze okno. Z niego to mogli widzieć śnieg, trawę i przestrzeń niebieską.

Każdy idący już ze swoją śmiercią w sobie, spoglądał chociaż na mgnienie sekundy — na chmury lub błękit. Jakby brał na zapas w płuca, w duszę — niebo.

Ale i tu więźniów pchano, żeby szli szybko i ociąganiem swojej ostatniej minuty nie psuli organizacji pracy.

Poza korytarzem był mały pokoik, znowu jakby nigdy nic, tylko leżało tam na ziemi wielu martwych ludzi. Wchodzący nie mogli się już cofnąć i nie mieli sił, bo od zastrzyku do śmierci zostawało im tylko tyle czasu, co do przejścia przez korytarz. Padali zaraz następną warstwą na umarłych.

O zmroku przyjeżdżała ciężarowa platforma, Henryk i Jacek brali trupy. Jeden chwycił ciało za ramiona, drugi za nogi, rozhuśtywali je w powietrzu dlatego, by było lżejsze, i rzucali na wóz. Kilkaset zwłok co dzień...

Dozorcy Niemcy pilnowali, żeby praca szła jak najprędzej z mechaniczną sprawnością.

Ten wieczór był wietrzny i zupełnie ciemny. Znudzony Kapo się odwrócił, na acie leżał duży stos zwłok, przygotowanych do wywiezienia. Jacek z Henrykiem dorzucali wciąż nowych.

Nagle ze spiętrzonej masy ciał na platformie wozu dzwignęło się jakieś białe widmo. Nagi człowiek, widać nie zabity całkowicie, ocknął się i zrozumiał, gdzie jest. Był młody, ciemny, jego budowa ciała tak przypominała Henryka, że zobaczył jakby swego sobowtóra.

Ten nagi zsunął się bezszelestnie na ziemię i obejrzał na żywych. W wykrzywionych przerażeniem ustach nie było też zębów.

Przed więźniami rozciągał się plac pusty. W każdej chwili dozorca mógł się obejrzeć. Nie było gdzie się skryć. Niedaleko rozlewała się czarna woda, zamarła sadzawka. Henryk usłyszał plusk. Więzień widać tam się skrył.

Niemiec zapytał, co wpadło do wody?

— Kamień — mruknął Henryk i zaczął hałasować, a żeby odwrócić uwagę Kapo od trupa, który chodzi.

Wóz z ciałami już był załadowany i odjechał, gdy gromadka sanitariuszy i ich eskorta mijala ciemną wodę.

Henryk spojrział ukradkiem: spomiędzy fal majaczyło coś, jak wielka biała ryba. Znowu doznał wstrząsu, jakby siebie samego zobaczył, tak zawieszzonego w cieczy.

Człowiek ten jeszcze żył. Czy zdoła uciec?

Na drugi dzień Henryk o brzasku przedarł się nad wodę. Nie leżał w niej już nikt. Więc znikł jego sobowtór. Uczuł ulgę. Wtem zobaczył na dalekiej zaporze z drutów nagie, skręcone zwłoki. Teraz to już był na pewno tylko trup, trup tamtego zbiega. Ach nieszczęsny! uniknął jednej śmierci, dosięgła go inna — porażenie prądem.

I Henryk, który co dzień z suchymi powiekami wyrzucał setki trupów, tutaj zapłakał oczami, z których jedno już miał wylupione.

*Oparte na autentycznych materiałach zeznań
więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.*

STANISŁAW ŁEMPICKI

KSIAŻKI I LUDZIE

WSPOMNIENIA Z MINIONYCH LAT

(dokończenie)

Potem przyszedł cały szereg młodszych, z którymi albo tylko krótko współpracowaliśmy, albo spotykaliśmy się z nimi w Ossolineum później, zachodząc tam niemal codziennie z przyzwyczajenia, czy do pracowni na górę. Bo nici serdeczne, nawiązane z Zakładem Narodowym, nie wątleją, nie targają się tak łatwo.

Z tych młodszych następców naszych, przypomina mi się i „spode łba patrzący”, jak bohaterowie homerowi, Tadeusz Głuziński, syn głośnego lekarza-profesora, polonista, potem prawnik, a wtedy wybitny i zawzięty działacz narodowo-demokratyczny, — i powiewny, panienkowaty, nerwowy Juliusz Petry w grubych okularach, wychowanek Stanisława Maykowskiego, piszący wtedy pierwsze swoje wiośniane wiersze, i bardzo ciekawy, o pięknej głowie Stefan Wierzbicki, umysł niepospolity, na którego młodocianym pogrzebie byliśmy wszyscy głęboko wzruszeni, gdy znienacka zmiotła go ciężka choroba.

Spokojnie dumiał sobie nad pudełkami katalogowymi flegmatyczny, okrutnie grubym głosem przemawiający, polonista Jerzy Gorecki, który potem zapadł gdzieś w prowincjonalnych gimnazjach, gdy przeciwnie kuzyn Czapelskiego (i mój) rozhuwany Tadeusz Wołowski, otyły, przystojny, niemal czarujący blondyn wnosił w stare mury werwę, żart i piosenkę. To czemu się później poświęcił. Aktor i pieśniarz urodzony.

Byli i dwaj stryjeczni Sochaniewicze, których nazwiska nie przeszły bez śladu w nauce polskiej, chociaż obaj zmarli dość młodo: wysoki, basem najgłębszym gadający, a na płuca chory Stefan, wybitny uczeń Oswalda Balzera, potem urzędnik Archiwum ziemskiego; i niższy, czarniawy, przedziwnie oczami zawracający Kazimierz, historyk o szerokich zainteresowaniach, pisarz płodny i dobry, człowiek inicjatywy, dusza zacna, był przez lata profesorem gimnazjalnym we Lwowie, w końcu dyrektorem Archiwum Miejskiego w Toruniu.

Śmierć kosiła w początkach naszego stulecia jakoś gęsto wśród młodych Ossolińczyków. Tragicznie zginęli dwaj młodzieńcy, wzorowi stypendyści: niesamowicie nerwowy Leopold

Woroszi chorowity, delikatny, o wrażliwej duszy R a d o m i r V r t e l - W i e r c z y Ń s k i (brat Stefana).

A potem jak przez mgłę widzę w pokojach bibliotecznych jeszcze dalszych: drogiego mi później kolegę i przyjaciela Juliusza Zaleskiego, wybitnego polonistę i autora, profesora gimnazjalnego i wizytatora szkół we Lwowie, człowieka o kryształowym charakterze i szlachetnie bijącym sercu — i drugiego Juliusza Saloniego, młodziutkiego naówczas studenta, o niesłychanym temperamencie prawdziwego Włocha, tylko że z wielką, jasną, słowiańską grzywą; człowieka tysiąca pomysłów, o italskiej zaiste wymowie i gestykulacji; miał wtedy twarz poety spod Ajudahu i grał nadzwyczajnie swoją bujną młodość. Nie zestarzał się i dzisiaj, chociaż przybyło mu lat, dorobku pedagogicznego i dobrze napisanych książek.

A obok nich i za nimi znowu inni: niski, wyprostowany, jakby zawsze zawstydzony Zdzisław Pilawski, i wysoki w brązowych ubraniach Kazimierz Magierowski, i elegancki, o ściągłej, chłodnej twarzy, polonista Władysław Dajewski (późniejszy wizytator); mały blondynek Józef Nartowski, pracujący w Muzeum, i dorodny, o rasowo polskim typie Władysław Sobolewski (jakże mu pięknie było w artyleryjskim mundurze przed tamtą wojną); delikatny, ujmujący wewnętrzną kulturą Tadeusz Remer, i bujny, wszędobylski, rozgadany, skrzący inteligencją i dowcipem młokos, Kazimierz Tyszkowski, z miną panicza, a rzetelnymi aspiracjami na uczonego.

Był to jednak wobec nas starych, w świat już wychodzących, stypendystów i ex-stypendystów, jakby młody drobiazg ossoliński, któremu zostawiliśmy w spadku dalsze ciągi naszych prac, nasze żywe wspomnienia, nasze gorące przywiązanie do narodowej instytucji.

Tyle to już lat temu. Tyle dobra i zła przeszło nad głowami ludzkimi. Dwa wielkie, niszczące huragany dziejowe przewaliły się przez świat.

Rozprószyłaś się droga gromadko ossolińska, ty coś młodymi, szczęśliwymi oczyma patrzyła w ledwo uchylone wrota XX-go stulecia. Rozmiótł cię los na wszystkie strony, niby wiatr liście jesienne. Nawet dalekie, setne echa twego gwaru przepadły już dawno w załomach tych starych, poklasztornych pokojów.

Ale nie przepadł, nie poszedł na marne ów ładunek siły intelektualnej czy moralnej, który włożyliście koledzy, w miarę większych czy mniejszych waszych możliwości — w życie społeczeństwa, nie lwowskiego już tylko, ale polskiego w ogóle. Wiadome są plony pracy wielu z was; a i te drobne i niegłośne siewy, które zapadły w glebę gdzieś w ciszy, zeszyły na pewno jakimś plonem.

W Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich nazwiska wasze widnieją dzisiaj tylko na kartach zapomnianych sprawozdań lub w dodanych do historii rejestrach. Odkrywa się je czasem ze zdziwieniem. Nowi ludzie nie widzą już nieraz twarzy. Nie widzą was w krasie młodości, w warkocie pierwszych rozpędów, jak ja widzę was w tej chwili. Lecz w nawarstwieniu pracy kulturalnej Ossolineum za tych 40 lat naszego wieku jest i wasza, stypendyści pierwszego dziesiątka, niewątpliwa warstewka. Może i nie taka cienka, jakby się wam wydawało... Odkrywam ją nieraz, błędny geolog, i patrzę z wzruszeniem na skamieniałe w niej kwiaty.

* * *

Są w bibliotekach urzędnicy, są młodzi ich pomocnicy, jak niegdyś nasi stypendyści, ale czymże byłaby biblioteka bez woźnych? Woźni biblioteczni, to nie tylko niezmiernej wagi łącznik między księżnicą a biurami, to nie tylko sztygarzy magazynów i maszyniści długiego pociągu, kursującego między wnętrzem biblioteki a dworcami czytelników i pracowni, ale to zarazem najcharakterystyczniejsze nieraz okazy bibliotecznego światka. Bywało tak zwłaszcza dawniej; bo dawniej — tak się nam przynajmniej wydaje — ludzie byli w ogóle mniej znormalizowani, a bardziej zróżnicowani w pewne typy o silnym indywidualnym zabarwieniu.

W Ossolineum za czasów naszej młodości było dwóch woźnych: Stefan Herbut (którego często nazywano Herburtem) i Michał Saturewski. Dwa przepyszne typy jak gdyby „starych sług” z jakiegoś pamiętnika czy komedii. Dwie przeciwne sobie pod każdym względem osobistości, nie lubiące się nawzajem właśnie wskutek odmienności temperamentów i usposobień.

Stefan był z pochodzenia Rusinem, gdzieś z podlowskich stron, wdowcem, ojcem małej córeczki, którą bardzo kochał. Wysoki, rudawy, prawie łysy, z małymi zaczerwienionymi oczkami i okularami na nosie, przypominał szczura bibliotecznego, gdyby taki gatunek istniał. Niewykształcony, na pozór z grubsza ciosany, miał w rzeczywistości wszelkie cechy namiętnego samouka; łaknął czytania i wiedzy, dowiadywania się o wszystkim; książka nie była dla niego martwym przedmiotem, który przynosiło się i odnosiło do magazynu, ale czymś żywym, jak człowiek; wieloletnie przebywanie w atmosferze Ossolineum oddziaływało na jego chłopską duszę, która miała chłopski rozum i chłopską skłonność do filozofowania. Bo Stefan Herbut był w swoim rodzaju filozofem. Miał słabość do stypendystów, których już tylu przewinęło się za jego czasów, lubił ich młodość i wesołość, toteż często wdawał się z nimi w gawędy: o książkach, o historii, o pewnych postaciach, to znowu o zagadnieniach ogólniejszych, po prostu o człowieku i życiu. I wtedy filozofował w właściwy sobie sposób, myśląc powoli, z pewnym wysiłkiem, mówiąc ślamazarnie i po malutku. Zupełnie jak stary, mądry chłop.

Żyjąc z książkami w przyjaźni, chodząc dokoła nich, jak gospodarz koło swego dochowku, brał je sobie do domu i czytał. Nie radził się specjalnie nikogo, lekturę dobierał wedle własnego instynktu, orientując się czy to wedle tytułów, czy wedle nazwisk autorów. Czasem drogowskazem były mu posłyszane strzępy dyskusji, kiedy indziej wybierał ot tak, na oko. Czytał niemal wszystko, kosztując po trochu z każdej dziedziny.

Pamiętam moje zdziwienie, kiedy pewnego razu rozpoczął z nami dyskusję o Nietschem. No, po prostu o Fryderyku Nietschem, którego przekład wychodził wtedy pojedynczymi tomami.

— Ten Nietsche (wymawiał go, jak się pisze „Nie-trze”), to jest proszę pana, nie taki łatwy filozof. Już cały tydzień czytam tego „Zarat-hustrę”, ale dużo tam nie rozumiem... Na przykład... i tu następowały jakieś konkretne pytania, które świadczyły, że z Nietschem sprawa mimo wszystko nie pójdzie. Daleko lepiej wpadały rozmowy historyczne i literackie.

Księżnicę Ossolineum, jej olbrzymie, stutysięczne zasoby, znał Stefan na pamięć, tak samo, jak w pamięci miał całe setki wielocyfrowych numerów. Chodził sobie pomiędzy rzędami piętrowych półek, jak między grzędami warzywnego ogrodu,

wiedząc z góry, dokąd iść po fasolę, po ogórek, czy po dynię. Nie mylił się nigdy, wprawiając nas w podziw w czasie pierwszych naszych rekonesansów w księżnicy; był tam naszym cierpliwym przewodnikiem i nauczycielem.

A jego słynne rozmowy z najmłodszymi studentami uniwersytetu! Bo do Stefana trzeba się było nieraz udawać, aby prędyż dostać książkę do pracowni. Był pracowity, ciągle czynny, ale systematyczny i powolny.

Przychodzi tedy młodzieńki polonista z wypisanym numerkiem książki i żąda „Monsalwatu” Artura Górskiego. Właśnie przed paru tygodniami wyszedł z druku. Stefan zmierzył młodzika krytycznym wzrokiem.

— Proszę Pana, — mówi powoli — „Monsalwatu” to pan teraz nie dostanie. To jest ciągle zajęte. I do domu pożyczają. A pan to niby nad Mickiewiczem pracuje?

— No, tak przecie... — bąknął zdziwiony i urażony student.

— Proszę pana, a czy pan czytał Chmielowskiego, albo Kallenbacha o Mickiewicz, albo Tretiaka „Mickiewicz w Wilnie i Kownie?” To także się nazywa „Młodość Mickiewicza” w nowym wydaniu. Nie czytał pan?

— No tak, naturalnie, czytałem, przeglądałem... — tłumaczył się dopiero co urażony polonista.

— Ee, proszę pana, to trzeba porządnie przeczytać. Chce pan, to przyniosę panu Kallenbacha albo Tretiaka... Proszę iść na górę, to tam to zaraz windą przyjedzie. A „Monsalwat” będzie później. Dobrze?

— Chciałem Górskiego, bo to mnie specjalnie interesuje. Ale niech tymczasem będzie Kallenbach. Albo także i ten Tretiak — zdecydował się uradowany student.

I za chwilę siedział już w pracowni nad tomem nieznaney sobie monografii swego profesora. A takie rozmówki Stefana Herbuta z najmłodszymi polonistami zdarzały się bardzo często.

— To ci cholera, nie woźny! — mówił niejedno do swego socjusza doloris — gada jak jaki kustosz.

Stefan wiedział doskonale, kto nad czym w Ossolineum poważnie pracuje, jaka praca jest na warsztacie u dyrektora, kustoszów czy starszych stypendystów. Był ciekawski, łakomy na naukę, więc lubił zaglądać w cudzy rękopis zostawiony na biurku i do książek nagromadzonych dokoła. Zapotrzebowania Kętrzyńskiego lub Hirschberga znał już jak pacierz.

Wynikały z tego czasem komiczne sytuacje.

— Stefanie! — powiada Kętrzyński — pójdź no tutaj. Przynieś mi 25 tom „Altpreussische Jahrbücher” (czy tam któryś tom czego innego).

Stefan szedł do księżnicy i wracał za moment, ale nie z 25-tym, tylko np. z 17-tym tomem żądanego czasopisma.

— Przecież mówiłem Stefanowi, że żądam 25-tomu. Cóż to, straciłeś głowę?

— „Pan Dyrektor tak mówił, ale Pan Dyrektor się pomylił; bo Panu Dyrektorowi potrzeba teraz 17-tego tomu” — odpowiadał z całym spokojem Stefan.

Stary uczyony poprawiał złote okulary i zazierał do książki. Stefan naturalnie miał rację. Właśnie o te listy krzyżackie mu przecież chodziło.

— Dziękuję. Pomyliłem się. No, idź, Stefanie. — burknął Dyrektor i kiwał z zadowoleniem siwą głową.

Jakim cudem Stefan Herbut orientował się w postębach pracy Dyrektora i potrzebnej mu literaturze, to już było jego tajemnicą. Wszakże na naukowej stronie tej pracy się nie rozumiał. Domyśły swoje opierał na specjalnym „węchu” starego szczura bibliotecznego.

* * *

Nie śniło się o niczym podobnym Michałowi Saturemu, drugiemu, starszemu wiekiem woźnemu Ossolineum. Ten był całkiem inny. Mały, krępy, ruchliwy, podchodzący wtedy pod sześćdziesiątkę, miał w sobie coś z dawnego żołnierza, którym też był istotnie. Owalna, pomarszczona jego twarz, z sumiastym, siwiejącym wąsem pod kartoflowatym nosem i żywymi, chytrymi oczkami, energiczne ruchy rąk, służbistość wobec przełożonych, a porywczosć względem równych czy podwładnych (młodszych woźnych i innej służby), znamionowały jakby starego kaprała czy wachmistrza. Michał mówił zawsze, że pochodzi ze szlachty, z Saturek spod Tarnopola, i sylwetka jego przypominała też żywo takiego drobnego szlachcica, starego sługę w pańskim dworze, co to za swego jaśnie wielmożnego dobrodzieja skoczyłby do piekła. Saturek nie miał żadnego wyczucia dla kulturalnej roli Ossolineum, nie interesował go żadne książki, nigdy ich nie czytał. Dla niego Ossolineum i Lubomirscy to było jedno i to samo; Zakład Narodowy stanowił w jego oczach jedną z wielkich posiadłości Lubomirskich, a że do kuratora i jego rodziny był całą duszą przywiązany, więc pilnował czujnie, jak najszerszy brytan, wszelkiego ossolińskiego dobra, i nic z niego nie pozwalał uronić. Rachował każdy kawałek drzewa i węgla na opał, każdy kwiatek w ogrodzie, każdą za wcześniej zużytą szczotkę czy ścierekę do kurzu. Był biczem Bożym na niesumienną czy opieszłą służbę, beształ — więc go nie lubiano.

Nazywano Michała skąpcem; mówiono, że żonie swojej wylicza każdy grosz (było to stare bezdzietne małżeństwo), że każe jej zarabiać praniem i posługami, a sam składa pieniądze, żeby je kiedyś — zapisać na Ossolineum.

Trząsał się nad „marnowaniem” grosza zakładowego. Dlatego był zasadniczym przeciwnikiem wszelkich inowacyj. Kiedy w jednym roku sprawiono chodniki do biur i dywaniki pod nogi przy biurkach, Michał nie posiadał się z oburzenia. Co za niepotrzebny luksus! Za kuratorium Maurycego Dzieduszyckiego (1851-1869) nigdy czegoś podobnego nie było...

— Pan hrabia Dzieduszycki byłby na takie rzeczy nie pozwolił!

I zły, jak diabeł, mrużąc, rozkładał zakupione nowości na podłodze.

Stary mruk miał też swoje sympatie i antypatie. Rodzina Lubomirskich stała ponad wszelką krytykę. Ale i tutaj były pewne stopnie. Z najczulszym rozrzewnieniem wspominał zawsze ojca kuratora (zarazem poprzedniego kuratora), Jerzego Lubomirskiego, i lubił opowiadać szczegóły z jego życia. Wspominał też często młodość księcia Andrzeja, którego zresztą uważał zawsze za młodego. Dla Kętrzyńskiego miał wielki respekt i sui generis przywiązanie, kustoszów tolerował, do Bełży się przyzwyczaił, Czapelskiego nie znosił. Wśród stypendystów miał ulubieńców, obojętnych, i takich, którzy mu stanowczo nie odpowiadali. Wiele zależało od humoru. Czasem, gdy roboty nie było i prawie pusto było w pokoju, w jakiś słotny, szary dzień, stary Saturek wdawał się w gawędę. Nudziło mu się opędał się

przed snem, więc zaczynał powoli gadać. Wkrótce rozgadywał się. Wspominał przeważnie dawne czasy, narzekając na nowe. Wywoływał z przeszłości prymitywne sylwetki dawno zmarłych Ossolińczyków. Albo mówił o swoich wojskowych czasach austriackich i o udziale w jakiejś morderczej bitwie, zdaje się pod Königraetzem czy w bośniackiej wyprawie. Służył w ułanach i doznał ciekawych przygód.

Przeżył Michał Satorski w Ossolineum długie lata. Był najstarszym jubilatem Zakładu. Zajmował, jako niższy funkcjonariusz vulgo woźny, różne stanowiska, zawsze jednak o charakterze raczej „gospodarczym”, niż „naukowym”; więcej go zajmowały „porządki” niż książki. Na starość dostawał coraz złejsze posterunki, ale tracił zarazem dawne wpływy; w ostatnich latach często drzemał na kanapie w przedpokoju Wydawnictwa Ossolineum. Dożył dziewięćdziesiątki, a może i przekroczył ją. Zgaś w początkach drugiej wielkiej wojny, już dawno owdowiały pochylony, przygasłymi oczyma patrzący na ten świat. Mały aktor na scenie ossolińskiej w ciągu z górą 70-ciu lat!...

Przegląd skończony. Nikt już nie został, kto by się jeszcze narzucał pamięci. W wspomnieniu rysuje się całość harmonijna, stonowana.

W głębi starzy: Małecki, Kętrzyński, Pawłowicz, Hirschberg, Belza — bliżej ci średni: Kurator w środku, a potem Czarnik, Gubrynowicz, Czapeliski — na froncie nasza młoda rzesza asystentów i stypendystów, taka ruchliwa i niespokojna, jakby chciała wyskoczyć z ram pamiątkowej fotografii. I po bokach ci dwaj „starzy słudzy” Zakładu: Herbut i Satorski, niby Gerwazy i Protazy.

Tup, tup, wracamy po schodkach do pracowni. Jeszcze przynajmniej kilku stałym czytelnikom należy się tutaj niewątpliwie pro memoria. Np. starszskowi panu Stanisławowi Nowińskiemu. Nikt go już chyba w ostatnich latach we Lwowie nie pamiętał. Miał na pewno po siedemdziesiątce, gdy przychodził jeszcze do Ossolineum niemal codziennie. Siwy, chudy, schludny stary pan w okularach, z białymi wąsikami i bródką. Dawniej znany dziennikarz i publicysta lwowski, a zarazem autor wielu cennych prac, felietonów i przyczynków literackich, które obchodzą dzisiaj tylko historyka literatury. A niegdyś był czytany i lubiany. Jeszcze widocznie nad czymś pracował, jeszcze coś ogłaszał może w pismach poza lwowskich. Swoją uprzejmą delikatnością przypominał dawne czasy i zjawiskowo stanowił jakiś miły łącznik z tą dawnością.

Spośród ówczesnych profesorów gimnazjalnych, do najbardziej niez mordowanych pracowników czytelnicy Ossolineum liczyło się kilku. Pierwszy z nich, prof. dr. Wiktor Hahn, dzisiaj senior polonistów lwowskich, był już w żywych związkach z uniwersytetem, jako jego docent. Wszechstronny polonista, doskonały filolog klasyczny, bibliograf, jakich mało, zadziwiał zawsze swoją pracowitością, produktywnością, skrupulatnością. Był współpracownikiem długiego szeregu czasopism naukowych i literackich, w których pojawiały się coraz to nowsze jego prace. Kilka czasopism sam kolejno redagował, jak np. „Pamiętnik Literacki”, który trudowi i zabiegliwości prof. Hahna ma wiele do zawdzięczenia. Do Ossolineum zazierał bardzo często, zawsze miał tam coś do sprawdzenia czy wyszukania. Jeszcze był na żelaznych

schodkach, a już biegły za nim windą zamówione książki, lub czasopisma. Siadał, przerzucał całe tomy i drobnym pismem na małych kartkach czynił notatki.

Był kopalnią wszelkich wiadomości, szczególnie bibliograficznych; grzeczny i uprzejmy był dla młodych i zawsze można było u niego zaczerpnąć cennych informacji. Przez lata całe dzielił życie między męczące go zajęcia szkolne, a umiłowane studia polonistyczne. I zawsze znajdował czas na bibliotekę. Miło mi go dziś wspomnieć cieszącego się jeszcze dobrym zdrowiem i pracującego w najcięższych wojennych warunkach. Miło mi wspomnieć wypróbowane przeze mnie i przez innych ludzi najlepsze jego serce, jego nieskalany charakter i niezachwianą niczym prawość. Cóż z tego, że często zrzędził i robił kwaśne miny, kiedy zawsze tak łatwo trafić można było do jego niezawodnej nigdy uczuciowości?

Innym typem uczonego profesora gimnazjalnego był wtedy dr. Henryk B i e g e l e i s e n, przez całe lata polonista w I-szym czyli „ruskim” gimnazjum we Lwowie. Widziało się go w Ossolineum bardzo często. Niegdyś jeden z najwybitniejszych uczniów P i l a t a i L i s k e g o, zmierzał w młodości do kariery uniwersyteckiej. Gdy do tego nie doszło (głównie może ze względów wyznaniowych, gdyż Biegeleisen był Żydem), pozostał na stanowisku profesora gimnazjalnego, ale pracy naukowej i ukochanego przedmiotu badań (literatury polskiej) nie porzucił. W początkach naszego stulecia był właśnie najczynniejszy. Jedną jego pracę wychodziła za drugą. Już dawniej książka o „Panu Tadeuszu” zrobiła mu nazwisko; teraz ukazywały się jego wydania Fredry, Szekspira, czy mało znanych utworów Słowackiego. zaokręślały się materiały i gotowała się niewydana monografia o Lenartowiczu. Pisma warszawskie przynosiły ciągle jego rozprawy. A chociaż Bruchnalski skrytykował Nielitościwie jego wielką ilustrowaną „Historię Literatury Polskiej”, wydaną u Bondy’ego w Wiedniu (bardzo lubiana i rozpowszechniona zwłaszcza w Królestwie), — Biegeleisen nie wypuścił pióra z ręki. Miał w sobie coś z wytrwałości uczonych teologów żydowskich, od których pochodził. Niepozorny, w obejściu nieśmiały i delikatny, mówiący cichym głosem, był może ostatnim starozakonnym uczonym polskim dawnego, przemijającego już wtedy typu. Szczerzy patriota polski, zakochany we wszystkim co swojskie, niestrudzony poszukiwacz i łowca nieznanymi materiałami, i on zamykał życie swoje między szkołą, biblioteką i ogniskiem domowym.

W Ossolineum nie wszystkich miał za sobą; Bernacki np. żywił do niego jakieś uprzedzenia; my młodzi, koledzy jego synów, szanowaliśmy w nim głębokie i przywiązanie do nauki, od której nie oczekiwał już żadnej kariery. Pracował zresztą do późnej starości, zwróciwszy się w ostatnich latach życia do folkloru polskiego: (Narodziny — Wesele — Śmierć).

Bywali jednak i młodzi profesorowie gimnazjalni, odwiedzający pracownie Ossolineum. Każdą wolną godzinę spędzał tutaj (a po południu w Uniwersyteckiej) zdolny polonista i romanista szkoły realnej dr. Kazimierz J a r e c k i, syn znanego muzyka i kompozytora, jeden z najpłodniejszych w owych latach współpracowników „Pamiętnika Literackiego”. Jego ciemna, pociągła, wygolona twarz widniała zawsze zagłębiona nad książkami, a ręce nerwowo przebierały w notatkach.

Inny typ młodego uczonego przedstawiał utykający na nogę, a mimo to ruchliwy do niemożliwości, rozmowny, niewyczerpany

w swych wiadomościach, pomysłach i zamiarach naukowo-literackich, Stanisław Kossowski. Niedawno zdał wtedy doktorat filozofii, a już żywił różne wielkie plany! Pierwsze jego prace zwróciły na siebie uwagę nowością tematów i erudycją autora. Miał wówczas ogromny zapal do nauki, a ranki spędzone w Ossolineum, zaliczał do najmiłszych. Co zaś przy tym naopowiadał nam młodszym, ile ciekawych szczegółów i nowości naukowych zawsze poruszył. . . . Potem w życiu minął się na pewno z jednym: z katedrą uniwersytecką, do której był jakby stworzony. Bywa tak czasem, jak bywa i na odwrót.

Tak się złożyło, że ciągle nasuwają się na myśl poloniści: należał do nich spośród gości ossolińskich i pełen temperamentu, nerwów i niepokoju, arcy polonista gimnazjów lwowskich, ulubiony przez młodzież Tadeusz Pini, badacz Krasieńskiego, autor wielu rozpraw, przez kilka lat redaktor „Pamiętnika Literackiego”. Dowcipny, błyskotliwy, ironiczny w dyskusjach, przyjmowany był przez nas zawsze z zaciekawieniem, witany z respektem.

Nie można pominąć zaraz obok niego dra Franciszka Krćeka późniejszego docenta, polonisty, slawisty, gramatyka, człowieka przez wiele lat chorego, a zawsze oddanego pracy i badaniom naukowym. Ze zgarbionymi plecyma, z charakterystycznie pochyloną na bok głową, z czarną opaską na uchu, zasiadał nieraz w pracowni Ossolineum nad jakąś swoją robotą.

Bruchnański, Hahn, Pini i Krćek wiodli wtedy rej w „Towarzystwie Literackim im. Adama Mickiewicza”, które przechodziło wówczas swój poważny kryzys. Działo się to w związku z nagrodzeniem przez Akademię Umiejętności monografii Tretiaka o Słowackim, co głęboko dotknęło entuzjastycznych wielbicieli poety. Po gwałtownym wystąpieniu na głównym zebraniu w tej sprawie, Pini dostał wybuchu krwi i ciężko rozchorował się na płuca. Była to epoka, w której ludzie jeszcze tak głęboko przejmowali się zdarzeniami literackimi.

Z polonistów zjawiał się jeszcze czasem niski, fertyczny, zawsze uśmiechnięty, a cieszący się już wtedy wielką powagą, dr. Konstanty Wojciechowski. Był później dyrektorem gimnazjum Batorego. Wtedy, jako docent polonistyki w Uniwersytecie, zdobył sobie odrazu uznanie. Auditorium miał pełne, a wykładał doskonale historię nowszej powieści polskiej od XVIII wieku. Pracował przeważnie w domu, do bibliotek wpadał po książki, a przynosił z sobą zawsze humor i dowcip w najlepszym gatunku. U niego to zdawałem pierwsze moje w życiu kolokwium uniwersyteckie.

Pamiętam jeszcze eleganckiego starszego pana, profesora II-go (wtedy t. zw. niemieckiego) gimnazjum, Wielkopolanina Bronisława Kasinowskiego. Pracował jeszcze wtedy naukowo dość żywo, zajmując się — jeden z pierwszych u nas — komedią polską. Publikował w „Pamiętniku Literackim”. I on zaglądał czasem do pracowni.

A tacy dwaj bracia Maczewscy? Za moich czasów wychodzili już z Uniwersytetu. To znaczy, wyszedł już dawno polonista Przemysław, uczył w gimnazjum, zajmował się Krasickim i Słowackim, bo drugi (starszy?) Bogdan Maczewski, nie wiem: filozof ścisły czy prawnik, zatopiony wiecznie w książkach, bawił się trochę w żelaznego akademika. Obaj bywali w Ossolineum. Przemysław wysoki, przystojny, tylko go w kontusz ubrać i w karabelę, żartujący z uśmiechem, towarzyski — Bogdan, czarniawy, pochylony, zamyślony, z zawieszonym,

sarmackim wąsem, lubił spokojne czytanie albo pryncypalne dyskusje.

Kiedy zaś mowa o polonistach, to nie wolno pominąć ściśle związanego z Ossolineum i jego pracownią, b. stypendystę, Edwarda Dubanowicza, później wybitnego prawnika, profesora uniwersytetu lwowskiego, pośła itd. Więc przechodzimy do prawników? Bynajmniej; ci w Ossolineum mało kiedy się pokazywali. Tylko Dubanowicz był wtedy polonistą. Gotował się na badacza literatury i wydrukował właśnie w „Pamiętniku” interesującą większą pracę o „Księdzu Marku” J. Słowackiego. Nikt nie przypuszczał, że ten dość niski, przystojny blondynek, kokietujący literaturę i prawo, będzie kiedyś pracował nad Konstytucją Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej....

Jakoś mniej niż poloniści, cisną się do pamięci w roli gości ossolińskich historycy, uczący wówczas w gimnazjach. O Kubali była już mowa. Wielki historyk, wielki pisarz, w którego tchnieniu rodziła się Sienkiewiczowska Trylogia, był przez lata całe profesorem historii w gimnazjum III-cim im. Franciszka Józefa (potem Batorego). O katedrze Uniwersyteckiej dawny powstaniec i działacz rewolucyjny nie mógł marzyć; na krótko przed śmiercią zrobiono go dyrektorem tegoż gimnazjum. W Ossolineum siadywał zawsze u szczytu głównego stołu, pod ścianą, naprzeciw drzwi do pokoju dyżurnego. Na materiałach Ossolineum opracował w dużej mierze główne swoje dzieła z epoki „Ogniem i Mieczem” i „Potopu”.

Obok Kubali zachodzili i inni. Rzadkim stosunkowo gościem był skrupulant nad skrupulanty, historyk doskonały ze szkoły Liskego, Ferdynand Bostel, w następnych latach dyrektor gimnazjum II-go. Wytworny stary kawaler, niegdyś wybitnej urody, z charakterystycznymi rumieńcami na twarzy, niewielkimi wąsikami i bródką, był uosobieniem grzeczności i kultury towarzyskiej. Chorowity, zajęty szkołą, nie przeciążał się pracą naukową. Ale wszystko, co wyszło, spod jego ręki, było zawsze zrobione wzorowo. Zajmowały go różne tematy: polityka polska XVI w., szkolnictwo galicyjskie, historia klasztoru Bernardynów. Pod względem pedanterii w pracy naukowej przypominał naszego Czarnika.

Daleko częściej widziało się tu historyków młodszych, suplentujących już po szkołach średnich, zdających doktoraty lub kończących studia u Finkla, Askenazego, Dembińskiego, czy jeszcze u Tadeusza Wojciechowskiego. Przesuwają się tu w pamięci nad stołami Ossolineum różne młode twarze: zawsze poważnego i nieco ponurego Władysława Konopczyńskiego; czarnego jak smoła Ludwika Kolankowskiego, o urodzie kresowego mołojca; dwóch Chodynickich (wysokiego historyka i małego historyka prawa); uroczystego w swej stałej powadze Józefa Krajewskiego; brodatego erudyty Majera Bałabana; grzecznego, uśmiechniętego Józefa Siemieńskiego; wysokiego jasnego Dzwonkowskiego i zacnego Janusza Iwaszkiewicza z wąsem, jak u rejenta Milczka; spokojniutkiego, pracującego systematycznie i wytrwale Jana Rutkowskiego, rozzadanego, pełnego ciekawych pomysłów i ustawicznego niepokoju Olgerda Górki; wspaniałego „Bronia” Pawłowskiego, o głowie tęgiej do nauki i do popicia, jak się patrzy; i wielu innych.

Ileż to nazwisk znanych szeroko w nauce polskiej, albo skromnych, zasłużonych pedagogów, żyjących i zmarłych. A wszyscy przesunęli się przez sale tego Zakładu, wszyscy wzięli z siebie coś z jego atmosfery.....

Naprzeciw młodych historyków czy obok nich, siedzieli młodzi poloniści, o których się jeszcze nie pisało. Bo o polonistach pisało się dużo, przy różnych sposobnościach, ale to było albo o starszych, albo a stypendystach, albo o najbliższych przyjaciółach. A przy stołach pracowni Ossolineum bywała cała polonistyczna rzesza.

Nieraz tylu tych lwowskich polonistów i historyków rozsiadło się w Ossolineum, że gdy przyjechał na parę dni czy tygodni ktoś spoza Lwowa i chciał przerzucić całą furę książek, czasopism lub rękopisów, to nie miał się po prostu gdzie pomieścić. I dopiero musieliśmy się skupiać, ścieśniać, zwierać, aby szanownemu gościowi zrobić więcej miejsca. Tak bywało, gdy przyjeżdżał Aleksander Brückner, dla przejrzenia najrozmaitszych rzeczy, czy Tadeusz Grabowski z Krakowa, zbierający materiały do historii swoich literatur różnowierczych XVI w. w Polsce; ze zdziwieniem patrzyliśmy, ile książek potrafił jednego dnia przegłądać, jak szybko to czynił, a z każdej coś ciekawego dla siebie wynotowywał. Pamiętam też taką dłuższą wizytę uczonego rosyjskiego prof. Peretza, badacza dziejów pierwotnego romansu europejskiego, a przede wszystkim słowiańskiego. I wtedy znoszono także mnóstwo książek na stół do pracowni.

Warto jeszcze sięgnąć pamięcią w stronę pracowników starszych i młodszych z innych działów nauk, poza historią i polonistyką. Bo przecież i tacy bywali nieraz stałymi gośćmi Ossolineum. O niektórych, głównie profesorach uniwersytetu, wspomnieliśmy poprzednio.

Z germanistów lwowskich, pracujących w gimnazjach, zaglądał dość często Emil Petzold, profesor IV gimnazjum, serdeczny przyjaciel Bruchnalskiego, niepospolitej miary erudyta, badacz wszechstronnie uzdolniony, dusza niezwykła; ale chorowity, nerwowy, zapracowany w szkole. Prawie przymocą zmusili go po latach przyjaciele do habilitacji i objęcia na krótki czas katedry germanistyki w Warszawie. Za to ze studenterii germanistycznej, z uczniów Ryszarda Marii Wernera, pokazywał się w Ossolineum niejeden: wszystkowiedzący, bardzo uzdolniony Samuel Wagmann (potem profesor w Kłomy i autor monografii o Holderlinie); czarniutki, ruchliwy, wścibski, ironiczny, Zygmunt Lempicki, mający urósć w przyszłości na najtęższego germanistę polskiego; solidny, pracowity Gwido Holzer; młodziutki, zapalony do nauki Józef Fritz, wybitny germanista, który miał kiedyś porzucić ten przedmiot, gdy go urzekła medycyna; wreszcie starszy od nich wszystkich, ogromnie zdolny Dr. Stefan Kuczyński, który świeżo wrócił z zagranicy i zaczął uczyć w gimnazjum; pachniał zagranicznymi kawiarniami, a ołsniewał wiedzą, tematyką, sposobem prowadzenia rozmowy, urokiem osobistym.

Przyrodników przychodziło do pracowni mało, jak na lekarstwo. Chyba ktoś, co zajmował się historią nauk przyrodniczych w Polsce. Od czasu do czasu widywało się pochyloną nad jakąś książką charakterystyczną, skupioną w ustawicznym namyśle twarz prof. Józefa Nusbauma-Hilarowicza, piszącego wtedy dużo rzeczy popularno-naukowych. Wierniejszy był pełen zawsze zainteresowań historyczno-przyrodniczych i utrzymujący stale kontakt z humanistami Benedykt Fuliński, młody doktor filozofii, wychowanek Dybowskiego; trochę polityk trochę publicysta, doskonały pisarz i popularyzator, miał też zacy „Benio” zawsze wiele sympatii wśród nas; lubiliśmy jego

szczery, bezpośredni, trochę „z waszecia” sposób obcowania, jego pozorną rubaszność, a przede wszystkim jego humanistyczne nastawienie nieczęste u przyrodnika. Był później profesorem Wydziału Rolniczego Politechniki Lwowskiej i znało go całe miasto.

Historycy sztuki zachodzili raczej do Muzeum Lubomirskich, gdzie gospodarzył Gubrynowicz. Tam widziało się czasem i młodego, pełnego zapału docenta Władysława Podlachę, i cichutkiego erudytę ks. Żyłę i innych młodszych.

Prawnicy nie mieli po co przychodzić do Ossolineum. Więcej mogli znaleźć dla siebie w Bibliotece Uniwersyteckiej, czy w swoich bibliotekach specjalnych (towarzystw i instytucji). Poza Balzerem (rezydującym zresztą głównie w swoim Archiwum Bernardyńskim) i Pinińskim, wpadającym czasami ze swego pałacyku na Matejki, rysuje mi się w wspomnieniach ossolińskich jeszcze piękna, siwa postać profesora ekonomii Ochenskowskiego, który studiował coś czasami w pracowni. Postać jakby ze starego portretu; miał głowę senatora czy wielkiego uczonego, podobny do Stanisława Tarnowskiego na Matejkowskim portrecie; był jednak znacznie wyższy od niziutkiego krakowskiego rektora.

Jak przez mgłę widzę czasem w Ossolineum Stanisława Starzyńskiego, profesora prawa, polityka, wybitnego parlamentarzystę wiedeńskiego i pisarza (wysoki, szlachecka gęsta mina, dystynkcja, sumiasty wąs, zwykle jasne zarzutki) oraz niedawno przybyłego do Lwowa Stanisława Grabskiego, który przeradzał się wtedy z działacza politycznego w profesora Uniwersytetu, chociaż przeobrażenie takie nigdy się nie miało całkowicie dokonać. Wielkie zagadnienia bieżącego życia narodowego nie wydawały mu się bowiem nigdy mniej interesującymi od problemów minionej dawno przeszłości. We Lwowie wchodził wówczas mocno w różne sfery życia: czynny był w Uniwersytecie, w publicystyce „Słowo Polskie”, w życiu kulturalno-naukowym, jako jeden z organizatorów „Związku Naukowo-Literackiego”, którego wieczory odczytowe cieszyły się takim powodzeniem.

A jeśli już mowa o politykach, to czyż można zapomnieć o codziennym niemal gościu w pracowni Ossolineum, Władysławie Studnickim, który w początkach naszego stulecia mieszkał dłuższy czas we Lwowie? Był wówczas czymś w rodzaju żelaznego akademika (wiekiem o wiele starszy od większości nas wszystkich), a zarazem polityka, publicysty, dziennikarza. Cechowały go zawsze: ta sama odwaga cywilna, śmiałe mówienie prawdy w oczy, kultura publicystyczna, ten sam litewski upór i akcent w wymowie. Ale, że był jeszcze młody, więc w tym niskim, niepozornym, rudawym jegomościu, jakby przeniesionym gdzieś z dworu białoruskiego do ówczesnej Galicji, grał żywiej temperament polityczny, szlachecka skłonność do zwady i nieustępliwości, co nadawało szczególne kolory jego wystąpieniom na wiecach akademickich czy zebraniach politycznych. Do Ossolineum przychodził ten malutki pan z rozwichrzoną czupryną, dla różnych swoich studiów. Nic go w danej chwili nie obchodziło poza tym, o czym myślał. Toteż wyspiewawszy przed dyżurnym po wileńsku żądane książki, zasiadał do roboty, nie wiedząc o świecie Bożym. Niby drugi ks. Fijałek. Czasem wstawał i przez chwilę dreptał koło swego miejsca, nie bacząc na nikogo. Coś sobie półgłosem rozważał, gestykulował. Mógłby go ktoś wziąć co najmniej za dziwaka, a to tylko rodził się jakiś

nowy artykuł lub urastała nowa broszura polityczna Władysława Studnickiego.

Z polityków bywał tu zresztą nie tylko Grabski czy Studnicki. Prasa lwowska wszystkich politycznych odcieni stała, w pierwszych dziesiątkach XX wieku przed wojną „światową” na wysokim poziomie i pozostawała w ustawicznym niemal kontakcie z bibliotekami, a z Ossolineum przede wszystkim. I to nie tylko prasa codzienna, lecz i tygodniki, miesięczniki etc. Ciągłe ktoś z „redaktorów” wpadał do pracowni (już w pierw popytawszy u kustoszów czy stypendystów) aby przejrzeć jakąś książkę, przerzucić dawne czasopismo; szukało się materiału, cytatów, krytyki, ilustracji.

Stąd też pracowni Ossolińskiej żadna dusza dziennikarska nie była wówczas obca. Od największych asów poczynając, jak: Zygmunt Wasilewski (który tutaj i do swoich naukowo-literackich prac czynił studia); czy Tadeusz Smarzewski, znakomity publicysta konserwatywny z przełomu dwóch stuleci; czy niezapomniany dziennikarz, gawędziarz, felietonista, ale i historyk niebylejaki, Michał Rolle, po ojcu swoim znamienity kronikarz życia polskiego na ziemiach południowo-wschodnich; czy zbliżony do niego zainteresowaniami, ale starszy, poważniejszy, więcej już historyk-uczony, wydawca materiałów, pamiętnikarz, niż publicysta i dziennikarz Franciszek Rawitaga wroński, człowiek tego typu, co Kętrzyński, wysoki, mimo wieku nie zgarbiony, z długimi, siwymi włosami, spadającymi mu na kark po mickiewiczowsku, w złotych okularach, przez które bystre oczy patrzyły na świat. Zięć i przyjaciel Zygmunta Miłkowskiego.....

Ale przychodzili i inni: Grzegorz Glass, pracujący w socjalistycznym „Głosie”, Antoni Sadzewicz ze „Słowa Polskiego”, Jan Dąbski za ludowcowego „Kuriera Lwowskiego”, albo na odmianą rudawą z bródką ludowiec Władysław Wąsowicz, i niejeden jeszcze.

Z wybitnych pisarzy i literatów przypominam sobie naprawdę mało kogo; chyba naszych lwowskich poniekąd, co poza tym z dziennikarstwem lub szkolnictwem się parali. Zachodził tu, zdaje się, Andrzej Niemojewski, gdy nieraz na dłużej zatrzymywał się we Lwowie; zasiadał czasem niespostrzeżony nad jakąś książką Stanisław Brzozowski, wyglądający na biednego, chorego studenta uniwersytetu. A z innych? może Stanisław Rossowski, może Józef Jedlicz, Stanisław Maykowski i Jan Pietrzycki, uczący wtedy w gimnazjach lwowskich, Teodor Mianowski, tłumacz Nietschego i nauczyciel VI gimnazjum — ich twarze wiązały mi się także z czytelnią Ossolineum. Niewątpliwie bywał tu od czasu do czasu małej prof. Edward Porębowicz, wysoko ceniony wśród poetów i literatów lwowskich. Drobnym kroczeniem, z pochyloną na bok głową, szedł przez salę pracowni, by uprzejmie, z uśmiechem rolując z francuska, zamówić sobie potrzebne książki. Tłumacz Dantego i Byrona pracował jednak częściej w Uniwersyteckiej. Stałym bywalcem Ossolineum był za to głośny w swoim czasie Bonawentura Grażyński (Bonaventuras Grassinios), prof. IV-gimnazjum we Lwowie, jeden z największych poetów greckich nowych czasów, filolog-twórca, w wielkim stylu, znany w Grecji i odznaczony za swe piękne tragedie wysokimi orderami przez króla Hellenów. Wyglądał na starożytnego poetę: twarz wygolona, już nie młoda i brzydka, włos na

pół siwy, bujny, zsuwający się na piękne, myślące czoło — coś jakby głowa z starego posągu. Ubrany zawsze na czarno, jakby uroczyście w anglez. Nie znałem go bliżej; wiem jednak, że koledzy moi z IV-gimnazjum chodzili poecie Grassiniosowi po głowie, a dyrektor filolog kazał mu przeważnie uczyć greki i łaciny (i jeszcze czegoś tam) w niższych klasach, bo do wyższych „się nie nadawał”. On, który na igrzyskach helleńskich miał prawo recytować swoje utwory i chodzić w wieńcu z wawrzynów. ... Tragedie jego oglądaliśmy wtedy, drukowane w „Eosie” i czytaliśmy nieraz chwalebne wzmianki o nich.

Osobną kategorię bywalców Ossolineum stanowili heraldycy. Zdarza się to w każdej większej bibliotece, ale Ossolineum, z swoim niezwykłym bogatym wyborem dzieł heraldycznych, miało już widocznie do tego specjalne szczęście. Studiowali heraldycy rozmaici.

Zaglądał do prac heraldycznych stary, wspaniały Zygmunt Łuba-Radziwiński, z siwą brodą, wielce uniżony potomek magnackiego rodu z Wołynia, który niebawem swoje archiwum rodzinne miał zostawić Ossolineum; zaglądał delikatny, chory na oczy Bolesław Gorczak, który razem z Radziwińskim przygotowywał do druku wydanie „Archiwum Sanguszków”; miał wreszcie z tym działem często do czynienia wybitny, młody historyk i heraldyk lwowski Doc. Dr. Władysław Semkowicz, wieloletni nauczyciel historii w gimnazjum III we Lwowie, po latach znany profesor uniwersytetu w Krakowie.

Obok heraldyków, nie brakło jednak między czytelnikami Ossolineum ludzi, których stale interesował tylko jakiś jeden przedmiot ściśle ograniczony, tak, że z góry wiedziało się jakich książek mogą żądać. Historia Ormian np. to była wyłączna dziedzina zacnego, otyłego, a bardzo nerwowego i łatwo rozpraszającego się ks. kanonika Piotrowicza, który często około południa przychodził od „Ormian” do Ossolineum, aby coś przejrzeć albo i pogawędzić z kim się dało — o ulubionym temacie. A gdy się znowu zobaczyło z daleka niejakiego p. Stachurskiego, z miną starego, prowincjonalnego szlachcica lub „emeryty”, w zniszczonym, piaskowym „haweloku” z mantylą, to wiedziało się z góry, że trzeba przygotować jakiś staropolski zielnik vulgo „herbarz” (w tym drugim znaczeniu nie od „herb”, ale od „herba” zioło), bo ten oryginał, widocznie zapamiętały „ziolarz”, siadywał godzinami tylko nad Syreniuszem Falimierzem, Kresceniuszem, czy jak się tam oni wszyscy nazywali.

Dziwnych ludzi jest wszędzie na świecie dosyć, a uczeni czy zajmujący się nauką, mają szczególnie przywilej na to, by z czasem stawać się dziwakami.

Lecz w Pracowni Ossolineum poza dziwakami, przebywali wtedy nieraz ludzie, co do których nie można było mieć żadnych wątpliwości, że brakło im co najmniej piątej klepki. Przychodzili, zasiadali, studiowali na swój sposób, zachowywali się nieraz bardzo osobliwie, w czym im nikt nie przeszkadzał — i odchodzili. Czytelnicy zdrowi na umyśle pogodzili się z tym dawno, a nawet czasem niepokojono się wyraźnie, gdy któryś z naszych „świrków” nie przyszedł. Myślę, że podobne wypadki zdarzają się w bibliotekach całego świata; w westybulu żadnej biblioteki nie bada psychiatra zdrowia umysłowego czytelników. W ówczesnym Ossolineum panował pod tym względem stan zadowolenia. Tylko młody Ludwik Biernacki nie mógł się z

tym pogodzić. Jakże to? Oczywiście wariatów tolerować wśród czytelników, dawać im cenne nieraz dzieła do przeglądania (swoją drogą, obchodzili się z książkami troskliwiej, niż nieraz najrozumniejsi), znosić nawet czasem ich wybryki, zakłócające świętą ciszę biblioteczną?..... Długo nurtowało to w nim. Trzeba raz już wreszcie wyrzucić z pracowni wariatów: Bubera, Weissa, Karasińskiego, o których zaraz opowiemy...a może nawet tego i owego „maniaka” powoli da się odstraszyć..... Poszedł z tym do Kętrzyńskiego.

Siwy Dyrektor wstał, jak zawsze, na powitanie, wysłuchał cierpliwie, uśmiechnął się do zaperzonego, młodego skryptora i położywszy mu rękę na ramieniu, rozstrzygnął:

— „Kochany Panie Ludwiku! Widzisz Pan, te wariaty przychodzą tu już od dawna i nikomu nic złego jeszcze nie zrobili. Książka działa na nich widocznie uspakajająco. Dlatego, póki ja tu będę, to niech oni sobie tutaj zostaną. Chyba, żeby stał się kiedy jakiś skandal.....”

I „wariaty” zostały. Ale ze śmiercią Kętrzyńskiego przyszedł na nich kres.

7.

Odetchnijmy raz jeszcze głęboko atmosferą pracowni i Zakładu, zanim opuścimy jego pokoje, korytarze i wrota z młodzieńczą swobodą i bez troską. A można tu mówić o głębokim oddechu, bo atmosfera Ossolineum była czysta i piękna, chociaż w poklasztornym gmachu wilgoć czaiła się po salach i korytarzach, a ziąb wiał w zimie po nogach mimo naładowanych pieców.

Na atmosferę tę składali się ludzie i tradycja. A może właściwie tylko ludzie? Bo tradycja tkwiła nie tylko w książkach, rękopisach, w gmachu, w pamiętnikach i portretach, w tym wszystkim dawnym co pachniało swoją starożytnością; pachniało szczególnie w gorące dni letnie, gdy rozwarło się drzwi i okna na stary, rozgrzany park i dziwne zmieszane wonie niesły się po wszystkich stronach i kątach. Tradycja tkwiła przede wszystkim w ludziach. Przechodziła z starszych na młodszych. Na Andrzeja Lubomirskiego z jego ojca i dziada, na Małeckiego i Kętrzyńskiego z Siarczyńskich, Pawlikowskich i Bielowskich. Każdy kustosz, vicekustosz czy skryptor miał w pamięci niejednego z swoich poprzedników, który zajmował to samo stanowisko, a nieraz siedział dosłownie w tym samym krześle. Postaci dawno zmarłych dyrektorów i urzędników znane były nam, stypendystom i czytelnikom Ossolineum, nie tylko z portretów i litografij, albo z literatury. One nieraz naprawdę żyły dalej w opowiadaniach i wspomnieniach, w napotykanym tak często śladach ich pracy. One jakby naprawdę były pośród nas, snując się między pracującymi niby dobre i życzliwe *manes* Ossolineum.

Niezwykle wymownie przedstawiała się ta tradycja po stronie stypendystów. Wiedzieliśmy, że ta instytucja naukowych wychowanków Ossolineum, oryginalnie pomyślana, datuje się jeszcze od 1836 r. i że w ciągu siedemdziesięciu kilku lat przeszła przez nią cała niemal elita inteligencji Lwowa (a często i byłej Galicji) z najrozmaitszych kategorii: uczeni, profesorowie, prawnicy, wysocy urzędnicy, ludzie wolnych zawodów. Pokazywali sobie nieraz na ulicy czy w samej bibliotece starszych, poważnych panów, szepecząc, że to też dawny stypendysta Ossoli-

neum. Albo i oni sami, przychodząc do wypożyczalni książek, wspominali o tym z zadowoleniem i dumą. Urobiła się nawet pewna dziedziczność w prostej czy bocznej linii w otrzymaniu tego skromnego, lecz szaczonego stanowiska. Wystarczy przejrzeć spis stypendystów (np. w pracy prof. Fischera o Ossolineum), aby zauważyć powtarzające się co pewien okres czasu te same nazwiska: to ojcowie i synowie, dziadowie i wnuki, to znowu bracia lub stryjowie i bratankowie. Jedni i drudzy rozpoczynali w wczesnej młodości służbę publiczną i naukową jako stypendyści Zakładu Narodowego. Dziad w roku pańskim 1832, wnuk w roku 1895 itp. Pamięć o Ossolineum, przywiązanie do jego przeszłości i troska o jego przyszłość, płynęły razem z krwią poprzez pędy, idące po sobie z tego samego pnia rodzinnego.

Przez ludzi szła zatem piękna tradycja ossolińska z pokolenia na pokolenie. Ale, co było tej tradycji treścią? Co składało się na ducha tej atmosfery, którą nam dane było oddychać? Odpowiedź jest jedna. Myśl o wielkiej kulturze duchowej narodu, z której pokładów wyrosło Ossolineum, spatała się tutaj z wiarą w niezniszczalność i odrodzenie narodu: Wiara taka była własnością całego społeczeństwa polskiego b. Galicji na początku naszego stulecia. Dla nas Ossolińczyków gruntowała się ona jednak nie tylko na nadziejach i pewnych kombinacjach w polityce światowej, ale na ustawicznym oglądaniu wielowiekowych dowodów żywotności i nieśmiertelności polskiego ducha. Ustawiczne obcowanie z wielką przeszłością było podobne do przebywania w rejonach wysokogórskich, co dodawało duszy zdrowia i hartu.

Dobrze było w owych latach młodości naszej w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich. Wspomina się te czasy jak pobyt w rodzinnym mieście, cichym i prowincjonalnym, gdzie jest najłepiej na świecie.

Bo chociaż życie polskie Lwowa płynęło wtedy wartkim, pieniącym się korytem, chociaż gwar stypendystów, młodzieży akademickiej, a nawet uczniów szkolnych z czytelnii p. Czapelskiego, przesuwał się o pewnych godzinach przez sale i korytarze, jak rój pszczoły — to jednak w Ossolineum było właściwie cicho. Ciszej niż w uczelniach wyższych, ciszej niż w nowej, pięknej bibliotece Uniwersyteckiej.

Cisza była zawsze przywilejem ossolińskich murów. Może dlatego, że gnieździła się tutaj od czasów klasztornych w jakiejś prawie materialnej postaci; może z tego powodu, że budynek odcięty jest od ulic ogrodem zakładowym, a z dwóch innych stron zasłonięty Wronowską górą od miejskiego gwaru.

Ale wtedy było tak cicho dlatego, że w Zakładzie pracowało jeszcze dosyć starych i starszych ludzi, którzy przywykli tutaj do ciszy i lubili ciszę. A chociaż młodzi lgnęli do gwaru, pogawędek, żartów, szastania się po pokojach i chociaż nieraz ten młody gwar zrywał się, jak wichur, to jednak gdy starszyna orzekła *silentium*, robiło się cicho, jak makiem zasiał.

I było w ówczesnym Ossolineum, tak jak w prowincjonalnym mieście. Istniała wprawdzie niewątpliwa łączność Zakładu ze światem naukowym Polski i z dużą częścią zagranicy, ale ta łączność nie miała dzisiejszego hałaśliwego charakteru. Telefonu w Ossolineum jeszcze nie było, więc kto z miasta interes miał do nas, musiał albo sam przyjść, albo list przysłać. O telefonach „zamiejscowych” ani się śniło. Telegramy należały także do

rzadkości i wywoływały poniekąd takie wrażenie, jak w komediach Bałuckiego. Auta nie rozbiły się z hałasem popod oknami Ossolineum, bo najpierw prawie ich nie było, a po wtóre ruch dorożek z dworca kierowano jeszcze przez ulicę Kopernika. Ulica Ossolińskich i jej sąsiadki: Friedrichów, Lelewela, Kalecza itd. należały do najzaciszniejszych ulic Lwowa. Nawet w pracowni, gdzie okna częściowo wychodziły na pocztę, ruch tramwajów i fiaków gubił się w szumie ogrodowych drzew i krakaniu słynnych ossolińskich kawek; ale były to kawki wychowane w respekcie dla pracujących naukowo: krakały przeraźliwie albo bardzo rano, albo przed wieczorem, gdy czerwone łuny paliły się na Zachodzie. Wtedy nikt już tu nad księgami nie ślęczał.

Goście z zagranicy pokazywali się w Ossolineum rzadko, nawet z Warszawy i Poznańskiego: tylko wymiana czytelników z Krakowem była wcale ożywiona. A chociaż korespondencja przychodziła co dzień obficie, chociaż napływały ciągle to książki, to odbitki autorskie, to gazety, chociaż protokół wykazywał nie małą ilość pism, wychodzących i od nas w świat — mimo to Ossolineum „stało” przede wszystkim Lwowem. W nim znajdowało główne źródło swego czynnego, nigdy nieustającego, choć czasem może nieco jednostajnego życia na co dzień.

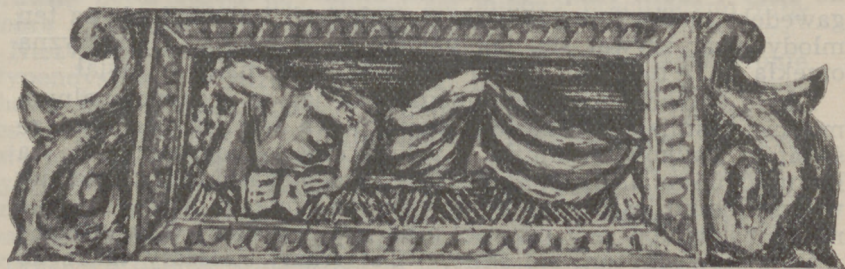
W początkach XX wieku tylko K r a k ó w był czymś w rodzaju Mekki i Medyny polskiej. Inne główne miasta żyły przeważnie swoim własnym, nieraz szeroko szumiącym i pogłębnym życiem. Tak Warszawa, tak Poznań, tak Wilno. Nie inaczej było we Lwowie. A można nawet powiedzieć, że Lwów był w sytuacji lepszej. Horyzont jego kulturalny rozszerzał się, dzięki zwiększającemu się w początkach stulecia napływowi emigrantów z innych dzielnic polskich, głównie z b. Królestwa, emigrantów przymusowych, wśród których ogromny procent stanowiła studiująca młodzież, publicyści, działacze polityczni.

W latach mniej więcej 1904-1910 przebiegały nasze studia uniwersyteckie. Na te same lata przypadały nasze młodzieńcze związki z Ossolineum; przez jakiś ich wycinek byliśmy stypendystami Zakładu, przez resztę czasu pilnymi, niemal codziennymi gośćmi pracowni i czytelnicy Ossolineum.

Już to pierwsze 10-ciolecie XX wieku było okresem przedburzowym szczególnie od 1905r. od rewolucji w Rosji i Królestwie Polskim. I nam, młodym, pachniało wtedy powietrze, jak wonieje w polu przed burzą.

Na widnokregu politycznym gromadziło się coraz więcej chmur, grożących bliską wojną. Gdy raz jej ledwie uniknięto, wiedzieliśmy, że niebezpieczeństwo wróci znowu.

O wielką, powszechną wojnę ludów modliliśmy się coraz goręcej słowami Litanii Pielgrzymkiej Mickiewicza.



Jeszcze woda wirowała w zakolach, łącząc się przez otwartą grodz z wodą z kanału. Ze śluzy wyszedł Grek, chrapliwie porykując parą, przeszedł im wzdłuż burty, kierując się w stronę morza. Śruba „Obotryty” zawirowała w wodzie, pchając go do środka. Kiedy dziób wolno przysunął się do nadbrzeża, człowiek bosakiem podjął zwisającą stalówkę, lewą ręką chwycił za oko liny, pochylił się do przodu, dociągnął ją do polera i na nim założył. Wyprostował się, wzniesioną ręką zataczał koła by wiązali.

Ż wysokiego dziobu słyhać było kilkakrotnie naglący głos.

— Dalej! dalej!

Człowiek zdjął oko z polera, ciągnąc stalówkę, był więcej pochylonym do przodu, wyprostował się dopiero kiedy założył na następnym polerze.

Na dziobie winda zaczęła pracować. Chrystian założył stalówkę na bęben i wybierał luz.

— Dość! dość! — słyhać było głos szturmana patrzącego za burtę.

Wtedy Kajtek dwa razy przełożył łańcuch na stalówce, owinął kilka razy wokół, zaparł się na nogach obiema rękami przytrzymując koniec łańcucha.

Chrystian w mig zrzucił stalówkę z bębna, obłożył raz na polerze, wybrał luz i szybko okładał ósemkami. Trykotowa koszula drgała na piersiach i plecach od pracujących mięśni. Gołe ręce owinęły się splotami twardymi jak na stalówce. Mocno sprężynująca stalówka, zwijała się w jego rękach jak sznurek. Czuł ją w którą stronę się zwija i tak mądrze okładał ją na polerze. Kiedy skończył, widać było że głębiej oddycha. Z drugiej strony windy dwaj chłopcy jak on, porali się także przy tej samej pracy. Kiedy ukończyli robotę, oparli się swobodnie na relingu od strony wybrzeża. Na rufie ukończyli także. Zamknęła się za nimi grodz śluzy. Zaczęła się podnosić woda i z nią „Obotryta”, mający dziesięć tysięcy ton ładunku, amunicji artyleryjskiej i mięsa w konserwach. Na przednim i tylnym pokładzie wzdłuż burt, stały po dwie długie amerykańskie lokomotywy. Woda nie miała ani zieloności ani granatu wód północnego Atlantyku. Była czarna, brudna, błyszcząca oliwą, gdzieś pokryta kożuchem smarów. Poranny delikatny błękit wisiał w górze. Marcowe słońce grzało ciepło, jak gdyby chciało im zapłacić za ukończony trud podróży. Północny Atlantyk w lutym pieniał się swoim żywiołem. Od Nowego Jorku aż po Szkocję na przestrzeni więcej niż trzy tysiące mil, hulał mroźny wicher. Toczył grzywiaste góry koło Grenlandii, wybuchał sztormem, rwąc w strzępy otchłań oceanu. Zdawało się że w szkwałach chce wyrwać wodę z dna i zapędzić w chmury. Rozorał go miliardem pługów, kazał mu hulać w takt swojego wycia. Wzburzony ocean grzmiał, ryczał, wił się i pieniał w gniewie. Nie mogąc zniszczyć sam siebie, zapędził ryby głębiej. Ptaki pochowały się na wyspy i lądy. W oszalałych ludziach pragnienie mordu przewyciężyło strach przed żywiołem. Kiedy ocean ich topił, wzajemnie dobijali się. Potężny, bezmyślny i głupi, gdyby wiedział o tym że marni i podli ludzie naigrawają się z niego — wydobył by z siebie taką moc, że pochłonał by ich w

jednej chwili i pogodził ich na swoim dnie. Miał na to, aż nadto mocy.

Z wysokiego dziobu przyglądali się z ciekawością ludziom obsługującym ich statek, jaskrawym czerwonym dachom domów zalanych słońcem. W oknie najbliższego domku odchyliła się firanka, pokazała się w nich twarz dziewczyny o jasnych bujnych włosach w nieładzie. Była w zielonym szlafroku, rękoma z oczu ścierała resztki snu. Przyglądała im się spokojnie dużymi oczami, w których kryła się dziecinna ciekawość.

Chłopcy drgnęli, jakby odczuli jej ciepło, po wstaniu z łóżka. Nie uśmiechali się nawet by jej nie spłoszyć. Była pierwszą kobietą jaką widzieli na angielskim brzegu. Dziewczyna dalej bawiła się poważnym spoglądaniem na nich. Kiedy napatrzyli się jej do syta, twarze ich odprężyły się ze skupienia i opanowania. Ożywiły się radosnym ciepłem ludzkim. Wojna i ostatnie samotne trzytygodniowe wleczenie się przez Atlantyk, wyrzyło na ich twarzach cechy, tak charakterystyczne u ludzi wojny na morzu: spokój, skupienie i opanowanie. Rysy ich twarzy były ostre, oczy mocne rzucające niekiedy błyski. Po trzech latach wojny nic się nie zmieniło, tonęli nadal jak za lat poprzednich. Dziesiątki milionów ton ładunków, zwożonych z całego świata na teren wojny: amunicji, benzyny, armat, samolotów, żywności i różnych surowców do fabryk angielskich, szły na dno morza. Dużo marynarzy zaczęło uciekać ze statków. Zostali tylko najhartowniejsi. Polacy nie mogli uciekać. Czyżby śmieli potem wrócić do Kraju? — a każdy chciał wrócić. Anglicy wycofywali się z frontów i przygotowywali wojnę dziesięcioletnią. Amerykanie nie byli gotowi. Polacy ich za to nie kochali, widząc że nim wygrają wojnę, to ich rodaków w kraju już nie będzie. Ponieważ nie mogli wpłynąć na przyspieszenie wojny, obowiązkiem ich było „bić się zawsze i wszędzie”. Niemcy mając jeden front, bili Sowiety na tymże froncie. To było najgorsze, wiadomo bowiem że potem by rozgromili Anglię i Amerykę.

Widok dziewczyny kazał chłopcom zapomnieć o wojnie, byli przecież młodzi. Kiedy zaczynali się uśmiechać do niej, szturman ich przywołał:

— Służa się otwiera —

Skoczyli do stalówek, wypuścili luzu — Ciągnęli je na windzie, układając na pokładzie w równe kręgi. Jeszcze końce były za burtą, kiedy dziób odszedł od brzegu, za nim rufa i statek wysunął się przez otwartą służę w kanał. Szedł wolno wąskim kanałem. Po obu stronach biegły szosy, a przy nich ciągnęły się domki z ogródkami i kamieniczki osiedla. Na szosach rwały w pędzie świecące limuzyny, pękate, piętrowe autobusy zapchane pasażerami, ciężko ładowne lory. Wszystko maleństwa — „Obotryta” miał w sobie tysiąc razy więcej ładunku niż największy z nich. Sunął wolno wąskim gościńcem kanału przez miasteczko, sam podobny do wielkiej stałej budowli w jego panoramie. Przechodnie skręcali głowy, spoglądali na banderę i szli dalej.

Po wyjściu ze służy, chłopcy skoczyli do messy, by wypić kubek gorącej herbaty. Potem wychodzili pojedynczo, szli na ostatni luk i siadali. Kanałem Manchester' skim szli już kilka razy, wszystko jednak było ciekawe nawet zabawne. Płynęli a wody wokół nich nie było widać ani skrawka, tylko stłoczone domy, fabryki i pędzące wzdłuż nich samochody. Dziwne to było dla ich oczu, przyzwyczajonych widzieć bezkres wody, przykrwty jasnym kloszem nieba. Przed nimi kanał się zwał, pokazując otwarty most. Z obu stron kanału stała ciżba ludzi,

czekających by przejść na drugą stronę kanału. Czekali aż statek przejdzie i most się zamknie. Stojąc bezczynnie, przyglądali się z radością przesuwającemu się statkowi. Domyślali się że z daleka przychodzi, może wiezie żywność dla nich. Kiedy przechodzili koło samego mostu, ciżba ludzi opartych o barierki była tak blisko, że można ich było prawie dotknąć wyciągniętą ręką. Tłumek był radosny i żywy, na statku zaś zapanował nastrój jak przy żegludze przez Atlantyk. Roześmiane dziewczyny nie mogąc znieść takiego spokoju, machały do nich rękami. Któraś krzyknęła piskliwie —

— Hallo Poles!

Chłopaki odpowiedzieli jej śmiechem. Któryś wyjął czekoladę z kieszeni i rzucił w sam środek ciżby. Podniosły się krzyki i piski walczących o nią. Rozbawieni tym chłopcy, rzucali papierosy które mieli w kieszeniach. Już kiedy minęli most, słychać było jeszcze przyjazne wołania. Kilka młodych dziewczyn jechało obok nich na rowerach i przyglądało im się. Nie wiadomo skąd pojawiła się gromada dzieci i wyrostków; biegli za statkiem z obu stron kanału, wołając do nich przyjacielsko. Poprzymosili wtedy swoje owoce, które zaoszczędzili z kilku poprzednich obiadów i porzucali je na brzeg. Młodzi wisusi rzucili się na nie z taką zaciętością, że zdawało się iż wpadną do kanału. Dziewczyny jadące na rowerach, poschodziły z nich i też wzięły udział w bitwie o jabłka. Nie łatwo im je było zdobyć — Już panny — starsze i roślejsze od chłopaków, ruszały się niedołącznie i bez zacięcia. Jakiś młody chłopak o czerwonych włosach, był tak zręczny że wydierał im owoce niemal z rąk. Kiedy go chciały obić, zawsze uciekał. Był tak sprytnym że szkoda mu było czasu na bijatykę, myślał tylko o łapaniu jabłek. Na statku mieli z tego wesołą zabawę. Rzucali teraz tak, by rudy chłopak więcej nie mógł złapać, rzucali do tych, którzy jeszcze nic nie mieli. Dziewczynki były bardzo grzeczne, za każdy owoc lub czekoladkę dziękowały im ładnie. Wywoływało to głośnie, radosne śmiechy na statku. Nie mieli już nic dobrego co by mogło iść za burzę, jednak biegnąca za statkiem gromadka stale się zwiększała. Kajtek wyrzucił swoje ostatnie pomarańcze, Chrystian resztki zaoszczędzonej czekolady z całego rejsu. Młode łobuzy znów radośnie zawyli, ciesząc się zdobyczą. Potem choć już nie ze statku nie leciało na brzeg, gromadka jednak długo towarzyszyła im. Dzieci przyglądały im się bardzo przyjaźnie i z największą ciekawością. Może w życiu nigdy nie widziały Polaków i takiego statku, który tak szczerze z nimi się dzielił smakołykami, jakich podczas wojny niepodobna była kupić.

Siedząc na luku, śmiali się z zadowolenia. Już tyle lat nie byli w Polsce — nie mieli z kim się dzielić swoim skromnym bogactwem, które zapracowali. Mieli radość w tym obdarzaniu obcych, jakby to były ich własne polskie dzieci. Chrystian cieszył się że w tak śmieszny sposób pozbył się swojej czekolady, której prawie nigdy nie jadł. Swoje tygodniowe racje odkładał, aż w końcu zabierał mu je Kajtek lub kucharz. Sam twardy młodzian, miał do niej pogardę, jak do wszystkich smakołyków którymi objadają się dzieci i dziewczęta. Był jeszcze bardzo młodym, lecz za najlepsze uważał duży kawał dobrego mięsa.

Za ostatnim domem dzieci zostały. Z obu stron kanału leżały płaskie pola o martwej zimowej zieleni. Tę zieleń można w Anglii widzieć w ciągu całej bezśnieżnej zimy. Kapryśne angielskie słońce grzało w marcu cieplej niż nieraz latem. Wiatru nie było ani trochę. W południe było tak ciepło że

chłopcy porozpinali swoje kurtki i legli na brezencie ostatniego luku. Nie mieli pracy. Bałmy podnieśli w górę poprzedniego dnia, kiedy stali na redzie. Przy kole stał kanałowy sternik. Pokład był tak załadowany, że z trudnością tylko można było przechodzić. Leżeli na ciepłym brezencie i odpoczywali z przy-
mkniętymi oczyma. Było tak cicho że słycać było oddech śpiącego. Chrystian spojrział na niego i też legł przy nim. W zupełnej ciszy nie słycać było nawet szumu wolno pracującej maszyny. Pokład nie drżał. Przez otwarte oczy Chrystian widział czarny bok lokomotywy, wyżej nad nim jasny błękit nieba. Kiedy się miał już zdrzemnąć, naszły go myśli:

Ostatnia podróż znów im się udała, choć była najcięższa ze wszystkich. Jak tylko opuścili Nowy York od razu było słycać łodzie podwodne. Od kiedy Amerykanie wprowadzili latające blimsy, zdawało się, że przy brzegach trzymają wszystko w garści i łodzie będą musiały odejść dalej. Wichura była jednak taka że blimsy nie mogły latać. Chociaż bomby głębinowe mieszały wodę dzień i noc, drugiej nocy dwa statki poszły na dno. By ominąć łodzie podwodne, które chodziły w wilczych gromadach po dziesięć i nawet dwadzieścia, konwój poszedł północnym szlakiem. Pod Grenlandią wpadli w śnieżny sztorm, który zdawało się że rozpedzi konwój. Nic wtedy nie było widać ani statków ani sygnałów. Przez trzy dni było tylko szaro. Wicher dał pyłem śnieżnym. Statki dopiero wtedy się widziało gdy wpadały na siebie. Nie poszedł jednak żaden na dno, choć kilka z nich miało pogieęte dzioby, rufy i burty. Szli wtedy bardzo wolno. Taka żegluga więcej targała nerwy niż walka z łodziami na południowym szlaku. Wicher tłumił odgłos trąbienia statków, kręcił ich głosami że trudno było je umiejscowić. Kurzawa była taka że się zdawało iż oczy wysiecze lub zaklei. Kiedy minęło się Islandię, znów cztery noce nie można było spać. Czwartej nocy rozszalało prawdziwe piekło. W środku konwoju statek z amunicją rzygał raz po raz ogniem eksplozji. Statki płynące w pobliżu, uciekały od niego jak mogły. Łodzie podwodne nie miały tu jednak szczęścia, dwie zostały zatopione a trzecia prawdopodobnie uległa również temu losowi. Przy Anglii znów mgły. Teraz piękna pogoda daje im wypoczynek. Załoga zdawała się ożywiać powiewem z przyjaznego lądu, mimo iż nerwy miała napięte do ostateczności. Zawsze należało się obawiać że wezmą swoje worki lub że nawet bez nich uciekną na ląd. Oficerowie nie wiedzieli o tym, mało ich to obchodziło. Kapitan na wysokim mostku nie istniał dla nich. Z załogą miał łączność przez swoich oficerów.

Już pół roku, jak nie macie delegata załogowego — Ciął jej Chrystian. Zbierzmy się, wybierzmy jednego — radźmy razem, niech delegat załatwia sprawy z kapitanem.

Odtąd Chrystian był delegatem.

Po dłuższej rozmowie z kapitanem załatwił sprawy sporne. Oficerowie nie mieli już uprzywilejowanego życia, według starego zwyczaju. Byli teraz twardzi. Za najbłahsze uchybienie obowiązkom, były ciągłe skargi. Na wachtach nie odzywali się do marynarzy jednym słowem. Zawsze bvli wymagający i służbowi. Chłopcy wrzeli — długo rozmawiali z sobą i klęli na wszystko. Ta chwilowa niezawistość była dla nich tak twarda, że zdawało się iż ulegną i znów będą ślepo podlegli. Poprzedni bałagan był daleko lżejszym dla nich. Znów Chrystian ich przekonał — że to tylko z początku będą takimi aż się wszystko unormuje. Zrobią z nas doskonałych marynarzy,

stając się sami dobrymi oficerami. Żądając od nas uczciwej pracy — kiedy ją mamy, sami też muszą ją dać, a jeśli nie to oni zejda ze statku. Odtąd pracowali jak nigdy, biorąc statek w swoje niewidoczne posiadanie. Oficerowie Chrystiana nie znosili. Raz na mostku drugi oficer powiedział mu:

— Tak panie Troszczyński my wiemy o tym — Pomimo że jest pan dobrym i obowiązkowym marynarzem, najwyższym marzeniem pana byłoby związać nas oficerów, lub wrzucić do morza, wywiesić sierp i młot na gaflu i płynąć bodaj do Murmańska. Zapewniam pana dopóki my jesteśmy na „Obotrycie” nie nastąpi nic podobnego co na „Bounty”.

— Moim najwyższym pragnieniem jest dopłynąć do Gdyni, odpowiedział mu Chrystian.

Później kiedy się zwracał do niego podczas pracy lub wachty, nie wołał po nazwisku, tylko mówił „komunista”.

— Ej! Zawołaj no „komunistę” mówił do drugich, kiedy go potrzebowali.

Chrystianowi nie uchybiało to wcale. Przeciwnie, w głębi duszy sprawiało mu to niewymowną radość. Był dumny że jest rewolucjonistą, dlatego był skromnym w życiu. Jego prostota, szczerść i odwaga, ubezwładniały nawet jego przeciwników. Był jak najbardziej pokojowo usposobiony. Nie mogli by go jednak łatwo fizycznie skrzywdzić. Był więcej niż średniego wzrostu, siedemdziesiąt kilo jego wagi, były to kości dobrze pokryte grubymi mięśniami. W jego delikatnej twarzy nie skażonej pijaństwem, tkwiły szare oczy o zielonym odcieniu, umiały się one śmiać, umiały też silnie patrzeć. Ciemno blond włosy zrudziały od słońca, w nieładzie skręcały się w fale.

Po jakimś czasie kiedy rozmawiał z kapitanem, tenże mu mówił:

— Kiedy pana wybrali delegatem, wszyscyśmy myśleli że na statku będą ciągle burdy, że wszystko zburzycie. Oficerowie nazywają pana „komunistą”, mówił dziwnym tonem.

— Komuna nie burzy panie kapitanie, komuna buduje — odpowiedział Chrystian. Burzą tylko ci którzy chcą trwać w starym bałaganie.

Kapitan był zadowolony z porządku panującego na statku. Nawet oficerowie byli teraz w stosunku do niego bardziej układni, jak powiedział w kilku słowach.

Chrystian więcej się interesował statkiem, lepiej znał ludzi i sytuację na nim, niż sam kapitan. Więcej też o statku myślał niż kapitan, siedzący stale w swoim salonie. Kłopotów miał aż nadto. Kiedy załoga rozmawiała o kolejach wojny, w głosach ich słychać było przygnębienie; często mu niektórzy wyrzucał:

— Patrz Chrystian twoje Sowiety są bite, bardzo bite. Ten kraj coś nam zawsze mówił że Niemców zetrze w proch.

— Życia nam braknie nim wygramy wojnę, podchwytywali drudzy.

— Pijmy!

I pili — a Chrystian chodził sam. Wszędzie gdzie mógł nadśluchiwał o wydarzeniach wojennych, czytał o polityce w gazetach, nic się nie miało na lepsze. Anglia i Ameryka nie miały najmniejszej chęci stworzenia drugiego frontu na kontynencie europejskim. Wtedy ciężiej pracował i już im nic nie mówił. Potrafił trwać w spokoju i śmiać się kiedy trzeba było by nie osaleć. Wtedy inni też się śmiali mówiąc:

— Patrzcie — cieszy się jakby jechał do Gdyni.

— Już niedługo a pojedziemy wszyscy, mówił zanosząc się od śmiechu.

Ostatnio wszyscy tak zobojeźnieli że ruszali się jak we śnie. To było najgorsze. Chrystian nie wiedział jak temu zaradzić. Teraz może kto przyjdzie ze Związku Marynarzy i pomoże mu. Przecież już rok czasu jak są na długich rejsach i nie mają żadnego kontaktu ze Związkiem. Po tych rozmyślaniach zdawało mu się że znalazł wyjście. Przymrużył oczy, ciężki oddech śpiącego obok kolegi skłaniał go do snu.

Już drzemał kiedy go podniosły na nogi piski z łądu i krzyki z rufy. Kiedy tam przybiegł, miał ładny widok: Kajtek krzyczał jakieś dowcipy a z łądu odpowiadały mu zanoszące się od śmiechu dziewczęce głosy. Smarownik w zaświegotanej smarami koszuli i umorusany na twarzy, śmiał się radośnie jak diabeł, machając ciągle ręką podniesioną ku górze. Na płaskim polu przylegającym do kanału, kilkanaście dziewcząt z Women's Land Army zbierało kamienie na kupki, i woziło je na taczkach, przygotowując pole pod uprawę. Przerwały pracę, patrzyły na przechodzący statek i zaśmiewały się do marynarzy. Były to powabne dziwy, zdrowe jak rzepy. Bufiaste spodnie uwydatniały ich kobiecość, zielone opięte swetry pokazywały ich bujne wdzięki. Czerwone od wiatru buzie były krwiste pełne zdrowia.

— Morowe dziwy rzucił smarownik.

— Morowe, odpowiedział Kajtek. Nie ma takich w żadnej służbie jak w Land Army.

Statek szybko je zostawiał w tyle. Patrzyły jeszcze, podnosiły motyki na pożegnanie, aż zabrały się do pracy. Blokada niemiecka dawała się mocno Anglikom we znaki. Statek szedł ciągle wąskim kanałem. Brudna czarna woda często śmierdziała. Było płytko, śruba miała czarny lepki muł dna. Z godzinę przed zmrokiem wchodzili do portu.

Statek skierował się w lewo w podłużny basen, leżący w poprzek kanału. Wpłynął przez ciasne przejście następnego dużego basenu. Szedł wciąż naprzód, śruba co chwilę stawała, swoim bezwładem dziesięciu tysięcy ton posuwał się przed siebie. W końcu basenu stał Panamczyk, bliżej Anglik, między nimi była luka wolnego nadbrzeża, jak na miarę dla nich. Podeszli dziobem do nadbrzeża. W ostatniej chwili chłopak pokładowy wsunął fender, między burtę a cementowe nadbrzeże. Podali szpring. Kręcący się przy nich mały holownik, dopchnął im rufę do nadbrzeża. Z dziobu poszły na brzeg dwie stalówki i gruba manila. Całą pracę wykonali w ciągu piętnastu minut bez jednego słowa. Bosman jeździł windą, chłopcy uwijali się w skok przy linach, szturman patrzył za rufę i dawał znak podniesioną dłonią kiedy trzeba było ciągnąć. Kiedy zatrzymywał dłoń nieruchomo ustawiali w tej pracy. Potem znowu z furią rzucali się na liny i wiązali na polerach.

Z rufy Panamczyka przyglądali się przez cały czas ich pracy czarni, skośnoocy i biali Amerykanie. Uśmiechali się do siebie i kiwali głowami z uznaniem. Nie wiedzieli że ludzie spod nieznanej im bandery pływają po morzach. Nie często jednak widywali tak zręczne cumowanie.

Kiedy szturman krzyknął na mostek gotowe — i pilot odkiwnął mu spokojnie głową, zeszli wszyscy z dziobu by wyrzucić trap. Skoro przyszli na śródokręcie, trap już leżał na lądzie a chłopcy z rufy zakładali na nim poręczę. Wszedł na statek agent kompanijny z paczką listów. Chłopcy hurmem za nim rzucili się do salonu. Weszli robotnicy, przyglądali się zamoco-

waniom lokomotyw, zaczęli je zdejmować, by następnego ranka, mogli je przenieść na ląd wielkim pływającym kranem. Po drugiej stronie kanału zachodziło słońce, za Amerykana najeżonego masztami. Zniknęło, pozostawiając na niebie gorejącą czerwien, ubrudzoną dymem wielkiego miasta. Niebo coraz bardziej szarzało, w basenie między statkami kładł się cień.

Chrystian wyszedł na ląd ze smarownikiem i Kajtkiem. Smarownik lubił Chrystiana za jego prostotę i szczerść. Przebywanie z nim dawało mu wypoczynek, bawiło i ożywiało go. Zawsze gorąco stawał po jego stronie kiedy Chrystian prowadził długie rozmowy polityczne ze wszystkimi. Rozmowy często przechodziły w kłótnie. Ciężko pracujący ludzie na statku, zawsze gotowi szafować krwią dla dobrej sprawy, często gubili się w dyskusji. Ludzie stojący na czele kierowania ich walką, nie rozumieli ich i nie znali. Cele ich były różne. Ich Polska też była różna. Często klęli dygnitarzy, którzy bezpiecznie z przepychem mieszkali na lądzie, którzy patriotyzm mieli stale na kłamliwych ustach, myśląc jedynie o napełnieniu kieszeni funtami. Na statku leżały zawsze sterty gazet, broszur i książek; były one pełne pochwały i mszalnego dziękczynienia, dla dygnitarzy za ich heroiczne wysiłki i dzielność bohaterów. Pokazywały wielce czcigodnych panów, których należało otaczać czcią. Bzdury te nie przyjmowały się wśród czytających je ludzi na statku. Często osiągały cel wręcz przeciwny, wywołując tylko śmiechy i klątwy. Ludzie jednak męczyli się tym okropnie, byli podobni do ślepców, którzy nie wiedzieli gdzie są i dokąd idą. Przewodnikom swoim nie wierzyli, czuli że ci chcą ich oszukać i wepchnąć w przepaść nędzy.

Chrystian przyszedł do nich wówczas ze swoim socjalizmem, śmiało i szczerze jako z ideą która jedynie może ich ocalić od zupełnego upadku moralnego. Wśród wybuchów szalonych dyskusji idea się przyjęła. Nim to nastąpiło, Chrystian staczał ciężkie walki prawie ze wszystkimi. Znali tylko najprostsze założenia tej idei, zgadzali się z nimi i z Chrystianem, pod którego wpływem pozostawali. Odkąd mu uwierzyli, czuli się lepiej. Na statku nie było bałaganu i większą możliwością stawał się powrót z dalekiego rejsu do ich Gdyni.

Kajtek był kiedyś jego najzawziętszym przeciwnikiem. Sowiety u niego były Rosją sprzed pół wieku. Rząd w Polsce był po to by brać, nie dając nic w zamian. Wykombinował sobie że zawsze mu się więcej zostanie, gdy będzie miał dużo. Rząd był zawsze przyjacielem bogatych i nieprzejednanym wrogiem biednych. Dlatego starał się zdobyć majątek. Szmuglował po świecie pływając na statkach. Cóż że kradł obcych — przyjedzie do Polski i w Gdańsku założy wielki bar.. Oczywiście gdyby był w Polsce okradałby swoich. Posiadał wychowanie, które w Polsce miała większość młodzieńców. Chrystian silniej wpłynął na niego swoją indywidualnością. Kajtek widział w nim człowieka. Można się z nim było nie zgadzać nawet bić, słowem jego jednak trzeba było ufać i koleżeństwu miał w sobie tyle co cała załoga na statku.

Szli teraz wszyscy trzej razem, między licznymi torami kolejowymi. Czysty smarownik w ubraniu wyjściowym i w eleganckim sakpalcie, wyglądał przy nich jak oficer. Chrystian z Kajtkiem szli wprost od pracy tak jak cumowali statek, nie zmieniawszy ubioru. Umyli tylko ręce, narzucili krótkie, amerykańskie nieprzemakalne kurty, o ciepłej podszewce, z koca wełnianego. Mało rozmawiali z sobą, w mroku uważali na

ciągle krzyżujące się szyny, by nie upaść. Na torach widać było więcej marynarzy z innych statków stojących w basenie, którzy jak oni kierowali się do miasta. Za bramą portu wsiedli do zaciemnionego tramwaju, który szczelnie był wypełniony robotnikami portowymi i chłopcami ze statków. Na jakimś placu wysiedli z tramwaju. W mroku wymijali wolno idących ludzi. Pomimo dużej uwagi i szeroko otwartych oczu, czasami zderzali się z nimi. Przepraszali się wzajemnie i szli dalej. Nie było nawet wiadomym kto powodował zderzenia. Wszystkiemu była winna ciemność. Lampy uliczne świeciły mocno przytłumionym światłem, od góry były osłonięte kloszami, u dołu tylko sączyły światło, które było tak nikłe, że ginęło nie padając nawet na jezdnię. Świeciły tylko dla orientacji, obramowywały kontury placów i wskazywały kierunki ulic. Anglicy byli tak przyzwyczajeni do tych zderzeń, że nie gniewali się za nie wcale. Zatrzymali się na skrzyżowaniu ulic. Auta szybko przejeżdżały. Sunęły za swoimi kocimi ślepiami miast reflektorów. Tylnie czerwone światelka były wyraziste i jaskrawe. Kiedy czerwone światło regulujące ruch zniknęło i pokazało się zielone, szybko przeszli na drugą stronę jezdni. Tu skręcając w lewo, zderzyli się z grupą szybko idących dziewcząt. Nie gniewały się, kiedy je zaczęły przeproszać, lecz wybuchnęły głośnym wesołym śmiechem. Zderzenia na ogół słabe i nie bolesne, należały do żartów wojennych młodzieży. Trafiały się jednak i takie, kiedy idący przy swej największej szybkości wpadali na siebie, podbijali sobie oczy i rozbijali nosy. Na ogół były to rzadkie wypadki. Starzy ludzie wieczorami zostawali w domu, za to młodzi wólczyli się z większą radością, niż po jasno oświetlonych ulicach. Tłum ludzi płynął chodnikiem w różne strony. Ludzie szli żywo, rozmawiając ze sobą. Co chwila mijali ich jacyś żołnierze, na ulicy było ich pełno. Szli po żołniersku, przyspiewując sobie piosenki. Inni zawadiacko trzymali się z pannami w pół i paradowali wolno ulicą.

— Czy nie zauważyliście, mówił Kajtek, że Anglicy ruszają się żywiej i są weselsi niż za poprzednich rejsów.

— Ciekaw jestem co się z nimi mogło stać, dziwił się smarownik, może wojna jest tak beznadziejna że chcą umrzeć na wesoło. Wszystkiego po nich można się spodziewać.

— Wolałbym wszystkiego spodziewać się na lepsze — odpowiedział Chrystian.

— My też! — zawtórowali mu.

Skierowali się ku wejściu domu. Jasno oświetlonymi schodami pięli się w górę. Szli pewnie, jakby poprzednio już tu byli i znali to miejsce. Na pierwszym piętrze przez szklane drzwi widzieli w jasnej sali różnokolorowe przewiewne sukienki dziewcząt i granat zmieszanych z nimi marynarzy eleganckich i strojnych jakby od dłuższego czasu byli już na lądzie. Orkiestra na maleńkim podium odpoczywała w przerwie. Pięli się schodami na drugie piętro do baru, na tradycyjną jedną wódkę. Gdy weszli do baru, lokalu tej samej wielkości co i piętro niżej gdzie były tańce, zatrzymali się na chwilę przy drzwiach. Sala wrzała od rozmów, krzyków i śmiechu, kłębiła się burzliwymi ludźmi z morza, jakby była wypełniona wulkaniczną lawą. Anglicy ze spokojem ciągnęli swoje kwarty z piwem. Amerykanie wrzaskliwie rozmawiali z sobą. Przystojni Skandynawowie przyglądali się wszystkiemu z dziecięcym wyrazem twarzy. Ciężcy Holendrzy byli sami z sobą. Murzyni chichotali zanosząc się od prymitywnego szczerego śmiechu. Francuzi i Hiszpanie między sobą

uśmiechali się słabo, byli przytłoczeni brutalną siłą ludzi z północy. Byli nawet skośnoocy i wyspiarze z mórz południowych, Malaje i Filipińczycy. Istny Babilon. Wszystkie stoliki były zajęte. Inni nie mając gdzie usiąść, stali poza plecami swoich kolegów i nachylali tylko od czasu do czasu swoje szklanki. Biła z nich świeżość, jaką mają ludzie, którzy po ukończeniu długiego rejsu, idą na pierwszy kieliszek. Kajtek a za nim Chrystian i smarownik, z trudem przecisnęli się do lady barowej. Po dłuższym staniu w kolejce, z wódką i z piwem odeszli do okna. Tu trącili się, zapili piwem, odstawili szklanki na parapecie okna i zapalili papierosy. W największym zdziwieniu spoglądali na salę, nie mogąc pojąć burzliwej radości swoich kolegów z morza. Byli tu kilka razy w poprzednich rejsach, zawsze widzieli ludzi spokojnych jak na statkach, w żegludze na najniebezpieczniejszym Atlantyku, przygnębionych wojną lub pijanych, najchętniej biorących się za łby. Jakże innymi byli teraz. Na twarzach nie malował się spokój ani przygnębienie. Języki im się rozwiązały, na twarze śmiech siłą się wcisnął. Przy ladzie barowej z dziesięć dziewcząt przewracało oczyma jakby chciało tchu złapać przy wytężonej pracy. Krzyki marynarzy dodawały im siły, napełniały szklanki szybciej i podawały chłopakom rzucającym niedbale pieniądze. Ich radość była tak kipiąca że zdawało się, iż znów najchętniej by ją wyładowali w bójce. Jakże jednak mieli się bić, kiedy nic w nich teraz nie było złości, całą więc agresywność wyładowywali w wychylaniu szlanek. Częstoowali się wzajemnie wódką, podawali sobie nawet pieniądze, dzieląc się nimi wzajemnie. Z sali dolatywały ich ciągłe okrzyki:

- Red Army!
- Soviet Union!
- Victory!
- Huns!

Przy ostatnim słowie słychać zawsze było ciężkie przekleństwa, jakie się słyszy na statkach.

W rogu sali stali Norwedzy, w dunkrach i niebieskich koszulach. Mieli brudne twarze i ręce w podwiniętych za łokcie rękawach. Przyszli jak ukończyli pracę, ci najdostojniejsi marynarze. Trącili się teraz kuflami pełnymi piwa, śpiewali żywą norweską polkę i tańczyli pojedynczo z wzniesionymi szklanicami w swoim ciasnym kącie. Kiedy tańczący robił śmieszne pląsy, przerywali śpiew i ryczeli ze śmiechu. Na sali nie było ani jednej kobiety, z wyjątkiem dziesięciu stojących za szansem lady barowej pańien, ciskających w szalejących mężczyzn, bombami z piwem i groźniejszymi małymi pociskami szlachetnych wódek. Mężczyźni byli sami z sobą i tylko tacy co uważali że mają prawo pić, zasłużwszy sobie na to niebezpieczną podróżą. Nawet tony muzyki z piętra niżej nie dochodziły tu wcale. Kiedy panny przychodziły z chłopcami by się napić, stawały jak wryte w ziemię, nie miały odwagi iść dalej, otwierały szeroko oczy i uciekały z powrotem. Przy następnym oknie stała gromadka Chińczyków. Ubrani byli lepiej od innych. Ci najlepsi kucharze i stewardzi wyglądali jak właściciele kompanii okrętowej, obok najlepszych marynarzy Norwegów, ubranych niedbale jak piraci. O dziwo — z Chińczyków nawet spadła ich maska niezrozumiałości uczuć. Wąskie ich źrenice błyszczały ogniem, twarze oblały się radością. Pohukiwali głośno swoją mową, która ma w swoim języku moc słów składających się z dwu liter.

Nic nie rozumieli, nawet Chrystian nie mógł nic wymiarkować w tym wielkim hałasie. Czyżby złorzeczyli Sowietom, myślał sobie. Gazety zawsze wrogo pisały o Sowietach, i posądzały je że chcą porozumieć się z Niemcami i wspólnie wygrać wojnę. Chrystian nigdy w to nie wierzył. Lecz ci ludzie po trzech latach ciężkiej wojny, nie wiedzieli już skąd idzie prawda, a skąd kłamstwo. Przed nimi przy najbliższym stoliku, byli zmieszani Anglicy z Amerykanami, jedni siedzieli drudzy stali wokół nich. Między nimi było kilku oficerów, tak Anglików jak i Amerykanów. Widać było że te dwa narody mówiące jednym językiem są jednak różne. Amerykanie zdawało się że chcą przekonać słuchających samym głosem. Anglicy na to uśmiechali się i odpowiadali z anielskim spokojem.

To było za wiele dla Chrystiana. Ta zagadka która ludziom wzburzyła krew, rozwiązała języki i kazała pić więcej niż przy najgorszych rejsach. Postawił szklankę z piwem na parapecie okna i podszedł do ożywionej rozmową gromady.

— Co się stało że tak krzyczycie?

Na chwilę uciszyli się wszyscy. Kąciki ust zaczęły im drgać w drwiącym uśmiechu. Potem zachłysłeni się długim głośnym śmiechem. Kiedy się uciszyli, Chrystian nic więcej nie rozumiał jak poprzednio, toteż ze zdziwienia nie wiedział co z sobą począć.

— Człowieku nie wiesz nic? pytał go sponad głów Amerykanin.

— Nic — odpowiedział pytającym tonem.

Najbliższy przy nim rosnął chłop jak on, walnął go otwartą dłonią w plecy i rzucił otwarcie:

— To wiedz że Rosjanie wybili całą niemiecką armię; dwieście tysięcy do nogi i pół tyle wzięli do niewoli, w tym kilkudziesięciu generałów i samego marszałka.

Chrystian słuchał jakby nic nie rozumiał. Własną śmiercią, znalezieniem kochanej kobiety, czy końcem świata nie byłby więcej zaskoczony.

Barcysty chłopak dalej mu tłumaczył by mógł pojąć.

— Przed kilku dniami koło Stalingradu, Rosjanie zupełnie zniszczyli około trzydziestu dywizji niemieckich, w tym najlepsze dywizje SS, szturmowe, pancerne, artyleryjskie, wszystko samo wyborowe wojsko, to które szło w pierwszej grupie uderzeniowej.

Odwrocił twarz tchniętą radością. Przy nim stał smarownik i Kajtek. Musieli stać przy nim dłuższą chwilę i słyszeć wszystko, gdyż twarze ich miały ten sam wyraz co i jego. Patrzyli na siebie spokojnie potem oczy zaczęły im błyszczeć. Nic nie mówili, słowa były za marne, by oddać wrażenie jakie na nich zrobiło to zdarzenie.

Amerykanie już nie zważali na nich, zajęci dalej swoją rozmową. Na całej sali wszyscy mieli jeden temat. Rozmowa ich była wielka i bojowa. Tchnięci niezwykłą wiadomością, spodziewali się teraz więcej takich czynów. Ich obowiązkiem było wożenie do Anglii żywności, amunicji i benzyny lotniczej; od tych to ładunków, wielu już ich kolegów poszło do nieba. Wiele już razy zdawało się że i oni złożą tymże wizytę. Czyż nie mieli prawa żądać wielkich czynów bojowych na lądzie? — Byli wzburzeni — chłopaków z lądu zawsze potrafili wygrzmocić pięściami, ale to nie dowód by ci byli za niedołężni by bić Niemców. Byli wzburzeni, przy rozmowie często zaciskali dłonie, z oczu leciały im błyski.

— Kiedy żeście przyszli? pytał ich Amerykanin, ten sam co im wyjaśnił powód ożywienia kolegów.

— Wczoraj, odpowiedział Chrystian. Dziś przed wieczorem weszliśmy do portu.

— Skąd?

— Z Nowego Jorku.

— To przyszliśmy razem, mówił głosem jakim się mówi do towarzyszy, z którymi się odbyło razem niebezpieczną podróż.

— Czy wasz statek nie szedł pierwszy w ostatniej kolumnie?

— Tak-odpowiedział Chrystian jak znajomemu.

Jankes był bystrym chłopakiem, od razu ich znalazł. Po sposobie ubierania się, bycia i akcencie, poznał że są Polakami, a tylko jeden polski statek szedł w konwoju.

— Wojna weźmie teraz inny obrót — ciągnął dalej.

— Spodziewaliśmy się już tego jak wy przystąpiliście do wojny, odpowiedział Chrystian.

— Nie śmiecie się, wygraliśmy pierwszą wojnę światową, wygramy i drugą — odpowiedział pewnie Amerykanin.

— Długo jeszcze będziemy musieli wszystko zwozić statkami na tę stronę oceanu, nim będziemy gotowi, wtrącił amerykański oficer słuchający ich rozmowy.

— Jak długo? spytał Chrystian.

— Ciężko powiedzieć, może rok, może więcej. Amerykański żołnierz jest nie mniej dzielny i bitny jak sowiecki, nawykły jest jednak do wygod. Będzie złorzeczył i kłął wszystko, gdy mu braknie czekolady lub papierosów.

— Tak, Rosjanie są inni — odpowiedział Chrystian.

— Inni? — ba, zupełnie. Inni by już pomarli w tych śniegach, kiedy oni czują ogień w sobie przy najtęższym mrozie i idą do ataku.

Kiedy skończył, wyjął z kieszeni kilka angielskich funtów i wcisnął je stojącemu przy nim marynarzowi mówiąc:

— Przynieś jeszcze wódki.

Chłopak bez słowa poszedł do lady. Siedzący wokoło zaśmiali się z jego hojności. Na to on machnął ręką, jakby mówił że to nic, bo już niedługo nastąpi i tak koniec wojny.

— Będziecie się musieli spieszyć jeśli chcecie wygrać tę wojnę, jak poprzednią światową, rzucił Anglik Amerykanom.

Amerykanie wstrząsnęli głowami, jakby to było ciężkie zadanie, rywalizować z Rosjanami. Jeden z nich zaśmiał się i mówił:

— O Rosjanach wiedzieliśmy wszystko najgorsze. Wszystko okazuje się nieprawdą. Nic o nich nie wiemy. Po Stalingradzie można się spodziewać wszystkiego, nawet że w Berlinie będą pierwsi, zakończył słabym głosem.

— Teraz na nas kolej, my też musimy się bić. Było by to okropne gdybyśmy mieli wygrać wojnę sowieckimi zwycięstwami.

Oficer amerykański pierwszy wznosił szklankę.

— Zdrowie Sowietów!

— Zdrowie! odrzyknęli wszyscy wokoło i za nim wzniesli szklanki.

Z drugiego końca sali słyhać było melodię marsza Czerwonej Armii.

„Jeśli zawtra wojna...”

Podnieśli jeszcze raz szklanki. Marynarze wstawali od stolików i kierowali się do wyjścia. Przy drzwiach zrobił się zator z ciał. Ktoś zaczął śpiewać „Międzynarodówkę”, inni podchwy-

cili za nim. Zgiełk wrzawa i krzyk rozplynął się i zginął w śpiewie. Rewolucyjna melodia wypełniła salę pełną śpiewających marynarzy. Pogodzeni Amerykanie, Anglicy i Szkoci, znaleźli się w śpiewającej ciszbie, a z nimi Chrystian, smarownik i Kajtek.

Na ulicy śpiew wybuchnął z większą siłą, rozszedł się w czarnej nocy odbił o domy i płynął ulicą. Burzliwy był jak ludzie co śpiewali i szedł z nimi w stronę portu. Niektórzy szli ulicą nie mając miejsca na chodniku. Przechodnie przystawali, dziewczęta popiskiwały i wołały:

— Hallo sailors!

Inne przyłączały się do nich, szły razem i zawodziły melodie. Przechodnie radowali się niemniej niż oni. Będąc jednak ludźmi z ładu, nie umieli tak żywiołowo okazywać swej radości. Policjanci usuwali im się z drogi. Czegoś podobnego nie widzieli jeszcze od początku wojny, nie wiedzieli co się stało. Mogło być najlepsze, lub najgorsze — koniec wojny lub wybuch rewolucji. Zawsze obojętni, dobrotliwie zostawali się w tyle i dalej dziwowali. Widywali tych chłopaków przychodzących z morza, spokojnych, ponurych nieraz prawie złamanym, awanturujących się tak, że wszyscy wtedy uciekali od nich. Teraz szedł z nimi tłum ludzi z ładu, cieszący się ich radością. Chłopcy z morza byli wyrazicielami opinii tłumy, tak głośno i żywiołowo jak ten tłum zawsze chciał, tylko brak mu było siły. Kiedy skończyli śpiewać, zaszumieli w głośnej rozmowie. Potem wzbity się w górę rozdzierając noc gromkie okrzyki;

— Niech żyje Armia Czerwona!

— Niech żyją Sowiety!

— Na kontynent!

— Płyniemy do Francji!

Ciemność wypełnił radosny niepokój, jak przed wielkimi zdarzeniami, które mają nastąpić, które już są w powietrzu, które mają spłynąć na ziemię burzą piorunów, poprzedzającą błogosławiony deszcz, po którym będzie cicho, spokojnie i radośnie, z tęczą na plecach uciekającej burzy, że więcej nie przyjdzie. Potem pola pokryją się życiodajną zielenią. W słońce wleczą śpiewające ptaki. Ludzie odczuwają radość życia i zapragną zeń korzystać.

Chrystianowi kręciło się w oczach, trudno mu było w to uwierzyć. Zawsze mu się chciało krzyczeć takie słowa najgłośniej. Był jednak teraz najspokojniejszym z całej gromady: W chwilach największego uniesienia, zawsze myśli zalewały mu głowę. Myślał i teraz. Wiedział że to dopiero początek największego natężenia sił, do wielkiej pracy i krwawych bojów. Najważniejsze że ludzie wierzyli w zwycięstwo. Ludzie z radością umierają, mając w sercach wiarę w zwycięstwo, kiedy jednak są przegnębieni klęską, umierają z rozpaczą. Dziwni są ludzie, myślał, jednak tacy są.

Znów w niebo wzbija się melodyjna „Marsylianka”, kilka głosów śpiewało ją po francusku. Dźwięczała miękko i słodko przy całej swej burzliwej sile. Pełna temperamentu jak Francuzi co ją śpiewali, ta najpiękniejsza melodia zwycięskiej rewolucji — zwycięskiej ludzkości. Anglicy i Amerykanie byli zdziwieni, że może być coś tak pięknego nie w ich języku, szli wsłuchani, ci którzy musieli coś mówić, czynili to ciszej. Różnojęzyczny tłum marynarzy miał wspólną mowę: rozbić Niemcy, by potem pod własnymi banderami płynąć do swoich rodzinnych krajów. Ożywieni zwycięstwem Rosjan, gotowi znów byli żeglować po

niebezpiecznych wodach i przywozić z całego świata wszystko, czego potrzeba do zwycięstwa. Gotowi byli nawet wdrzeć się na kontynent zajęty przez Niemców. Ciężka wojna na morzach miała być jeszcze trudniejszą. W bliskiej przyszłości, na statkach inwazyjnych, w pierwszej grupie uderzeniowej będą się wdzierać w brzegi Francji, Włoch, Grecji czy Norwegii. Gotowi byli na to. Gruby sierp księżycy wyszedł znad dachów kamienic, zalał ulice blado niebieską poświatą. Na księżycowym błękitcie nieba, gonily się jak dla zabawy jaśniejsze smugi reflektorów. Zenitówki nie odzywały się swoimi jęklivymi tonami. Dziwne — była przecież wojna. Może w taką jasną noc, tysiące niemieckich samolotów płynęło nad ziemią sowiecką. Dziwne — Rosjanie umieli jednak zwyciężać. Tłumek marynarzy kierował się w stronę portu. Rozbawieni i rozśpiewani, szli wesoło. Towaryższące im dziewczyny uwieszały się u mocnych ramion, zaśmiewały się przyjaźnie i śpiewały ładnie. Były jednak zawiedzione. Chłopcy mieli tylko wojnę w krwi i o niej myśleli. Na dziewczęce zaloty nie odpowiadali wcale. Ich męska duma przypominała im toczącą się wojnę. Przyjdą do nich po skończonej wojnie, jako zwycięzcy. Wtedy w ich słodkiej kobiecej pieszczocie, odpoczną po trudach, zapomną o okropnościach wojny i staną się innymi ludźmi. Przed bramą portową zatrzymały się dziewczyny i wyrostki, które miast spać szły z nimi. Żegnali się, marynarze zuchwale wołali:

— Żeglujemy na kontynent!

Inni drwiąco wtórowali:

— Spróbujemy francuskiego wina!

Tłum wciąż niknął. Chłopcy odłączali się, idąc najbliższymi drogami na swoje statki, porzucane po różnych basenach i nadbrzeżach.

Przeszli przez tory gdzie stał „Obotryta”. Z pokładu przyglądał się ich sunącym sylwetkom, wachtowy przy trapie.

— Co żeście słyszeli na lądzie? pytał ich głosem który zdradzał że już wie wszystko.

— Słyszeliśmy — słyszeliśmy — odpowiedzieli mu wszyscy trzej.

W przejściu przy burcie stało kilku chłopaków.

— No co! odezwał się głos.

— Nic — odpowiedział Chrystian.

Cóż tu było do mówienia kiedy wszyscy wiedzieli o wszystkim.

— Ale patrzta jak Angliki poweseleli, mówił z przejściem kucharz.

Wybuchnęli wszyscy śmiechem, to było prawdą. Zawsze im się zdawało, że nic nie jest w stanie ich wzruszyć, aż tu nagle radowali się jak wszyscy inni ludzie.

Przez otwarte drzwi, było widać całą załogę w jasno oświetlonej kuchni. Chłopcy z pokładu i z maszyny, przepychali się w wąskim przejściu, krajali chleb, zaglądali do wszystkich schowków szukając mięsa. Kiedy je znaleźli, dzielili się. Brali duże kawały w dłonie i jedli z chlebem. Ku największej radości, ktoś wyszperał talerz pełen ogórków. W jednej chwili stłoczyli się wszyscy i opróżnili talerz. Zaparziali herbatę i kawę, rozlewali w kubki, mieszały z dużą ilością mleka i cukru. Potem brali kubki w dłonie i wolno sączyli gorący napój. Przyjemny zapach drażnił ich nozdrza, smak wypełniał im usta. Ku utrapieniu kucharza te najścia nocne z ladu na kuchnię na „Obotrycie” weszły już w zwyczaj. Kucharz nawet zawsze przypominał chłopakowi, by nalał pełen sagan wody po zakończeniu pracy, by chłopcy

kiedy przyjdą z łądu mogli się napić herbaty i kawy. Wachtowy był zobowiązany zawsze podtrzymywać ogień w kuchni. Twarze wszystkich błyszczały radością. Byli tak wstrząśnięci wiadomością z łądu, że nawet mało mówili. Było to wszystko jak złudna bajka po trzech latach ciągłego brania w skórę. Przez ten okres czasu tłukli się po morzach jak psy, tonęli jak szczury. Wozili wszystko z całego świata co było potrzebne do prowadzenia wojny i wszystko szło na marne. Aż tu jedna radosna wiadomość zagłuszyła pamięć smutnej przeszłości.

Z kuchni słychać było rozmowę i głośno wybuchy śmiechu. Przsunęli się bliżej otwartych drzwi by usłyszeć.

Dwaj marynarze mówili prawie jednocześnie, przeszkadzali sobie wzajemnie, wśród wybuchów śmiechu słuchających, jak to Anglicy wzięli ich za Rosjan i częstowali wódką. Lżejszego Gienka wyhuścili na rękach. Dwie starsze panny chciały ich nawet zabrać do siebie i ugościć, aż wszedł motorzysta i najordynarniej zdradził ich. Anglikom było bardzo nieprzyjemnie że tak dali się nabrać. Aż im było wstyd, zabrali się, podziękowali im za trunki i wyszli z baru.

— Twój „Soviet Union” — mówił Gienek rozbawiony swoim opowiadaniem, jest jednak takim, jak żeś nam ciągle o nim mówił.

— Myślę że teraz kiedy bije Niemców, będzie i twoim — odpowiedział Chrystian, do niego bowiem skierowane były słowa.

Nie potrzebował im wiele mówić. Teraz on słuchał a oni mówili. Zdawało się że więcej wiedzą niż on. Jego słowa mówione do nich wracały teraz do niego. Byli więcej zaskoczeni niż Chrystian niezwykłym zwycięstwem, dlatego że nigdy nie przypuszczali by coś podobnego mogło nastąpić, za to teraz wszystko chłonęli silniej. Chrystian wiedział że w końcu Rosjanie zaczną bić Niemców, ale żeby aż tak — to go zadziwiło. Sądził że w historii żadnej z wojen nie było podobnej bitwy.

— Patrzcie mówił kucharz, gdyby nie Rosjanie wojna byłaby przegrana.

— Na pewno — dodał z siłą.

— Nie na próżno teraz będziemy się tłuc po morzach mówił stary Prena, któremu do Gdyni było zawsze pilno, by przed śmiercią tam jeszcze jechać i zostać się. Na pewno byłby to jego ostatni rejs.

— Och jak ja bym chciał im pomóc, mówił młody steward, który stracił ojca i matkę w pierwszych dniach wojny. Zobaczycie w Nowym Jorku zejść i zamustruję na statek który chodzi do Murmańska.

— To już teraz wojna weźmie inny obrót, mówił cieśla.

— Na lepsze — odezwało się kilka głosów.

Po tych słowach zrobiło się cicho w kuchni, jakby myśleli o ich treści. Przez otwarte fajerki biały żar buchał z pieca, dudnił w kominie, przenikał gorącym ciałem opowiadających, o przywleczonej z łądu nowinie. Żar z pieca czerwienią osiadł im na twarzach, ostrych podnieconych, z oczyma rzucającymi błyski. Wiadomość z łądu zapalała im krew do dalszych rejsów. Nie było teraz w nich wahania, gotowi żeglować wszędzie choćby na samo dno piekła.

O spaniu nie było ani mowy. W kuchni wytworzył się domowy nastrój, z palącym się ogniem jak na kominku. Z ust wszystkich płynęły wesołe słowa.

— Dobranoc — rzucił im Chrystian i wyszedł.

Na pokładzie nie było ciemno. Księżyc jeszcze jasno świecił. Chrystian wyminał lokomotywy przy relingu. Im bliżej był rufy tym mniej mu się chciało spać. Na samej rufie zatrzymał się, zapalił papierosa i głęboko wciągnął dym. Było zupełnie cicho. Po drugiej stronie basenu widać było cień dużego Amerykana. Z zachodu od oceanu wiał chłodny wiatr. Był sam, lubił pozostawać sam z sobą. Wiatr chłodził mu głowę, myśli stawały się jaśniejsze i zrozumialsze. Ciągłe słyszał słowa, wypowiedziane przez kilku naraz —

— Na lepsze —

Zwycięstwem biło od tych słów. Widział Rosjan pędzących Niemców przez śnieżne pola. Zacięte zwycięskie boje. W jego kraju nie ma frontu, front jest wszędzie gdzie są Niemcy. Ogień rozpałił mu ciało. Tam być teraz, pomóc im, przecież był synem tej ziemi. W Polsce już nie ma Niemców. Chłopaki jak on idą z Rosjanami na Berlin. Z Berlina pozostała tylko większa kupa gruzu od Warszawy.

Przez chwilę zdawało mu się że już nic więcej nie ma do myślenia. Znow mu się wcisnęło w mózg —

Ale nim się to stanie, jeszcze przywiezie kilka razy z Ameryki amunicję.

JÓZEF OBRĘBSKI

„WOLNOŚĆ I CYWILIZACJA“ *

Treść rozdziałów:

I. Preludium polityczne.

II. Naukowa analiza wolności. 1. O co walczymy? 2. Wolność w genezie i rozwoju kultury.

III. Znaczenie wolności. 1. Wolność w świecie semantycznego chaosu. 2. Analiza wielości znaczeń. 3. Płynne pojęcie wolności. 4. Wolność w doświadczeniu subiektywnym. 5. Semantyka wolności.

IV. Wolność jako dar kultury. 1. Początki kultury i wolność. 2. Zróżnicowania wolności w kulturach archaicznych. 3. Wartość i potrzeby pochodne. 4. Wolność, wychowanie i cele społeczno-kulturalne. 5. Wolność i organizacja. 6. Istota determinizmu kulturalnego. 7. Reguły wolności i reguły niewoli. 8. Wolność i dyscyplina. 9. Rola religii i magii. 10. Zależność człowieka od urządzeń technicznych.

V. Istotne pola walki o wolność. 1. Demokracja i protodemokracja. 2. Władza, jej powstanie i rozwój. 3. Plemię — naród i plemię — państwo. 4. Państwo — rozjemca i napastnik. 5. Wojna w perspektywie dziejowej. 6. Wojna i niewolnictwo — główne negacje wolności. 7. Totalizm, wróg wolności i kultury.

VI. Epilog: Fundamenty przyszłej demokracji i wolności.

*Bronisław Malinowski: Freedom and Civilization. Roy Publishers, New York. 1944. Str. 318.

1. KSIĄŻKA WIĘCEJ NIŻ SYMBOLICZNA.

Leży przede mną książka, po dziś dzień jeden zapewne z nielicznych egzemplarzy na kontynencie europejskim. Książka wojenna, wydana w czasie wojny i pisana pod jej technieniem, ale równocześnie książka, której problematyka jest problematyką pokoju, problematyką spraw dotyczących urzędzenia i trwania, nieomal egzystencji świata powojennego. Książka, której zasadniczą treścią jest to, co stanowiło i stanowi istotny sens życia dla wszystkich pokój miłujących narodów; co określiło dla nich jedyny wspólny cel i usprawiedliwiło najwyższe ofiary i bezkompromisowość działania w najbardziej brutalniejszej w dziejach świata, minionej już, ale jeszcze nie przebrzmiałej wojnie. „Wolność i cywilizacja” — tak brzmi tytuł tej książki i takie jest jej sztandarowe zagadnienie.

Autorem książki jest Bronisław Malinowski. I to właśnie, że autorem tej pisanej po angielsku, wydanej w Ameryce, przemawiającej w imieniu demokracji zachodnich świata książki jest Polak; to, że w książce tej, jednej z czołowych książek okresu wojennego w Ameryce i równie tam poczytnej i słynnej co u nas nieznanej, zawiera się sformułowane przez Polaka *exposé* najdonioślejszego problemu wojny, pokoju i współczesnego świata: nadaje książce tej w oczach naszych i poza naszymi oczami więcej niż symboliczne znaczenie. Książka ta jest wymownym dowodem naszego duchowego i myślowego udziału w kształtowaniu przyszłego oblicza współczesnej cywilizacji; kto wie, czy nie wymowniejszy aniżeli nasz fizyczny udział w tworzącej się dopiero organizacji wolnych narodów zjednoczonych świata. Jest ona nie tylko podkreśleniem faktu naszej kulturalnej przynależności do świata zachodniego i duchowego i faktycznego związku z jego demokracjami, ale także wyraźnym świadectwem aktywnego i konstruktywnego udziału w jego walkach i zmaganiach:

materialnych i duchowych. Nigdy zaś bardziej aniżeli obecnie przypomnienie to nie było na czasie.

Nasza przynależność do świata zachodniej cywilizacji jest w całej naszej historii bardziej wyrazem tendencji i dążeń zbiorowych, niż faktem niezbitym i niezaprzeczonym. Ale fakt ten w ostatnich czasach stał się zaledwie symboliczny. Tragiczne lata wojny, pięć długich lat najbardziej barbarzyńskiej jaką znają dzieje świata cywilizowanego, okupacji, podcięły i podkopały te nasze duchowe i fizyczne związki, które łączyły nas z naszymi zachodnimi sąsiadami i współpartnerami wojny w jedną wspólnotę cywilizacyjną. Przez pięć długich lat oddychaliśmy zatrutym powietrzem niewoli. Przez pięć długich lat o naszej woli wolności świadczyły tylko zbrodnie hitleryzmu i męstwo ginących żołnierzy frontów i podziemia. Zdławieni, rozbici i zniszczeni, zepchnięci w myśli i w działaniu w podziemia konspiracji, świeciliśmy na mapach świata oazą męczeństwa i pustynią myśli. Z kart cywilizowanego świata zeszedliśmy na peryferie panoszącego się w samym środku Europy barbarzyństwa. I przez cały ten czas najokrutniejszych cierpień, najkrwawszych ofiar i najcięższych, gdyż bezsilnych zmagających, sens naszego udziału w światowej wojnie o wolność niejednokrotnie ulegał zatraceniu. Dla narodu rozbitego i tępiętego bezlitośnie, zagrożonego już nie w treściach i nadbudowach swego życia, ale w swoim biologicznym istnieniu, tracił się humanistyczny cel wojny. Walczyliśmy już nie o wolność, ale o życie. I dlatego zapewne, gdy przyszło wyzwolenie, samorodny entuzjazm społeczeństwa nie dorównywał wielkości chwili. Była to bowiem radość z ocalenia najelementarniejszych dóbr naszych, ale nie naszych najwyższych wartości. Radość ludzi, nie narodu.

Tym cenniejszy i tym wymowniejszy jest dla nas myślowy wkład Malinowskiego w najdonioślejszy problem wojny i pokoju, jakim jest

problem wolności. Wkład ten idzie po linii naszej własnej społecznej, politycznej i kulturalnej historii w tym, co było w niej najlepsze i najszczytniejsze.

Walka o wolność od lat stu pięćdziesięciu jest stałym motorem naszej politycznej, kulturalnej i intelektualnej aktywności. Jest czynnikiem, który ze światem cywilizacji zachodniej związał nas bardziej i ściślej za czasów stuletniej przeszłości niewoli, niż wiązało nas z nim chrześcijaństwo za stuleci szlacheckiej wolności. Oddanie ideałom wolności, było trwałym motywem naszych powstań i rewolucyj, naszych ruchów społecznych i prądów myślowych, naszego współuczestnictwa w światowych walkach wyzwoleniczych: klasowych i narodowych. Aż do ostatnich czasów przedwojennych, gdy egzotyczny Nerczyńsk czy Sachalin zastąpił rodzimym Brześć i rodzimą Berezę, walka o wolność była legitymacją międzynarodową każdego nieomal Polaka. I nawet w momencie wybuchu wojny, która rozpoczęła się o Polskę a toczyła się o wolność świata całego, gdy naród polski swoim męczeństwem i swoją ofiarą wkroczył ponownie na swój dawny szlak historyczny, żarliwość i ofiarność najszerzych warstw narodu w tej nierównej dla nas walce ugruntowana była w świadomości, że nie o Gdańsk i nie o granice wschodnie czy zachodnie chodzi, ale że chodzi o wolność: „Naszą i waszą”, społeczną i narodową. Wolność świata.

Bez tej świadomości nasze uczestnictwo w tej wojnie miałooby znaczenie nieomal mechaniczne. Bez tej świadomości byłibyśmy co najwyżej Spahisami walczącego o wolność świata, których mogły rozsiać od stepów po piaski Sahary, świadczyłyby zaledwie o rozległości teatru wojny, ale nie o historycznym sensie naszego w niej uczestnictwa.

Wyrazem aktywnym w skali międzynarodowej i konstruktywnym na najwyższych szczeblach światowej myśli społecznej i światowej twórczości intelektualnej, wyrazem tej naszej świadomości jest właśnie

książka Malinowskiego. W antycypacji nieujawnionego jeszcze naszego okupacyjnego dorobku naukowego, zdobytego z najwyższym trudem niejednokrotnie *in periculo mortis*, książka ta podkreśla — na forum opinii międzynarodowej — nasze pełne i twórcze współuczestnictwo we wspólnocie cywilizowanych narodów świata. Podkreśla tę naszą pozycję, którą za każdą cenę powinniśmy utrzymać: wkład w dobro zbiorowe myśli, a nie tylko ofiary krwi.

2. TOTALNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Tematem książki Malinowskiego jest „istota wolności i jej związek z ludzką naturą i kulturą”. Zagadnienie to rozpatruje autor na szerokim tle porównawczym, na tle rozwoju cywilizacji i społeczeństw ludzkich od ich pierwocin po czasy ostatnie. Ale tylko pozornie książka ta przez swoje perspektywy i ogólny charakter mogłaby zapowiadać beznamiętną dysertację na tematy oderwane od dzisiejszego życia, jego palących problemów i naglących spraw. Książka ta i w swojej genezie i w swojej treści jest ściśle związana z historycznym momentem współczesności. Powstała pod presją wojny totalnej, pod naporem zagadnień postawionych przez nią i będących wciąż jeszcze w stadium rozwiązywania ich. Zagadnienia te książka Malinowskiego niejako uprzędkła. Punktem jej wyjścia nie jest bowiem sprawa zwycięstwa militarnego — to zwycięstwo dla obozu walczących demokracji było nieomal pewnikiem — ale sprawa opanowania niebezpieczeństw totalizmu, tkwiących potencjalnie w prowadzących totalną wojnę demokracjach. Dlatego też książka Malinowskiego jest śmiałym i wnikliwym przejawem demokratycznej autoanalizy i samokrytyki, rzutowanej w czasy pokoju z okresu wojny. W tym zawiera się jej rosnąca aktualność.

„Jesteśmy teraz w wojnie przeciwko największej dla wolności groźbie, jaką ludzkość kiedykolwiek znała” — pisze Malinowski we wstępnym rozdziale zatytułowanym „Preludium polityczne”.

„Walczymy o wolność. Czy jednak istotnie rozumiemy, czym jest wolność, czy naprawdę oceniamy należycie jej wartość i zdajemy sobie sprawę z tego, że wolność jest w gruncie rzeczy zasadniczym fundamentem naszego życia i naszej cywilizacji? Otaczają nas wspaniałe hasła — niektóre z nich prawdziwe i pełne treści. Wiemy, że jest to „walka wolnych ludów przeciwko niewolnictwu”; słyszymy, że jest to „walka o wolność”; zapowiadają nam oficjalnie, że wolna ta ustanowi „cztery wolności” w sposób pewny i trwały.

Ale entuzjazm dla tych haseł nie zawsze jest równie rzeczywisty, jak można by sobie życzyć tego. Zbyt często spotykamy się wciąż jeszcze z negatywną postawą, że w wojnie tej musimy walczyć i zwyciężyć tylko dlatego, że zaatakowano nas... W naszym demokratycznym nieprzygotowaniu nie zdołaliśmy się zmobilizować duchowo. Ten brak przygotowania jest rzeczą naturalną, gdyż demokracja jest zaprzeczeniem jednego i drugiego: wojny i przygotowania. Wojna totalna jest najbardziej zasadniczą negacją wszystkiego, co demokracja uznaje za prawdziwe, rzeczywiste i wartościowe”.

„W naszych demokracjach towarzyszą nam prawdy i wierzenia tak stare jak ludzkość sama. Wyznajemy wartości, którymi ludzkość rozpoczęła swój kulturalny pochod i przy pomocy których rozwinęła i ustanowiła swój obecny poziom kulturalny. Wśród tych wartości wolność, uczciwe postępowanie, respekt dla umów i praw zajmowały zawsze zaszczytne miejsce. We wszystkich swoich wysiłkach, zmierzających do odkrycia nowych zasad wiedzy, nowych urządzeń i nowych form społecznej organizacji, człowiek pierwotny i kroczący po drodze postępu rządził się zawsze wolnością i porządkiem społecznym, inicjatywą i dokonaniem. Taki jest Dawny Porządek rozwoju społecznego, porządek, który trwa i nadal w naszym demokratycznym sposobie życia”.

„W naszych czasach sceptycyzmu i relatywizmu jest obowiązkiem etnologa przypomnieć i potwierdzić istnienie pewnych wartości i zasad, niezbędnych w procesie trwania i rozwoju kultury. Zasady te muszą stać się substancją naszych przekonań, będących fundamentem naszej woli zwycięstwa — przekonań, które ze względu na taktykę Piątej Kolumny naszych wrogów musimy utrzymywać z nigdy nie słabnącą czujnością. Przeświadczenie, że wolność, sprawiedliwość i demokracja dostarczają najlepszych warunków dla zdrowego rozwoju kultury, musi stać się częścią tego pokoju, którego wygranie jest równie ważne jak zwycięstwo w wojnie. Ten pokój musi zawierać trwale gwarancje wszystkich naszych społecznych i moralnych wartości, z których wolność jest najcenniejsza”.

„Jeśli nie ustanowimy jakichś podstawowych gwarancji dla wolności, prawa i uczciwości w sprawach międzynarodowych; i jeśli nadal utrzymamy zasadę, że

wojna jest jedynym narzędziem polityki międzynarodowej, staniemy na skrzyżowaniu istotnie niszczycielskich alternatyw. Demokracje będą miały do wyboru albo zginąć od miecza wrogów swoich, albo zginąć przygotowując własną zbrojną obronę. Budując swoje przygotowanie, będą musiały podpisać swój własny wyrok śmierci jako demokracje, jako społeczeństwa ludzi wolnych, ludzi uczciwych”.

„Przed wszystkim istnieje podstawowe niebezpieczeństwo, tkwiące w tragicznej roli demokracji, zmuszonej do podjęcia najbardziej antydemokratycznej akcji na gigantyczną skalę to znaczy — wojny totalnej. Wszelkie wojny, domowe i międzynarodowe; wszelkie rewolucje, w szczególności zaś te, które przeprowadza się siłą, skłonne są, jak to ukazuje historia, pociągać narody i ludy na drogę imperiaлизму, dyktatury i nowych wojennych przedsięwzięć. Gwałt rodzi nienawiść jednej klasy do innej; jednego narodu do innego. Mechanika gwałtu stwarza precedensy i wyhodowuje antydemokratyczną moralność przez lekcję jej skuteczności. Gdy bowiem uciekamy się do siły, stwierdzamy zawsze, że bezwzględność, szybkość decyzji, całkowita subordynacja i dyscyplina oraz posłuszeństwo najwyższej komendzie są na krótką metę bardziej skuteczne aniżeli odwoływanie się do publicznej opinii, narad, głosowania, niż wszelkie względy na sumienie i opinie jednostek lub grup.

W ten sposób wojna, którą się prowadzi na tak olbrzymią skalę, która przenika każdy aspekt życia ludzkiego, jak to nieuchronnie dzieje się z wojną totalną, może wyhodować te właśnie siły w naszym własnym społeczeństwie, przeciwko którym walczymy. Niebezpieczeństwo to jest tym groźniejsze, że uniknąć go niepodobna”.

„Z rozważań tych wyłania się praktyczna sugestia, że na czas trwania działań wojennych należy utworzyć kompensacyjne mechanizmy swobodnej dyskusji i planowania. Zawód akademicki, który z założenia jest wolny i nieskrępowany, może być w tej dziedzinie szczególnie użyteczny. W planowaniu pokoju jest wiele punktów, nad którymi trudno jest dyskutować tym, którzy bezpośrednio obarczeni są publiczną odpowiedzialnością... Dlatego też jakiś komitet lub szereg komitetów bezpieczeństwa i obrony konieczny jest w obecnych warunkach. W tych komitetach należałoby kultywować demokratyczne typy myśli i moralności społecznej. Takie komitety winny bacznie pilnie na oczywiste niebezpieczeństwa obecnej chwili. Nawet wśród walczących demokracji istnieje niebezpieczeństwo, że środkiem da się pierwszeństwo przed celem; niebezpieczeństwo imperializmów i metod totalnych, zrodzonych przez obecny impet wojny. Istnieje niebezpieczeństwo, że stracimy z oczu nasz ostateczny cel: wojny o to, by skończyć z wojną”.

„W obecnych warunkach możliwe jest stworzenie mechanizmów kulturalnych,

związanych z przyszłym planowaniem, dalekodystansową polityką i nieskrępowaną dyskusją, które by nie wtrącały się w sprawy bieżące, a jednak dostarczały kompensacyjnego forum myśli i sumienia, koniecznego dla przeciwważenia skutków wojny.

Zc strony ściśle naukowej najważniejszym dla ludzi nauki zadaniem jest wyklarowanie narzucających się przez swoją aktualność zagadnień. Musimy swoją poddać analizie takie pojęcia jak „demokracja”, „wolność”, cele i środki cywilizacji... Musimy pokazać, jaka rzeczywistość odpowiada tym słowom. Gdyż w obecnej sytuacji istnieje jeszcze inne wielkie niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo inflacji ideałów i pogardy dla idei, tej pogardy jaką rodzi nadmierne spoufalenie. Słowa takie jak demokracja i wolność stały się już hasłami obiegowymi, nieustannie powtarzanymi zarówno przez tych, którzy w nie wierzą, jak i przez tych, którzy akceptują je tylko pod naciskiem okoliczności. Duchowe podstawy opinii publicznej winny być strzeżone z tą samą niesłabnącą czujnością, z jaką pilnujemy fizycznych podstaw naszej obrony narodowej”.

„Historia dzisiejsza potwierdza, że skłonności do okrucieństwa, brutalności, pogardy i nienawiści istnieją w naturze ludzkiej i w sprzyjających warunkach zdolne są przytłumić i zniszczyć etykę chrześcijańską; postulat humanitarnego i sprawiedliwego traktowania istot ludzkich, a nawet pragnienie osobistego bezpieczeństwa i dobrobytu. Ostateczna decyzja co do tego, czy ktoś przenosi świat hitlerizmu nad amerykański czy brytyjski typ życia, jest rzeczą jednostki lub wielu jednostek. Ale tego rodzaju decyzja zbyt często zapada jedynie za sprawą agentur powszechnego zamętu, a nie agentur naukowej jasności. Wprowadzić tę jasność w skomplikowane problemy demokracji, wolności, ludzkiej kultury i ludzkiej natury jest zadaniem współczesnego humanizmu. Zadanie to jest tym bardziej naglące, że stajemy teraz w obliczu świata, w którym dokonał się gigantyczny zamęt przy pomocy precyzyjnie obmyślonej i dobrze wykonanej totalistycznej propagandy”.

„Słowo wolność z zupełnie oczywistych powodów posiada oddźwięk uczuciowy i ciężar retoryczny, które czynią bardzo poręcznym posługiwanie się nim w przemowach, kazaniach moralnych, zwrotach poetyckich i metafizycznych dysputach. W propagandzie i w odwoływaniu się do tego, co najlepsze i co najgorsze w naturze człowieka, słowa wolność używa się pod fałszywym pozorem, że hasło to wypływa z głębokiej mądrości i że ma znicwalającą moc naukową. Używane w naukowej lub semi-naukowej argumentacji słowo „wolność” wiedzie żywoć podwójną. Nie można zatem uchylić się od obowiązku wyjaśnienia w sposób naukowy, do jakiej rzeczywistości można zastosować słowo „wolność” w sposób uprawniony... Nie możemy pozwolić, ażeby podstawowe pojęcie, które rządzi głównym problemem

dnia dzisiejszego, pojęcie, z powodu którego narody są w wojnie i z racji którego będą musiały ustanowić pokój, mający przypieczętować przyszłe losy ludzkości, pozostało płynne, elastyczne i tak niezwywotne, że można je prostytuować w każdej argumentacji czy kontrargumentacji”.

3. TEORIA WOLNOŚCI

Wyrazem „niesłabnącej czujności” autora, tej samej czujności, która w latach przedwojennych skierowała pracę jego na zagadnienie wojny, a w latach wojennych kazała mu podjąć z kolei rzeczy problem wolności i pokoju, jest obszerna część książki, poświęcona analizie i krytyce naukowych i — biegowych definicji wolności oraz wykładowi własnej teorii.

Malinowski odrzuca metafizyczne definicje wolności jako „próżną rozrywkę filozoficzną”. Kwestionuje także mające za sobą stulecia tradycji i uświęcony obieg definicje legalistyczne. „Wolność pojmowana jako pełne i nieograniczone podporządkowanie się prawu, władzy politycznej, woli powszechnej lub geniuszowi narodowemu, wiedzie nas w dziwne rejony. Natrafiamy tu na koncepcję heglowską z jej korzeniami, sięgającymi w dawniejsze filozofie począwszy od Platona, aż wreszcie dochodzimy do tej wolności, jaką obwieszcza się teraz jako dar totalistycznych systemów politycznych. W jednym z momentów szczeroci Mussolini oświadczył, że „pogrzebał zgnitego trupa wolności”. Ale jego bardziej eleganccy i sprytniejsi wyznawcy zapewniali, szczególnie gdy zwracali się do łatwowiernych demokracji lub do neofitów z Piątej Kolumny, że najpełniejszą wolność ekspresji dla indywidualności człowieka daje faszyzm, stapiając obywatela w jedno z państwem korporacyjnym.

Szczegółowej i trafnej krytyce poddane zostają także subiektywistyczne teorie i koncepcje wolności. „Mamy tu do czynienia z koncepcją, zbudowaną ze składników zasadniczo subiektywnych i indywidualistycznych; z koncepcją, która w całej swojej istocie jest negatyw-

na, pretendując równocześnie do tego, by być absolutną i substancjonalną... Koncepcja ta skonstruowana jest nie tylko ze zdecydowanie subiektywnych i osobistych elementów świadomości indywidualnej; nieodmiennie odnosi się również do krótko-dystansowych, krótkofalowych momentów wyboru, decyzji, woli czy kaprysu. Lekceważy w zupełności pragmatyczny kontekst ludzkiego działania. Pomija także fakt, że wybór i decyzja same przez się są zupełnie bez znaczenia dla jednostki, o ile nie są wykonalne na drodze skutecznego i zasadniczo opłacalnego działania”.

Tym wszystkim koncepcjom i definicjom przeciwstawia Malinowski swoją, pragmatyczną i socjologiczną, teorię wolności.

„Wolność jest jedna i niepodzielna. Jest to pojęcie ogólne, wskazujące na takie warunki bytowania, w których człowiek — poprzez zorganizowane i odpowiednio wyposażone działanie uzyskuje maksimum możliwości wykonywania tego, czego pragnie i pożąda, wykonywania tego skutecznie i w taki sposób, jaki zaspakaja jego potrzeby i ambicje, a nie przeciwstawia się im”.

„Wolność możemy zdefiniować jako warunek, konieczny dla powstania celu działania; przetłumaczenia go na skuteczne działanie za pomocą zorganizowanych urządzeń kulturalnych; oraz pełnego wykorzystania rezultatów działania. Pojęcie wolności może więc być określone jedynie w odniesieniu do istot ludzkich, zorganizowanych i wyposażonych w kulturalne motywy, urządzenia i wartości, co *ipso facto* implikuje istnienie prawa, określonego systemu gospodarczego i organizacji politycznej — słowem: pewnego systemu społecznego”.

„Nasza definicja wolności składa się z trzech ogniw: celu, który wyraża się w charakterze instytucji; urządzeń na które składają się wykonawcy dzieła, narzędzia, którymi się posługują, oraz zasady, na podstawie których wykonują i finalizują swoją pracę; i wreszcie wyniku czy skutku, który jest funkcją instytucji. Zasadnicza istota wolności w ten sposób pojętej jest pragmatyczna. Wolność istnieje wówczas, gdy zorganizowane działanie człowieka podąża za wyborem celów i planowaniem. Wolność determinują zarówno wyniki działania jak i jego akcesoria. Wolność jednostki wyraża się w możliwości wyboru celu, wyszukania sposobów wykonania oraz zebrania owoców swoich wysiłków i starań. Wolni są ci ludzie, którzy mogą zadecydować co robić, dokąd się udać lub co budować. Wszelkie postulaty wolności pozostają czcze i nieistotne, o ile planów i zamiarów nie można przetransponować

na skuteczne działanie za pomocą odpowiednich urządzeń kulturalnych i odpowiedniej organizacji społecznej. Dlatego warunki, określające wolność zależą od tego, jak społeczeństwo jest zorganizowane; od udostępnienia jego urządzeń kulturalnych i od gwarancji, zapewniających dostęp do wszelkich planów planowego i celowego działania i zabezpieczających sprawidliwy ich podział”.

„Poddamy analizie te trzy fazy wolności w ludzkim działaniu. Zamiar jest niczym innym jak planowaniem działania dla osiągnięcia określonych rezultatów. Jeślibyśmy rozważali wolność sumienia, myśli czy wierzenia, musielibyśmy uświadomić sobie, że historycznie ten typ wolności oznacza zawsze egzekwowanie tej prerogatywy w czynie i w życiu... Wolność myśli naukowej nie oznacza w żadnej historycznej rzeczywistości siedzenia w fotelu i wymyślenia swoich własnych idei. Oznacza ona przede wszystkim i ponad wszystko wolność słowa, nauczania i przekonywania. W prawdziwej nauce oznacza ona także wolność badania, to znaczy dostępu do laboratorium i do tej czy innej dziedziny życia lub rzeczywistości społecznej... Zbadajcie jakkolwiek chęć typ wolności...a stwierdzicie, że postulat wolności działania zawiera się w nim *implicite*.

Gdy chodzi o czyn, zaznaczyliśmy już, że nie ma żadnego istotnego działania kulturalnego, które by było czysto indywidualne i które by pozostawało poza społecznym i materialnym aparatem kultury. Tak więc wolność działania implikuje zarówno swobodny dostęp do materialnego bogactwa jak również i sferę organizowania i współdziałania... Wszelka inicjatywa kulturalna — czy jest to wynalazek, natchnienie religijne, polityczna zasada lub też etyczne udoskonalenie, musi wyrazić się w zorganizowanym systemie zbiorowych i wyposażonych w odpowiednie akcesoria czynności. Tutaj wolność polega na zakresie, w jakim jednostki i grupy mogą zorganizować i wyposażyć w potrzebne narzędzia akcję, podjętą dla osiągnięcia swobodnie wybranych celów. Tkwi ona w tym, co zazwyczaj nazywa się „wolnością zrzeszania się” jest to jedna z wolności, która przysługuje w demokracjach, lecz której odmawia się w społeczeństwach, gdzie państwo przejmuje wszelką inicjatywę lub gdzie niewolnictwo, pańszczyzna albo system kastowy nie dopuszczają pewnych grup do przejawiania jakiegokolwiek inicjatywy, a inne wyposażają w nadmiar władzy.

Wreszcie wolność w dziedzinie dokonań i wyników odnosi się do stopy, jaka przysługuje członkom społeczeństwa w zakresie korzystania z kultury. Tutaj zagadnienia wolności obracają się około tak namacalnych i konkretnych faktów jak podział dóbr, wolność awansu społecznego i wolność przekraczania pewnych granic terytorialnych. Tu również należą kwestie, tyjące się tego, jak dalece bardziej wyszukane dary kultury, takie jak rozrywki, umysłowe i artystyczne przy-

jemności i wszelkie religijne i duchowe dobrodziejstwa kultury rozdzielone są pomiędzy społeczeństwo”.

„Wolność zjawia się jako określona konfiguracja warunków kulturalnych, pod której władzą wszelkie typy działania ludzkiego stają się skuteczne i opłacalne. Negacja wolności wciela się zawsze w polityczne, prawne lub gospodarcze ograniczenia czy niesprawiedliwości, uniemożliwiające ludziom określanie celów, urzeczywistnianie ich i uzyskiwanie wyników w postaci odpowiedniej stopy życia... Nasza koncepcja wolności jest pozytywna i obiektywna. Jest ona zasadniczo pragmatyczna i implikuje kontekst społeczny i techniczny. Implikuje też zawsze korzyści i dobrodziejstwa działania, a także odpowiedzialność za nie zarówno dla jednostek jak i grup. Urządzenia, warunkujące wolność, znajdujemy w politycznej konstytucji społeczeństwa, jego prawach, normach moralnych w podziale dóbr gospodarczych i w dostępie do takich dobrodziejstw jak zdrowie, rozrywki, wymiar sprawiedliwości i religijne oraz artystyczne dary kultury. Przemierzać wszechświat dla wykrycia innych możliwości wolności aniżeli te, których dla urzeczywistniania określonych celów i produkowania pożądaných rezultatów dostarcza organizacja społeczna, jest próżną rozrywką filozoficzną”.

SYSTEMY WOLNOŚCI I SYSTEMY NIEWOLI

„Pozytywna i obiektywna, zasadniczo pragmatyczna” definicja wolności, pojętej jako atrybut czynu ludzkiego, ale czynu, który nie jest traktowany jako system izolowany, natomiast rozpatrywany jest w pełnym swoim kontekście kulturalnym, w uwarunkowaniu od podłoża społecznego, aparatu technicznego i mechanizmów kulturalnych, w jakich ten czyn rodzi się i urzeczywistnia, pozwala Malinowskiemu uniknąć tych pułapek myślowych, w które obfitowały legalistyczne i subiektywistyczne definicje wolności, przechodzące do porządku nad tym faktem, że wolność dla społeczeństwa niewolników zaczyna się tam, gdzie kończy się dla ludzi wolnych. Tak pojęta definicja wolności staje się dla autora „Wolności i cywilizacji” instrumentem badawczym, pozwalającym mu klasyfikować społeczeństwa i kultury w zależności od stopnia udzielanej przez nie swobody jednostkowej i grupowej oraz wykrywać czynniki i przyczyny, ukształtujące na przestrzeni

wieków jedne społeczeństwa w systemy wolności, inne zaś w systemy niewoli.

W tej porównawczej analizie etnologicznej i socjologicznej podstawową tezę Malinowskiego jest związek między jednostkowym czy grupowym monopolem władzy i przewagą gospodarczej oraz wojną z jednej strony, z drugiej zaś — niewolą. Problem wojny i problem władzy: politycznej i gospodarczej, wysuwają się w tej analizie jako zagadnienie dominujące. Wpływ wojny na ukształtowanie społeczeństw i kultur w systemy niewoli; wpływ techniki, w szczególności techniki wojennej, na przekształcanie się instytucji władzy z roli arbitra i mediatora wewnętrznych konfliktów społecznych w agenty tyranii i ucisku, rozpatruje Malinowski w szerokiej perspektywie ewolucji społecznej, ukazującej nam potencjalne narastanie niebezpieczeństwa ucisku politycznego i gospodarczej niewoli w miarę rozwoju cywilizacyjnego, w szczególności zaś rozwoju techniki. Diachronika tego zjawiska wiedzie Malinowskiego do tego najkapitałniejszego zagadnienia teoretycznego i praktycznego współczesności, jakim jest zagadnienie totalizmu i demokracji.

„Nadużycie władzy nigdy nie jest łatwe w małych społecznościach, gdzie ludzie żyją w osobistej, codziennej i bliskiej styczności... Na szczytach pierwotnych nadużycie aparatu kultury zdarza się tylko sporadycznie na małą skalę i nigdy nie wciela się w instytucje. Ale...ucisk i niewola wkraczą na widownię ludzkiej kultury potencjalnie z samym jej pojawieniem się... Niejedna kultura jako całość może rozwinąć tendencje do wciąż rosnących ograniczeń prawdziwej wolności”.

„Z chwilą gdy zorganizowana przemoc daje się użyć dla ujarznienia innych plemion czy ludów, dla poddania ludzi niewoli, w szczególności niewoli gospodarczej, stajemy wobec tego szczególnego zaprzeczenia wolności, jakie jest stałym motywem społecznej ewolucji i ludzkiej historii i które świat współczesny, daleki od rozwiązywania tej kwestii, zastrzył jeszcze przez udoskonalenie techniki ujarzmania ludzkiego ciała, pracy i ducha”.

„W naszym przeglądzie ewolucyjnym stwierdziliśmy istnienie dwufazowej zasady organizacji społecznej. W czasach pokoju społeczeństwami rządzi zasada kulturalna. Tworzą one grupy plemienne czy narodowe oddane konstruktywnym i twórczym zada-

niom korzystania z dorobku kulturalnego i rozwijania go. W takich warunkach życia dominuje zasada, że wolność jest niezbędna dla utrzymania tradycji oraz dla kultywowania talentów i wzbogacania na tej drodze kultury. W czasach wojny ludzi łączy zasada polityczna, to znaczy ulegalizowane stosowanie siły. Państwo polityczne jest ściśle spokrewnione z wojną i posługiwanie się siłą jako głównym motorem działania jest typowe dla wojny. Nim przemoc może się stać skuteczna jako zasada polityczna, musi się wcielić we wszelkie grupy i wszelkie instytucje społeczeństwa. W ten sposób wojna, w procesie unicynkionego organizowania pogotowia wojennego, w swojej głównej czynności wojowania i w konsekwencji zwycięstwa i ujarznienia innych, jest trwałym źródłem wszelkich ograniczeń wolności”.

„Główna teza tej analizy obraca się około koncepcji siły, jako największego wroga wolności... Większość ograniczeń oraz pomniejszeń wolności i zamachów na nią pozostaje w specyficznym związku w ewolucji i historii społeczeństw z tymi czasowymi kryzysami, będącymi dziełem człowieka, które rodzi wojna; i wszystkie większe kryzysy są ogniskowymi niebezpieczeństwami dla wolności i demokracji. Z pojawieniem się wojny i wojennej organizacji, które zresztą są późnym zjawiskiem w ewolucji społeczeństw ludzkich, zjawia się także po raz pierwszy w historii pełna negacja wolności, mająca swoją genezę w przemoc, stosowanej zamiast innych środków oddziaływania społecznego. Wojna stwarza niewolnictwo, potrzebę wojennej dyscypliny, system kastowy, pańszczyznę i niewolę; i z kolei czerpie swoje żywotne soki z korzyści, jaką jednostkom i grupom, dysponującym władzą, przynosi nieograniczone posługiwanie się zbrojną przemocą”.

„Najważniejsza zapewne różnica w zagadnieniu wolności i niewoli zachodzi pomiędzy tym naturalnym przymusem, którego nie można wyeliminować z działania ludzkiego, a owym przymusem arbitralnym, narzucanym ludziom, grupom i społeczeństwom przez nadużycie wszelkiej władzy — gospodarczej, prawnej czy politycznej... Zasadnicza różnica między regułami wolności i regułami niewoli obraca się około stosowania siły i przemoc w ludzkich sprawach. Gdzie autorytet władzy i przymus, jakim dysponuje ona, determinuje proces kulturalny, dopuszczający do współdziałania w wyborze celu, w dysponowaniu środkami i w podziale pól, mamy do czynienia z przymusem koniecznym dla wolności porządku społecznego i powodzenia w działaniu. Gdzie siła zastępuje inicjatywę i natchnienie; gdzie stosuje się ją dla kontrolowania pracy i pobudzania ludzi do wysiłku wbrew ich interesom i życzeniom; gdzie wkracza ona w mniej lub bardziej zamaskowanej postaci grabieży, pozbawiającej ludzi tego co zarobili — mamy tu do czynienia z zasadą niewolnictwa czy

niewoli. Miara wolności zależy od stopnia jednostronnej i nadmiernej koncentracji władzy w obrębie jednej instytucji. Problem wolności jest jednoznaczny w swoim kulturalnym, to znaczy historycznym i socjologicznym znaczeniu, z problemem władzy i przemoc w organizacji społeczeństw ludzkich”.

„Gdziekolwiek spotkamy się z powstawaniem i rozwojem instytucji, opierających się na przemoc i zorganizowanej sile fizycznej oraz wcielających i wyznających zasadę dyskryminacji społecznych i przymusowego uczestnictwa, stajemy wobec negacji wolności. Negacja wolności zjawia się w momencie, gdy gwałt i zasada „siła przed prawem” staje się prawem instytucji. Widzimy zatem, że władza jest surowcem niewoli. Rodzi ją nadużycie siły, karność wpojona przez indoktrynację i monopole. Linia rozgraniczenia wolności i niewoli przebiega równoległe do koncentracji siły i dóbr materialnych. O ile tylko własność oznacza wyłączny dostęp do korzystania z pewnych urządzeń oraz możliwość pozbawienia innych dostępu do tych urządzeń lub dobrodziejstw, uzyskanych z posługiwania się nimi, mamy do czynienia z potencjalnym niewolnictwem w sensie gospodarczym. Gdy narzędziami tymi są broń albo inne środki koercji, mamy do czynienia z potencjalnym niewolnictwem w sensie politycznym. W ten sposób problem wolności łączy się nieodmiennie z zagadnieniem podziału władzy, siły i bogactwa. Dokonywa się to zawsze na drodze podziału władz. Społeczeństwo, opierające się na podziale władz politycznych, na znacznej dozie niezależności, przyznanej grupom administracyjnym, ale także na kontroli, rozciąganej nad takimi grupami, szczególnie za pomocą autonomicznych i niezależnych sądów, z dużą skutecznością zapobiega nadużyciu władzy. Takie instytucje jak rodzina, gmina, prowincja muszą mieć także znaczną dozę lokalnej autonomii. Przede wszystkim zaś wychowanie, wymiar sprawiedliwości, religia i przedsiębiorczość gospodarcza muszą pozostać w znacznej mierze niezależne, choć otwarte dla inspekcji i kontroli. Totalizm zaprzecza tym wszystkim zasadom. Jego główną zasadą jest całkowita, wszechstronna i niepodlegająca dyskusji centralizacja wszelkiej inicjatywy, wszelkiej zależności i wszelkich wykonawczych i administracyjnych czynności”.

5. MECHANIZMY WOLNOŚCI I MECHANIZMY NIEWOLI W DEMOKRACJACH WSPÓŁCZESNYCH

Zagadnienie społecznej genezy systemów niewoli, w ich uwarunkowaniu od podstawowych zbiorowych czynności społeczeństwa, jego techniki i dostarczanych przez nią możliwości monopolizowania dóbr gospodarczych i pozycy władzy, prowadzi Malinowskiego

w końcowych partiach książki do analizy współczesnych struktur społecznych pod kątem widzenia zawartych w nich mechanizmów wolności i faktycznych czy potencjalnych mechanizmów ucisku i niewoli. Analiza ta uwypukla podstawowe cechy konstytucyjne protodemokracji zamierzających epok ludzkości i ich funkcjonalne analogie w demokracjach współczesnych. Analogie te widzi autor w zjawisku rozproszkowania czy decentralizacji instytucji władzy, zjawisku, zapobiegającym arbitralnym ingerencjom w procesy kultury i pozwalającym na określenie typu społecznego, wolnego od przejawów przerostu władzy, wspólnym mianem „demokracji kulturalnej”. W społeczeństwach pierwotnych zjawisko to jest pochodną całokształtu ich budowy, której zasadniczą cechą jest równorzędność i współdziałanie a nie nadporządkowanie i podporządkowanie jednych grup składowych drugim. Płyne stąd równomierny podział między nimi funkcji władczych. W społeczeństwach cywilizowanych demokracja kulturalna fundamente swoje czerpie z takiego ustroju politycznego, który stwarza należyte bariery i przeszkody dla powstawania i rozkwitania monopolów władzy i przewagi gospodarczej, to znaczy z politycznego ustroju współczesnych demokracji i ich dominującej cechy konstytucyjnej, jaką jest podział władz. Jednak i w ramach tego ustroju współczesna technika, w szczególności zaś technika wojenna, technika fizycznej i duchowej przemocy jednych ludzi nad innymi, stwarza podatne warunki dla formowania się i rozrastania mechanizmów ucisku i niewoli. Stąd płynie szczególna aktualność zagadnienia właściwych funkcji państwa i władzy politycznej także i w demokratycznych społeczeństwach dzisiejszych, społeczeństwach dotkniętych kryzysem wojny totalnej, zniszczonych przez nią materialnie i spustoszonych moralnie.

„Konstytucja pierwotnego społeczeństwa plemiennego składa się z szeregu w dużej mierze niezależnych, ale powiązanych przez współdziałanie grup, które łącznie wypracowują i utrzymują swoją kulturę. Sta-

nowią one jednolitą całość kulturalną, dzieląc między sobą wykonywane przez nie zadanie zdobywania pokarmu, reprodukcji, prymitywnych przemysłów i pierwotnego rytuału i etyki.

Możemy ukuć pojęcie proto-demokracji dla określenia ustroju takich pierwotnych społeczności. Są one zasadniczo demokratyczne, gdyż każda z tych społeczności korzysta z przywileju rządów lokalnych, decentralizacji władzy i instytucji wychowania oraz z samookreślenia składowych grup, instytucji i w znacznej mierze jednostek. Ta definicja stosuje się do demokracji nie tylko pod względem ich politycznej, gospodarczej czy wychowawczej organizacji, ale także w sensie integralnie kulturalnym. Demokracja jako system kulturalny jest to ustrój społeczny, w którym społeczeństwo składa się ze współdziałających grup”.

„Demokrację uważa się zazwyczaj za produkt rozwoju społecznego, wyłaniający się za czasów Republiki Ateńskiej lub też od czasów wojny Stanów Zjednoczonych o niepodległość albo rewolucji francuskiej. W najpowszechniejszym tego słowa znaczeniu demokracja oznacza rządy ludu, kontrolę rządzących przez rządzonych, a także republikańską formę rządów, to znaczy rządy parlamentarne, głosowanie i władzę ustawodawczą. Szersza, bardziej elastyczna i bardziej podstawowa definicja pojęcia demokracji implikuje maksimum dyscypliny przy minimum przymusu. Implikuje to posłuszeństwo wobec prawa bez potrzeby stosowania przymusu fizycznego. Dyscyplina nie powinna występować, chyba że wymaga tego zorganizowana czynność.

Ureczywistnienie demokracji w warunkach dzisiejszych wyraża się w typie politycznego ustroju, w którym na drodze głosowania obywatele przekazują ustawodawczą i wykonawczą władzę swoim przedstawicielom”.

„Istnieją jednak inne aspekty, być może ważniejsze nawet niż parlament czy głosowanie, gdy rozpatrujemy demokrację raczej jako ustrój kulturalny aniżeli jako organizację polityczną. Demokracja w naszych współczesnych wolnych społeczeństwach i na całej przestrzeni rozwoju społecznego i historii zawiera zawsze znaczną dozę samookreślenia lub autonomii. Najważniejszy kulturalny aspekt demokracji, autonomia instytucji, rzadko, o ile w ogóle, rozpatrywana jest w teoretycznych dysputach lub w praktycznym zastosowaniu. Owa autonomia instytucji w rzeczywistości zawiera i wciela w sobie wszystkie inne zasady demokracji. Autonomia funkcjonalna występuje zarówno w kulturach prymitywnych jak i w rozwiniętych, gdyż w demokracji czy w protodemokracji nie ma żadnej władzy centralnej, kontrolującej wszelkie aspekty kultury. Owa autonomia kulturalna urzeczywistnia się w niezależności instytucji i umożliwia organizowanie i zrzeszanie się wszelkich grup, gdy współdziałanie jest konieczne a interesy rozbieżne.

Podział władzy lub autonomia funkcjonalna implikuje, że władza wykonawcza, ustanawianie praw i system wymiaru sprawiedliwości nie mogą spoczywać w rękach tych samych jednostek. Implikuje ona także niezależność poszczególnych zreszeł czyli autonomię instytucjonalną. Przekazywanie władzy znajduje się pod kontrolą. Udziela się prerogatywy zapewniających ciągłość rządzenia, ale ta ciągłość nie może być nadużywana, gdyż nie ma stałego wyboru tych, co są przy władzy. Zasada podziału władz była jasno uznana przez tych, którzy przygotowali i przeprowadzili amerykańską wojnę o niepodległość i spisali konstytucję republiki. Również jasno sformułowana ona została przez angielskich i francuskich prekursorów współczesnych demokracji. W rzeczywistości współczesne demokracje doprowadzają tę zasadę funkcjonalnej autonomii czyli podziału władzy dalej nawet. Rozdział kościoła i państwa lub, słuszniej, wolność sumienia i religijnej organizacji, istniejąca zarówno w Wielkiej Brytanii jak i w innych demokracjach; niezależność organizacji gospodarczych i produkcji artystycznej — wszystko to wcielone jest w kulturalnych idealach demokracji”.

„Autonomia lokalna w tym sensie, że składowe państwa, dominia, rejony, miasta i nawet mniejsze jednostki mają prawo rządzenia same sobą ze znaczną dozą samookreślenia, jest również ważna dla demokracji kulturalnej, jak przekazywanie władzy na drodze parlamentarnej i autonomii funkcjonalna. Zasada federacyjna to znaczy decentralizacja terytorialna wielu prawodawczych, administracyjnych i policyjnych funkcji warta jest również bardzo precyzyjnego wyjaśnienia dla wszystkich nas, którzy wierzymy, że organizacja Narodów Zjednoczonych jest jedynym mechanizmem, zdolnym zapewnić zbiorowe bezpieczeństwo świata. Federalizm, daleki od tego by być niebezpieczny dla demokracji, jest bardzo istotny nawet dla jednolitych organizmów państwowych. Gdy demokracja, jak demokracja szwajcarska, Imperium Brytyjskie lub Stany Zjednoczone, składa się ze społeczeństwa, którego charakter regionalny różni się i w którym warunki środowiska domagają się zróżnicowania władzy, federalizm staje się rdzeniem zdrowego demokratycznego ustroju.

Demokracja daje, po pierwsze, wolność i swobodę formowania zamiarów i celów działania; wolność kształtowania poglądów to znaczy wolność wychowywania, wolność sumienia; wolność słowa czyli prawo decydowania w oparciu o doświadczenie, wolność naradzania się, publicznych dysput i zrzeczania. Po drugie, demokracja daje wolność sposobności, urządzeń i organizowania się dla urzeczywistnienia celów zbiorowych i działania. Wolność tu jest polityczna i gospodarcza, jest ona środkiem działania i sprawowania władzy koniecznej dla działania. Dla skutecznego działania konieczne są urządzenia, zapewniające dostęp do technicznego aparatu

i surowca. Po trzecie demokracja daje wolność korzystania z kultury poprzez równomierny podział pracy, wynagrodzenia i praw do władzy, bogactwa i przywileju.

Tak więc demokrację można określić jako system kulturalny tak obmyślony, by dać jak najpełniejszą sposobność jednostce i grupie określenia swoich celów i zamiarów, zorganizowania i wykonania ich oraz prowadzenia czynności w kierunku zamierzonym. Demokracja współczesna ma również obowiązek zagwarantowania swoim członkom sprawiedliwego rozdziału dóbr, pełnego użycia rozrywek, przywilejów wiedzy i sztuki i wszystkiego, co stanowi duchowe prerogatywy współczesnego człowieka. Takie są przynajmniej główne zasady konstytucyjne demokracji, to znaczy zamierzone intencje jej systemu kulturalnego... Demokracja zatem jest systemem politycznym, który, jak wierzymy, jest rzeczywistością gwarantującą przeciwko przymusowi i uciskowi”.

Możliwości ucisku i przemocy tkwią jednak w tym systemie za sprawą „specyficznej organizacji przemocy, jaką wytworzyliśmy przy pomocy nauki i przez jej zastosowanie w technice. Aparat techniczny współczesnej cywilizacji pociąga za sobą olbrzymią koncentrację władzy w rękach małego zespołu lub jednego człowieka... Stopniowy rozwój materialnych środków walki i aparatu wojennego narzuca społeczeństwu szereg się w nich i rozrastające militarne formy organizacyjne i zaszczenia wojennego ducha. Jedyna wolność, zakwitająca w takich warunkach, to wolność przemocy, to znaczy skuteczność w narzucaniu politycznych rozwiązań przez odwołanie się do siły zbrojnej. Równocześnie z jej rozrostem dokonywa się coraz większa uległość jednostek i grup w poddawaniu się wojskowej dyscyplinie, duchowej indoktrynacji, maszynie, organizacji i jej prawom i wierzeniom”.

„W naszym obecnym świecie technika budowania dróg, kolei żelaznych, linii telefonicznych i radia dostarcza aparatu nicograniczonej władzy dla gigantycznej grupy zcentralizowanej a równocześnie ogarniającej olbrzymie obszary. Nowy skuteczny sposób ujarzmiania ludzi i panowania duchowego przy pomocy dobrze zorganizowanej propagandy oraz pośrednie stosowanie przemocy metodą zastraszenia zaprowadzone zostały przez mocarstwa totalistyczne na skalę światową... Tak więc technika dostarcza obecnie niezwykle niebezpiecznego i obosiecznego aparatu agresji duchowej dobrze zorganizowanym systemom monopolu, indoktrynacji i przemocy”.

„Wszystko to wskazuje, że determinizm rozwoju technicznego lokuje zagadnienie wolności na podstawie bardzo konkretnej i rzeczywistej i dociera do sedna rzeczy. Widzimy, że wolność — jako cel przyświecający mniejszym grupom społecznym, ruchom ideowym, instytucjom prawnym, gospodarczym i wychowawczym w obrębie

uwerennego państwa — może obecnie być całkowicie unicestwiona przy pomocy techniki zamachu stanu i przy pomocy koncentracji wszystkich środków przemocy, ekspropriacji, kontroli i namowy.

Jeśli twierdzimy, że nasza wolność, jedna i niepodzielna, ważka dla całego systemu politycznego, dla instytucji, które go tworzą, i dla jednostek polega na swobodzie i możliwości kulturowania tradycyjnych ideałów; formułowania nowych celów; mobilizowania albo obmyślenia nowych środków dla wykonania celów; i wreszcie kontrolowania wyników: to widzimy, że wolność w obecnych warunkach jest zagrożona tak bardzo, że grozi jej śmiertelna choroba lub całkowita zagłada. Jedynym lekarstwem jest wynalezienie technicznych sposobów, szczególnie i starannie obmyślonych, zdolnych przeciwwazyć ostateczne niebezpieczeństwo monopolu władzy, bogactwa i doktryny. Zupełnie tak samo jak ojcowie republiki obmyślili dokładnie i pedantycznie, i zaplanowali z największą rozważą szczegóły mechanizmu politycznego, które by — jak podział władzy — niedopuszczały do tyranii, tak samo w obecnych warunkach, ci, którzy zdają sobie sprawę, że przyszłości zagraża nieskończenie większa i wszechstronniejsza, tyrania muszą wymyśleć konstytucję dla zrzeszonych i zjednoczonych narodów świata, w której nowe i poważniejsze niebezpieczeństwo technicznej koncentracji wszelkich środków władzy powinno być uznane za niebezpieczeństwo główne”.

6. WSPÓLNY PROBLEM ŚWIATOWEJ NAUKI I POWOJENNEGO ŚWIATA

Dzieło Malinowskiego, poświęcone zagadnieniu wolności i jej roli w rozwoju społeczeństw i cywilizacji, jest wkładem nauki w pozytywne i konstruktywne dążenia współczesnych narodów świata w kierunku teoretycznego i praktycznego opanowania i poddania woli i rozumowi ludzkiemu tej najbardziej chaotycznej i płodnej w kryzysy sfery życia ludzkości, jaką jest sfera konfliktów zbiorowych w skali narodowej i międzynarodowej. Dlatego też w książce swojej Malinowski, etnolog i socjolog, z całą żarliwością uczonego przyłącza się do tych nurtujących współczesność poglądów i doktryn, które ocalenie cywilizacji przed grozącymi jej niebezpieczeństwami widzą w stworzeniu instytucji nadpaństwa, rozporządzającego realną siłą i zdolnego zapobiegać zbiorowym kryzysom i katastrofom.

Dzieło Malinowskiego zawiera w sobie także apel do świata nauki

i myśli społecznej o wgląd i czujność w krytycznym momencie epoki, która zrodziła totalizm i niebezpieczeństwo jego nosi nadal we własnym swoim wyposażeniu naukowym i aparacie technicznym. Szeregiem dzieł, poświęconych tej samej sprawie, sekunduje Malinowskiemu wielu innych przedstawicieli nauk społecznych świata anglo-amerykańskiego, że wymienię choćby Shotwella, Hamiltona, Deweya, Lippmana, Laskiego, Sir Normana Angella i Bertranda Russella. Ta barometryczna niemal wrażliwość na problemy epoki, szybkość czynnego reagowania na nie, to przecież jedna a typowych cech myśli naukowej cywilizacji zachodnich, cecha, którą jak najprędzej powinniśmy zacząć z nią z powrotem podzielać.

Książka Malinowskiego ma jednak dla nas inne jeszcze znaczenie. Przypomina nam o tej naszej tradycyjnej problematyce, która związana jest z najlepszymi tradycjami naszej nauki i naszej myśli społecznej. Tej problematyce, która przemawia z kart „Trybuny Ludów”, z dzieł Mochnackiego, Worcella i Limanowskiego, z książek Abramowskiego, Krzywickiego, Czarnowskiego czy Znanieckiego. Przypomina nam o tym, że dopiero z zakończeniem materialnych działań wojennych, zaczyna się, mówiąc słowami Crocego, ta „wojna ducha która jest istotną treścią historii”. I że w tej wojnie ducha, toczącej się w przestrzeni całego świata powojennego nie o granice państw, ale o granice wolności człowieka i cywilizacji, nie może nas zabraknąć.

Wyszliśmy z tej wojny jako jeden z narodów zwycięskich. O zwycięstwie wojennym świadczą nasze granice i kształtujące się nasze formy ustrojowe. Ale praca nad prawdziwym zwycięstwem dopiero się rozpoczyna. Wypełni ona niezapisany jeszcze rozdział naszej historii jako narodu demokratycznego, żyjącego i rozwijającego się w warunkach wolności i pokoju. I w pracy tej my, jedna z najmłodszych demokracji świata, nie możemy pominąć milczeniem

memento Malinowskiego, skierowanego pod adresem demokracji starych, zahartowanych i wypróbowanych. Gdyż—jak to zaznaczył niedawno jeden z francuskich pisarzy* „ci tylko są naprawdę zwycięzcami, którzy wyruszywszy na wojnę by

bronić tego, czym są, tym samym odnajdują się po zakończeniu działań i którzy, postanowiwszy poświęcić swe życie by ocalić zasady swoje, wierzą w nie po odłożeniu broni. Wszelkie inne bitwy to bitwy przegrane”.

*Maurice Druon: Angleterre, capitale de nos libérés. W *La Nef*, nr. 9, sierpień 1945. Str. 75.

SPIS RZECZY

	Str.
BOLESŁAW MICIŃSKI — <i>Uwagi</i>	513—519
VERCORS (przekład Wacława Rogowicza) — <i>Milczenie morza</i>	519—534
FELIKS BOCHENSKI — <i>Dwutorowość gospodarcza; Trochę statystyki</i>	534—543
IRENA KRZYWICKA — <i>Rodzina Martenów</i>	543—553
MIROŚLAW ŻUŁAWSKI — <i>Opowieść sz ydercza</i>	553—560
BRONISŁAW KAMIŃSKI — <i>Czarna chwila</i>	561
HALINA MARIA DĄBROWOLSKA — <i>W obozie</i>	561—563
STANISŁAW ŁEMPICKI — <i>Książki i ludzie</i>	563—578
JAN PAPUGA — <i>Na lepsze</i>	579—593
JÓZEF OBRĘBSKI — <i>Wolność i cywilizacja</i>	593—604

ŻYWNOSĆ DO KRAJU

SŁONINA—SZYNKA—MASŁO—KAKAO—KAWA—HERBATA

BĘDĄ NIEBAWEM WYSYŁANE

PRZEZ POLSKO-SKANDYNAWSKĄ FIRME

ODDZIAŁ W LONDYNIE

SZCZEGÓŁY W NASTĘPNYM OGŁOSZENIU

PRZE

ILUSTROWANY

WIELOBARWNY

TYGODNIK

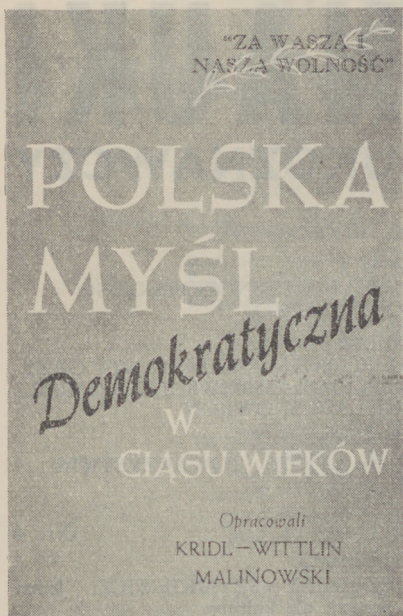
LITERACKI

KRÓJ

REDAKCJA: KRAKÓW, STAROWIŚLNA Nr. 4

Tel. 545,60-62

WYDAWCA: „CZYTELNIK”



Z PRZEDMOWY BERTRANDA RUSSELLA DO WYDANIA ANGIELSKIEGO

MAM NADZIEJĘ, że książka ta będzie szeroko czytana. Daje ona obraz polskiej myśli postępczej, od piętnastego wieku aż po dzień dzisiejszy. Kończąc jej rozdziały stanowią świadectwa strachu polskiego oraz polskiego ruchu podziemnego, który działa mimo teroru Gestapo. Pośród tekstów, zamieszczonych w tej książce znajdzie czytelnik wyjątki z pism autorów, odzwierciedlających zasady demokratyczne i socjalistyczne równie stanowczo i równie wymownie, jak najlepsi pisarze Zachodu. Znajdzie on również nieustraszone potępienie antysemityzmu, militarystyki, przywilejów arystokratycznych i innych, dobrze znanych, przejawów zła, które trawiło Polskę na równi z wielu innymi krajami. Redaktorom książki należy się specjalne uznanie za całkowitą szczerzość w przedstawieniu tych błędów, zwłaszcza w latach, które bezpośrednio poprzedziły wybuch obecnej wojny. Żaden kraj nie ma monopolu na posiadanie złych rządów i byłoby wielkim błędem odmiennej szczerowości Polsce dlatego, że przez pewien czas najgorzej elementy reakcyjne zdolały narzucić narodom polskiemu swą tyranię.

Historja Polski jest tragiczna od czasów jej rozbitku przez ówczesnych "otwarczonych despotów" Fryderyka, Króla-filozofa, i Katarzynę, Śmiałą iudę Polnoicy (jak nazywali ich Voltaire i inni pochlebcy). Nie dawano więc, że niemieccy te wywołały wśród Polaków niera zbytej wojny nacjonalizm, lecz autorzy, których prace zamieszczone w tej książce, całkowicie są od niego wolni.

Spodziewam się, że podobnie jak ja — tak i czytelnicy tej książki zauważą uderzające podobieństwo celów, ku którym dąży postępowi Polacy oraz postępowi działacze Demokracji Zachodnich.

Mam nadzieję, że wszystkie te wyjątki, że większość narodu polskiego pozostała zawsze wierna zasadom demokracji.

Bertrand Russell

Unwzględnieni autorzy: Włódkowicz, Ostroróg, Modrzewski, Rej, Goślicki, Skarga, Budny, Stoiński, Przypkowski, Konarski, Kollątaj, Staszic, Potocki, Pułaski, Kościuszko, Mochnacki, Leleweł, Mickiewicz, Worcell, Kamiński, Ściegienny, Prus, Orzeszkowa, Świętochowski, Nalkowski, De Courtenay, Srokowski, Witkiewicz, Balzer, Lednicki, Waryński, Limanowski, Piłsudski, Daszyński, Krauz, Baron, Krzywicki, Abramowski, Brzozowski, Żeromski, Strug, Berenson, Witos, Skrzyński, Ganszyniec, Niedziałkowski, Thugutt, Lieberman, Estreicher, Znaniński, Alter, Kulczyński, Paderewski, Próchnik, Sikorski, Stańczyk, Stonimski, Malinowski.

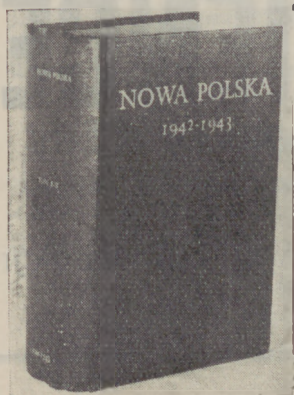
Str. 448

Cena 21 szyl.

SKŁAD GŁÓWNY

W „NOWEJ POLSCE“
91, Great Titchfield Street, London, W. 1

DO NABYCIA
W KAŻDEJ POLSKIEJ KSIĘGARNI



PRZEDSTAWICIELSTWO

„NOWEJ POLSKI“ W AMERYCE
25 WEST 45th STREET, NEW YORK 19. N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski“
za 1943 rok à £ 1.15.0
33 tomy oprawne za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać

ŻYCIE NAUKI

MIESIĘCZNIK NAUKOZNAWCZY

Redaguje MIECZYŚLAW CHOYŃOWSKI

przy współpracy

TADEUSZA BUKOWSKIEGO, BOGUSŁAWA LEŚNODORSKIEGO
I TOMASZA KOMORNICKIEGO

Doradczy Komitet Redakcyjny stanowią

EUGENIUSZ BRZEZICKI, KAZIMIERZ DOBROWOLSKI, KONSTANTY GRZYBOWSKI, TADEUSZ LEHR-SPLAWIŃSKI, ANATOL LISTOWSKI, KAZIMIERZ MAŚLANKIEWICZ I STANISŁAW SKOWRON

Wydaje z zasilku Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty

KONWERSATORIUM NAUKOZNAWCZE PRZY TOWARZYSTWIE
ASYSTENTÓW U. J.

Nr. 3

KONFERENCJA w sprawie zasad organizacji nauki.

Zagajenie LUDWIKA SAWICKIEGO.

LUDWIK SAWICKI: Podstawowe postulaty organizacji nauki.

WITOLD SUCHODOLSKI: Na marginesie konferencji krakowskiej.

BOGDAN SUCHODOLSKI: Podstawy i zadania nauki.

W sprawie związku pracowników naukowych (REDAKCJA).

TADEUSZ DOWJAT:

O reprezentację zawodową pracowników naukowych.

BOGUSŁAW LEŚNODORSKI:

O celach związku zawodowego pracowników naukowych.

LEON BIAŁKOWSKI: Potrzeby starożytności polskiej.

HENRYK BĄTOWSKI: W sprawie Instytutu Słowiańskiego w Polsce.

NAUKA W KRAJU

NAUKA ZA GRANICĄ

ENGLISH SUMMARIES

Nr. 4

Od Redakcji.

DEZYDERY SZYMKIEWICZ: Jeden procent dla kultury.

ANATOL LISTOWSKI: O pracy zespołowej w nauce.

JAN RUTKOWSKI: Prace zespołowe w naukach humanistycznych.

KAZIMIERZ SEMBRAT: Poprawa warunków pracy naukowej.

MIECZYŚLAW CHOYŃOWSKI:

Energia atomowa a przyszłość świata.

HENRYK ŚWIDZIŃSKI: Rola geologii w życiu gospodarczym kraju.

JAN MERGENTALER: Parę uwag o wydawaniu prac naukowych.

Korespondencja (EDMUND JAN REYMAN).

NAUKA W KRAJU

NAUKA ZA GRANICĄ.

SPRAWOZDANIA.

ENGLISH SUMMARIES/

LIFE OF SCIENCE

A MONTHLY DEVOTED TO THE SCIENCE OF SCIENCE

Editor: MIECZYŚLAW CHOYŃOWSKI

Adres Redakcji: KRAKÓW, SZOPENA 1-7, TEL. 535-75

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI
„NOWEJ POLSKI”

POLSKI TYGODNIK LEKARSKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ulica Chocimska 24

Konto P. K. O.: Warszawa I. 654

WYDAWCA: Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy

Redaktor: prof. dr med. Ludwik Paszkiewicz.

Sekretarz Red.: dr med. J. Mockało.

Komitet Redakcyjny Ścisły:

prof. dr med. T. Butkiewicz,

prof. dr med. L. Hirszfeld (Wrocław),

prof. dr med. K. Jonscher (Poznań),

prof. dr med. M. Kacprzak,

prof. dr med. T. Kielanowski (Lublin),

prof. dr med. W. Mozołowski (Gdańsk),

prof. dr med. W. Orłowski,

doc. dr med. E. Reicher,

prof. dr med. M. Semerau-Siemianowski (Łódź),

prof. dr med. W. Szenajch.

prof. dr med. Fr. Walter (Kraków).

TREŚĆ ZESZYTU NR. 32:

Dux K.: Parabioza jako metoda badań endokrynologicznych.

Aleksandrowicz J.: Próba podziału i mianownictwa pierwotnych chorób narządu krwiotwórczego.

Kaczyński M.: Znaczenie odruchów warunkowych w psychiatrii (d. c.).

Billewicz-Stankiewicz J.: Przyczynki do badań nad czynnością naczyń włosowatych u człowieka.

Horst A.: Uproszczony sposób ilościowego oznaczenia białka w moczu.

MEDYCYNA SPOŁECZNA

Chodźko W.: Medycyna zapobiegawcza a nowe studium lekarskie w Polsce.

STRESZCZENIA

Eino E. Vuori: Pancreatitis acuta.

Martinet: Organizacja akcji walki z gruźlicą, rozporządzenie z 31 X. 1945 r.

Bocquet André: Alkoholizm i krwioplucie.

Keating F. R. jr. i Cook E. N.: Stwierdzenie pierwotnej nadczynności przytarczyc.

Boyer J.: Studium epidemiologiczne przypadków duru plamistego, spotrzeganych w obrębie Paryża w okresie powrotu z Niemiec jeńców i osób wywiezionych.

Schie Einar: W sprawie rokowania w przypadkach brodawczaka przewodu mlecznego.

Wakelly Cecil P. G.: Urazy podmuchowe.

Richtert Curt P.: Rozwój i stosowanie alfanaftylo-tio-mocznika jako trucizny na szczury.

OCENY

Gądzikiewicz W.: Podręcznik higieny ogólnej.

Guthrie D.: A history of medicine.

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI
„NOWEJ POLSKI”

PRENUMERATA ROCZNA ZA 52 egz. £3.0.0.

MECHANIK

CZASOPISMO TECHNICZNE

ZESZYT SIERPNIOWY ZAWIERA:

O właściwy kierunek i poziom czasopisma.

I. ARTYKUŁY GŁÓWNE

Inż.-mech. Lesław Jabłoński „Frezowanie narzędziami z ujemnymi kątami natarcia”.

Inż.-mech. Kazimierz Szopski „Wykrojniki”.

Tadeusz Dobrzański „Wiertła kręte” (dokończenie).

Stanisław Mackiewicz „Frezowanie zębów klinowych”.

Inż.-mech. Kazimierz Ochęduszek „O gładkości powierzchni obrabianych skrawaniem”.

„Karty maszynowe obrabiarek” W. S.

Inż.-mech. Aleksander Rummel „Lotnicze silniki odrzutowe”.

Zbigniew Jakubowski „Pompka paliwowa silnika lotniczego”.

II. POLSKA ENCYKLOPEDIA MECHANIKI.

Prof. dr inż. M. T. Huber „Kinematyka punktu”.

Prof. dr inż. W. Moszyński „Elementy maszyn”.

Prof. inż. Jan Kunstetter „Silniki”.

III. POLSCY MECHANICY MÓWIĄ PO POLSKU.

Prof. inż. Jan Kunstetter „Silnik spalinowy wysokoprężny”.

Inż.-mech. A. T. Trokoleński „Żeliwo ciągliwe”.

IV. DZIAŁ NORMALIZACYJNY

„Klasyfikacja i znakowanie inwentarza narzędziowego” S. K.

„Nakiełki” Projekt normy PNjN-282.

„Siewniki rządowe — Wielkości normalne” Projekt normy PNjT-201

„Plugi — Lemiesz” Projekt normy PNjT-202.

„Siewniki rządowe — Spiralny przewód nasienny” Projekt normy PNjT-203.

„Z działalności Komisji Techniki Warsztatowej PKN” W. G.

„Z działalności Komisji Słownictwa Technicznego PKN” A. T. T.

„Z działalności Komisji Narzędzi i Maszyn Rolniczych PKN”.

V. MŁODY MECHANIK.

Inż.-mech. Wł. Gwiazdowski „Liczby normalne”.

Tadeusz Dobrzański „Wykonywanie zao-kraglen”.

Inż.-chem. J. Michałowski „Materia i energia”

Prof. inż. Kornel Wesołowski „Rudy żelazne”

Inż.-mech. Wł. Gwiazdowski „Warsztatowe sposoby określania rodzaju stali szybko-tnących”.

Inż.-mech. Wł. Gwiazdowski „Mechanizm różnicowy i jego zastosowanie w obrabiarkach”.

Inż.-chem. J. Michałowski „O książce”.

VI. POMYSŁY I WSKAZÓWKI PRAKTYCZNE.

Filip Podmiotko „Uwagi o lutowaniu”.

„Oprawa do wytaczania” W. Św.

VII. PRZEGLĄD CZASOPISM TECHNICZNYCH.

„Angielskie samochody osobowe w 1948-49 roku” J. Oderfeld.

VIII. BIBLIOGRAFIA.

Książki nadesłane.

Czasopisma nadesłane.

IX. KRONIKA.

„Jubileusz 25-lecia pracy inż. Jana Piotrowskiego w Stowarzyszeniu Mechaników Polskich w Pruszkowie.

„Powstanie i rozwój Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki S. A.” St. K.

„Organizacja Kongresu Techników Polskich” I. B.

„Sprawozdanie z posiedzenia Komitetu Redakcyjnego czasopisma techn.

„Mechanik” A. T. T.

„Walne Zebranie Delegatów SIMP” W. P.

„Z działalności NOY”.

WYDAWCY: CENTRALNY ZARZĄD PRZEMYSŁU METALOWEGO (CZPM) i STOWARZYSZENIE INŻYNIERÓW i TECHNIKÓW-MECHANIKÓW POLSKICH (SIMP)

Redaktor naczelny inż.-mech. Adam Tadeusz TROSKOLAŃSKI, Zastępca Redaktora; inż.mech. Kaźmiercz OCHĘDUSZKO; Redaktor Działu „MŁODY MECHANIK” inż.-mech. Władysław GWIAZDOWSKI

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa-Żolibórz, ul. Dygasińskiego 34, Administracja czynna codziennie od 9 do 15 Ekspozytura Administracji w Sekretariacie Towarzystwa Kursów Technicznych przy ul. Andrzeja Boboli 14 czynna codziennie w godzinach od 16 do 18.

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI „NOWEJ POLSKI”



„NOWA
POLSKA“
JUŻ JEST



DO
NABYCIA
W KRAJU

NOWA POLSKA jest największym i najważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Bocheński, Boguszewska, Bramson, Bratny, Broniewski, Cękalski, Ciolkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Danilewiczowa, Domański, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiederer, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Grosfeld, Gross, Grubiński, Haupt, Hemar, Hertz, por. Herbert, Hładki, Horzelski, Hulewicz, Iwaszkiewicz, Janta, Jastrun, Karpiński, Kittay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossak-Szczucka, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Krzywicka, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łempicki, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Machalski, Malessa, Malinowski, Markowski, Meissner, Melcer-Rutkowska, Mierzejewski, Miłosz, Mrozowicki, Mortkowicz-Olczakowa, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Nalkowska, Olcha, Ordega, Ossowski, Otwinowski, Pawlikowska Parnicka, Parandowski Jan, Piątkowski, Piotrowski, Piskor, Polczyński T. J., Pomian, Potworowski, Poznański, Pragier, Pruszyński M., Pruszyński Ks., Raczyński E., Radziwiłł, Słonimski, Sokolow, Solski, Stankiewicz, Stańczyk, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szerer, Strzałkowski, Szczepański, Szerbic, Szczytt-Lednicka, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waligórski, Wilk, Wieniewski, Winiewicz, Wilga, Wionczek, Witelin, Wójcicki, Zahorska, Zaslawski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Zulawski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, są jednak w przystępnej cenie s. 3ch. Abonament roczny z przesyłką:

	za 1 rok:	za 2 lata:
w W. Brytanii i Dominiach w Europie i		
Ameryce	£1 16 0	£3 0 0
Roczniki Oprawne za 1942	£1 6 0	
„ „ „ 1943	£1 15 0	
„ „ „ 1944	£2 0 0	
„ „ „ 1945 (tom IV - V)	£2 0 0	

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1. TEL. MUS. 1409

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków, wojskowi za pośrednictwem „POCZTY POLOWEJ”.

PRENUMERATY KRAJOWE PRZYJMUJE „CZYTELNIK” WIEJSKA 14

TUTAJ ODCIĄĆ!

.....1946 r.

Do Administracji

Miesięcznika Literacko-Politycznego

„**NOWA POLSKA**“

w LONDYNIE

Proszę o wpisanie mnie w poczet stałych prenumeratorów „Nowej Polski” i rezerwowanie dla mnie rok rocznie wszystkich skorowidzów opracowywanych przez W.P. do tomów oprawnych.

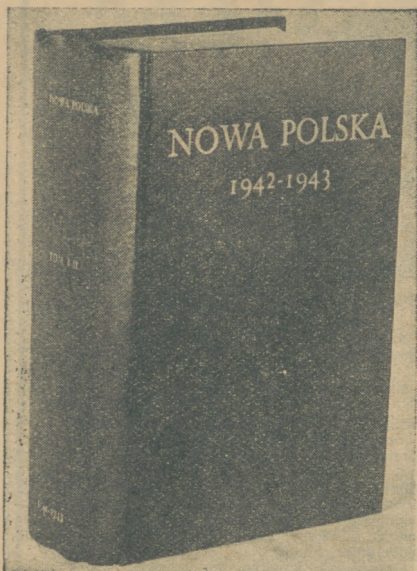
Jednocześnie przesyłam prenumeratę w postaci

.....
(zbdne prosimy przekreślić)

Prenumerata
roczna:
£1.16.0

Prenumerata
2-letnia:
£3.0.0

.....
podpis.



CZY MASZ JUŻ
TEN ROCZNIK
W BIBLIOTECE ?

„NOWA POLSKA“

DOCIERA DO KAŻDEGO
DOMU I OŚRODKA INTE-
LIGENCJI POLSKIEJ

NA
CAŁYM
ŚWIECIE

PROSIMY WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW LITERATURY POLSKIEJ O STAŁY KONTAKT
Z NAMI, I PROPAGOWANIE „NOWEJ POLSKI” WŚRÓD
INTELIGENCJI EMIGRACYJNEJ I W KRAJU

TUTAJ ODCIĄĆ!

SENDER :

.....

.....

.....

Business Office

„NOWA POLSKA“

POLISH LITERARY MONTHLY

91 Great Titchfield Street

LONDON, W I